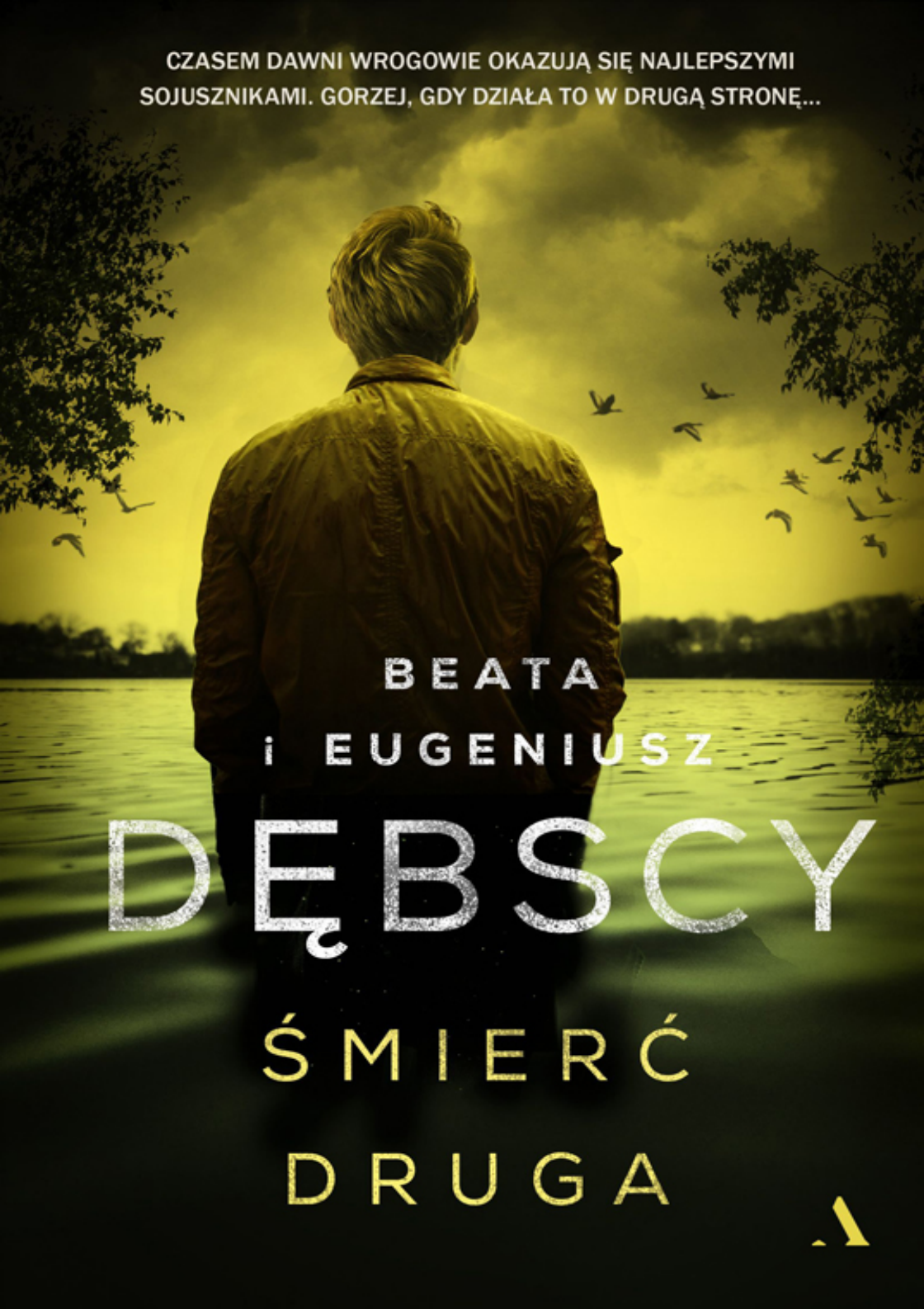


CZASEM DAWNI WROGOWIE OKAZUJĄ SIĘ NAJLEPSZYMI
SOJUSZNIKAMI. GORZEJ, GDY DZIAŁA TO W DRUGĄ STRONĘ...



BEATA
i EUGENIUSZ
DĘBSCY
ŚMIERĆ
DRUGA



BEATA
i EUGENIUSZ
DĘBSCY
ŚMIERĆ
DRUGA

Redakcja: Paweł Sajewicz
Korekta: Jola Gomółka
Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf
Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
tel: 691962519

Copyright © Agora SA, 2022
Copyright © Beata Dębska & Eugeniusz Dębski, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2022

ISBN: 978-83-268-3953-5



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

Bonus dla Odżartuchów

Kryminał, który trzyma w napięciu do ostatniej strony, a każdy trop może okazać się mylny. Fani mocnych wrażeń będą zachwyceni. Polecam!

Joanna Ćwierka, @panda_zksiazka_

Nietuzinkowi bohaterowie, wartka akcja książki, tajemnice, prowadzone śledztwo i barwne sytuacyjne poczucie humoru nie pozwolą Wam się nudzić i odłożyć tej książki, dopóki nie poznacie całej historii do końca. Serdecznie polecam!

Justyna Chojnowska, @mloda_mama_czyta

Duet babcia Roma i Tomasz Winkler to gwarancja genialnych, wzbogaconych ironią dialogów i specyficznego humoru. Beata i Eugeniusz Dębscy po raz kolejny stworzyli porywającą historię ze świetnie rozbudowanym tłem obyczajowym. Śmierć druga to istny rollercoaster emocji. Nie zawiedziecie się!

Aleksandra Miszczuk @aaalexbook

Beata i Eugeniusz Dębscy znów wodzą nas za nos. Historia rozpoczyna się całkiem niepozornie, ale im bardziej się w nią zagłębiamy, tym robi się mocniej, bardziej tajemniczo i mrocznie. Rasowy kryminał z szybką akcją, zawiłym śledztwem i zadziornymi bohaterami – to właśnie Śmierć druga.

Justyna Antonów @ja_zaczytana

Tomasz Winkler powraca w znakomitej formie! Dębscy snują rozpędzającą się niczym kernowska lokomotywa historię kryminalną, w typowy dla siebie sposób wplatając w nią ciepły, niewymuszony humor sytuacyjny i językowy. Niektóre dialogi są tak smakowite jak tort ze słynnej wrocławskiej cukierni Spychały i zapadają w pamięć na długo. Finał tej książki po prostu wbija w fotel.

Bartosz Szafran, Poinformowani.pl

Z typowym dla siebie poczuciem humoru i inteligencją Dębscy prowadzą znanych mam bohaterów ku tajemnicom rodzinnym i... parafialnym. Były podopieczny fundacji, martwy przyjaciel, klan o dziwnych powiązaniach i pieniądze bez źródła; stare sprawy, za które płacą młodzi ludzie. Bystre dialogi, burze mózgow i zawiłe drogi śledztwa raz jeszcze składają się na pełen energii kryminał, który trudno odłożyć choć na chwilę.

Katarzyna Kmieć @pani_ka_czyta

Tomasz Winkler powraca! Bezkompromisowy detektyw z ironicznym poczuciem humoru tym razem prowadzi śledztwo ramię w ramię z dawnym wrogiem oraz... babcią Romą.

Wartka akcja, ciekawa zagadka kryminalna, niejednoznaczni bohaterowie, sporo emocji i zaskakujące zakończenie – to cechy charakterystyczne dla całej serii powieści Beaty i Eugeniusza Dębskich. Śmierć druga jest książką, przy której zastanie Was świat!

Myślałam naiwnie, że Beata i Eugeniusz Dębscy już mnie bardziej nie mogą zaskoczyć, a jednak Śmierć druga sprawiła, że po raz kolejny losy Tomka Winklera pochłaniałam z wypiekami na twarzy. Fascynujące, wielotorowe śledztwo trzyma w napięciu do ostatnich stron. Główne dramatis personae to nietuzinkowe postaci z krwi i kości, które dzięki dużej dawce humoru językowego i swojej błyskotliwości z książki na książkę i ze śledztwa na śledztwo zapracowują na coraz większą sympatię czytelnika. Absolutne mistrzostwo w kreacji współczesnego kryminału!

Patrycja Łukaszyk @bookerka2020

Dębscy dobrze wiedzą, jak niepostrzeżenie zaangażować czytelnika w wykreowany przez nich świat. I robią to z niesamowitą gracją! Świetny styl, realistyczne kreacje postaci i intryga nabierająca tempa proporcjonalnie do liczby przewracanych stron gwarantują prawdziwą ucztę kryminalną!

Martyna Chmiel, kryminalnaterzu.pl

Zagadka morderstwa ubrana w kostium swoistego społecznego komentarza w wykonaniu Beaty i Eugeniusza Dębskich to angażująca historia, pełna fabularnych niespodzianek. Wytrawni miłośnicy gatunku nie mogą przegapić Śmierci drugiej, serwującej kryminalne guilty pleasure na najwyższym poziomie.

Wioleta Sadowska, subiektywnieoksiakach.pl

A dla tchórzów, niewiernych, obmierźłych,
zabójców, rozpustników, guślarzy,
bałwochwalców i wszelkich kłamców:
udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką.
To jest śmierć druga

Apokalipsa św. Jana 21,8 w przekładzie Biblii Tysiąclecia

1

Weszli za budynek klubowy WKS „Śląsk”, choć Darek narzekał i marudził, że tu nic nie będzie, bo skąd, bo kto by tu pił i puszki rozrzucał, bo to nie te czasy. W końcu tak wkurzył Lebita, że ten chciał już powiedzieć, że wraca, bo ma dość męczenia, ale Darek potknął się o wystający korzeń i o mało co nie wyźłobił nosem bruzdy w ścieżce. No i to on niósł butelkę z resztką nalewki. Po co zadzierać?

– Kurwa! – rzucił maruda. – Pozarastało, jak cholera!

– A czemu by miało nie zarastać? – zapytał Lebita. – Chodnika tu nie ma... – Wzruszył ramionami, potarł łokcie, był niby lipiec, ale piąta rano, chłodno jeszcze, a T-shirt nie wysechł po nocnej ulewie.

– Tędy nie da rady. – Darek majtnął głową w stronę eleganckiego chodnika na terenie stadionu, między płotem i zabudowaniami. – Trzeba tu, po chaszczach... No... A kiedyś, kurwa, to się działało, nie? Pamiętasz, jak Śląsk grał tu swoje mecze? A kibice stali na nasypie i oglądali za darmo, nie? – Obejrzał się, ale na krótko, pamiętał o podstępnych korzeniach. – A za tę kasę, co zaoszczędzili na biletach, to se piwka kupili, ćwiarteczkę. I meczyk leciał.

Dla pewności pokazał prawą ręką nasyp. Minęli już budynek i wyszli na tyły trybun. Tu było dużo krzaczorów i drzew, szli w cieniu, po lewej ściana, po prawej nasyp z wysoką na trzy czwarte metra trawą. Lebita trzymał się z tyłu, nagle zrobił dwa szybkie kroki, chciał wymierzonym kopniakiem splątać Darkowi nogi i powalić go na ziemię, ale przypomniał sobie, kto niesie amarenę brzoskwinię, i odpuścił. Właściwie to odłożył zemstę na później. Na razie postanowił pognać kumpla inaczej:

– A z kim grali?

Darek, nie odwracając się, podniósł ręce w niemym „skąd mam wiedzieć?”

– A co ja, jeden z dziesięciu? – burknął przez ramię. – Kurwa! – jęknął nagle i wyhamował tak ostro, że Lebita, niższy o półtorej głowy, wbił mu się nosem między łopatki. – Patrz...

Lebita zrobił krok w bok i wyszedł z cienia kumpla.

Na ścieżce, jakieś sześć, może osiem metrów od nich, przycupnęły cztery jeże. Jeden duży, basior, i trzy mniejsze.

I mlaskały!

– Co one? – zapytał szeptem Lebita.

– Żreją coś...

Teraz i Lebita zobaczył: jeże przycupnęły w koło i skierowały pyszczki do środka ścieżki, w miejsce, w którym coś błysnęło.

– Piją, kurwa – powiedział już głośniej Darek. Trącił kolegę łokciem. – Też tak siorbiesz, nie?

Lebita zrobił dwa kroki naprzód, tupnął, klasnął. Jeże zmychnęły w gęstą trawę pod ścianę trybuny, większy przodem, za nim reszta. Została ścieżka i kałuża.

– Ty, kurwa, wino? Czy sok? – Darek znów wyprzedził Lebitę i pierwszy dopadł miejsca, w którym pasły się jeże. – Ty... – Już miał powiedzieć, co widzi i co myśli, ale resztką dość bezładnie strzyżonych włosów zjeżyła mu się na głowie, a po plechach ściekał lodowaty pot, którego jeszcze kilka sekund temu nie było. Odwrócił głowę w prawo i przejechał spojrzeniem po gęstej strudze, właściwie już zestalonej, spływającej z nasypu. Trawa była tu wydeptana i zdarta, zmiętoszona, żdźbła połamane i zmiażdżone, czarno-purpurowy strumyk wypływał zza krzewu bzu, niezbyt rozłożystego, dlatego widzieli, że za jego koroną trawa jest jeszcze mocniej skotłowana.

I że...

– Kurwa! Ja pierdolę! – jęknął Darek. Odwrócił się i chwycił Lebitę za ramię. Dobrze zrobił, bo ten już startował do ucieczki. – Trupol tam, kurwa, jest!

– Wiem, ślepy nie jestem! – Lebita szybko się rozejrzał, było pusto, bezpiecznie. Już słonecznie. I straszno. – Daj łyka... Dawaj! – wrzasnął.

Głos mu się załamał, ale Darek jednak nie skorzystał z okazji, żeby przysrać kumpłowi. Wyszarpnął butelkę z kieszeni, ale przezornie ustawił palec na połowie zawartości i łyknął pierwszy. Lebita dostał resztę amareny,trzymał naczynie do góry dnem, spłynęło wszystko. Już miał się zamachnąć, gdy...

– Nie wyrzucaj, dumniu! – warknął Darek. – Psy znajdą, wezmą odciski, powiedzą, że to myśmy go zajebali!

– A skąd wezmą odciski? – przytomnie zapytał Lebita. – Ja stąd spierdalam i nie dam se wziąć odcisków ani nic!

– A co by od ciebie wzięli, ciulu! – Darek wyrwał mu puste naczynie. – Idę na portiernię wezwać gliny. Nie próbuj uciekać, bo i tak cię podpierdolę, a potem znajdę i zajebię. – Odwrócił się i zaczął iść z powrotem w kierunku Grabiszyńskiej.

– Darek, ochujałeś? Po co ci to? Będą cię maglowali i potem...

– Spierdalał, ciulu. To jest trup! – machnął ręką do tyłu. – Morderstwo, kurwa! Ktoś kogoś zabił. Nie wolno zabijać. Tego nie daruję!

A co ty masz do darowania? – chciał zapytać Lebita, ale uprzytomnił sobie, że Darek uprawiał kiedyś boks. Dawno temu, za komunę, ale jeszcze miał w lewej kopyto. I jak komu nie darował, to ten się już nie musiał o dentystę martwić.

Spłunął w trawę i powlókł się za Darkiem.

Po kilku krokach naszła go myśl, że mógłby takiego mniejszego jeża zabrać i sprezentować córce Moniki. Monia kotów nie lubiła, pies dużo żre i wychodzić trzeba, a taki jeź?

Kolczasty, krzywdy nie robi, a śmieszny!

Obejrzał się, ale jeże nie wróciły do siorbania krwi.

A jak bym go niósł, skurwego syna?

Zrezygnowany powlókł się tropem druha.

2

Gospodyni wydarzenia i wieczoru, Iwa Jurek, czując się oklejona troskami i zadaniami jak słup ogłoszeniowy plakatami, siedziała na skraju pierwszego rzędu i starała się dzielić uwagę między przemawiającego ze sceny Dariusza Mitrę a spoczywającego na udzie smartfona. Telefon leżał beczynnie, choć tylko na pozór, bo umowa z niewidocznymi, ale czynnymi pomocnikami głośiła, że jedno pojedyncze bzyknięcie znaczy „OK”, dwa bzyki – „coś się zacięło, ale działamy”, trzy – „HELP!”

Jak na razie tylko raz wyczuła dwa bzyki, a zaraz potem jeden. Czyli mogłaby skupić się na najważniejszym punkcie wieczoru, na projekcie współpracy czołowych placówek socjoterapeutycznych. Jednak rozglądając się po sali konferencyjnej, zdała sobie sprawę, że zebrany marzy się już nieformalna, ale zawsze najowocniejsza część programu – garden party.

– Garden party post mortem – powiedział ktoś z Lublina przed ostatnim formalnym punktem spotkania.

Miało być dowcipnie, ale wyszło kaprawo. Iwa jako grzeczna gospodyni uśmiechnęła się lekko, unosząc brew, że niby „zawsze tak”.

Mitra właśnie tłumaczył, że tekst uchwały został wydrukowany i wyłożony na stoły przy recepcji. Kto zgadzał się z jej treścią i planowaną współpracą, miał podpisać dokument i czekać na pierwsze ruchy nowego zarządu.

Iwa ruszyła po schodach do góry, do holu, gdzie miała nadzieję odetchnąć ogrodowym powietrzem i na chwilę choćby odprężyć się i wyprostować plecy.

Komórka zadzwieczała Daft Punkiem. Tomasz! Znakomity timing, za kilka minut zakończenie imprezy stanie się faktem.

– Jak idzie? – zapytał w słuchawce Winkler. – Domyślam się, że dobrze, skoro nie wzywasz pomocy, i nawet bardzo dobrze, skoro odbierasz telefony, ale i tak pytam. Pomocy?

– Nie, już tylko czytanie ostatnich słów naszej deklaracji, czy jak ją tam nazwiemy, i przechodzimy do was, do kegów i rusztów.

– OK. W gotowości są i żebrownicy, i karkowniczkici, i nawet wegedancerzy. Wszystko czeka, aż się przywleczecie głodni i spragnieni.

– Jasne. – Z sali rozległy się oklaski i pohukiwania. – Tomasz, kończę, jestem potrzebna. Pa!

Rozłączyła się, przemknęła na swoje miejsce, projekt miał być podpisany zaraz po dyskusji, której, *notabene*, nikt się nie spodziewał, bo wałkowano go dwa dni i wyglądało na to, że został zaakceptowany przez wszystkich albo przez decydującą większość. Zresztą, jak powiedziała babcia Winklera, Roma, „nie jest to, mimo wszystko, *Magna Charta Libertatum*”.

Po odbyciu nieuchronnych podsumowujących rozmów i takich, na które wcześniej zabrakło czasu albo pomysłu, Iwa wyszła boczkim na taras, a potem trawnik, nie łapiąc

z nikim kontaktu wzrokowego. Tuzin wielkich okrągłych parasoli i cztery „wezyry” z cateringiem, pół setki już snujących się między stołami konferencjuszy – frekwencja była oszałamiająca! Iwa, która organizowała takie forum po raz trzeci, zastanawiała się nad fenomenem obfitości uczestników, ale, zdaniem wszystkich gości bez wyjątku, powodem był głównie aspekt towarzyski.

– Iwuś? – zagał Marek Sitko, stary znajomy jeszcze ze studiów. – Nie podobało się nam w tak zwanym socjalizmie, bo nie było samochodów, magnetowidów, wakacji na Malcie, wiadomo, ale nie było też gonitwy, upadlania się, żyłowania, podgryzania, walki o miejsce... Ludziska tego nie wytrzymują, nie są wytrenowani tak jak ci, co od stu lat w kilku już pokoleniach żyją w kapitalizmie. A i oni mają terapeutów... Więcej powiem: to oni ich wymyślili! No to o czym my deliberujemy? Trzeba pomagać, sterować, gasić pożary. I tyle!

Ktoś go zagarnął, więc tylko się uśmiechnęła, żeby wiedział, że zgadza się z jego diagnozą. *Pewnie ma rację – pomyślała. Za jakiś czas człowiek nauczy się z tym żyć, odreagowywać, nie przy pomocy alko, prochów i walk MMA, tylko... nie wiem, sportu, wakacji, hobby? Jest kilka dróg.*

Ruszyła w stronę parasola, pod którym Roma z Tomaszem sączyli prosecco i ćmili – każde swojego papierosa: Roma tunezyjskiego royala chowanego na specjalne okazje, Tomasz – camela. Na widok Iwy Winkler sięgnął do kieszeni i wyjął czarne marlboro. Zapaliła i zachłannie się zaciągnęła.

– Dobrze wyszło, prawda? – stwierdziła Roma.

– Aż się chce organizować – powiedziała Iwa, wypuściwszy dym.

Tomasz pomachał swoim camelem.

– Niedobrze, bo to znaczy, że jest zapotrzebowanie, a skoro jest zapo...

– Zabieraj swoją łyżkę dziegciu, mądralo, i wsadź tam, gdzie trzymasz cały zapas. Spory – skontrowała go Roma. – Teraz się wszyscy cieszymy.

– Ale babciu! – Zamachał rękami, smugą dymu odstrasząc komary. – Ja się cieszę pierwszy. Mam dwie kobiety życia obok siebie i ani jednego żebrzącego psa pod stołem. Same radości!

– A na co czeka pies pod stołem? – Roma przekrzywiła filuternie głowę i sama rozwiązała zagadkę: – Czeka na spadek!

Tomasz uniósł kieliszek z zabarwionym aperolem prosecco i doczekawszy się, aż Roma z Iwą podniosą swoje, zbliżył do ust, ale odsunął w ostatniej chwili.

– Co jest? – powiedział zdumiony.

I niezadowolony.

Patrzył na taras i zaczynał sapać. Obie kobiety przeniosły spojrzenie na wyjście do ogrodu.

Na szczycie schodów stał podkomisarz Maciej Malicki, z opróżnionym do połowy pokalem i miną może nie do końca zblazowanego celebryty, ale wystarczająco zbliżoną do takiej. Zobaczywszy Winklera, posłał mu powitalny uśmiech, ale zanim podszedł, jeszcze przez chwilę rozglądał się po okolicy i ludziach. Byle tylko uniknąć podejrzeń o samotność w tłumie, zagubienie czy, fu!, skrzepowanie.

Winklerowi cisnęło się na usta pytanie, co on tu robi, zblazowany cynik, pozer i generalnie element niepewny i chyba nieprzynoszący chwały policji, ale uprzytomnił sobie, że ani Roma, ani – zwłaszcza – Iwa nie są zdziwione, więc otworzył usta tylko po to, żeby kolejny raz pozytywnie ocenić aperol spritz, elegancki drink włoskiej proveniencji. A spokojny, wyluzowany Malicki, jakby zadowolony z tej lustracji, a może i efektu swojego wejścia, wolno pokonał schody i ruszył w ich kierunku.

– Dzień dobry. – Skłonił się grzecznie przed Romą, powtórzył to w kierunku lwy, obszedł stół, najwyraźniej chciał uściśnąć im dłonie. Winkler wstał, przygotowany na każdy głupi dowcip czy manewr, ale Malicki wyciągnął rękę, uczciwie uściśnął dłoń i uśmiechnął się, wzdychając pogodnie. – Szczerze mówiąc, dawno nie byłem na takim oficjalnym, a mimo to miłym garden party. Chciałoby się powiedzieć, że fajne są te bale, rauty, brunche, ale prawda jest taka, że grille z browcem w starym, stałym towarzystwie, karkówka...

– Kiełba i karkówka też są, jeśli tak się stęskniłeś – rzucił zaczepnie Winkler. Kątem oka złowił pełne przygany spojrzenie Romy, ale nie mógł się opanować i nie zwrócić kilku werbalnych kuksańców, którymi – dawno, ale jednak – Malicki go częstował. – Możesz też spróbować panierowanego i grillowanego brokuła, macerowanej w japońskim occie brukselki, kalafiora...

– Nie, dziękuję – przerwał mu Malicki, błysnąwszy złośliwym spojrzeniem. – No, chyba że potem.

Winkler odnotował, dopiero teraz, że Malicki nie ma w uszach kolczyków, nie golił już skroni jak prowincjonalny „biznesmen” czy minister aktualnego rządu, nie miał też sygnetu na kciuku i – co zdziwiło Tomasza najbardziej – spod kołnierza połówki nie wystawał ani wytatuowany kod kreskowy, ani chińskie ideogramy, o których przecież on sam złośliwie swego czasu rozpuścił wieść, że są wycinkiem z cennika na piętnastoletnie jaja kurze w chińskim markecie.

Roma czujnie uznała, że kłujący na razie dialog dwóch policjantów (w tym jednego byłego) może przerodzić się w rozgrywkę dwóch psów, szybko więc położyła palec na denku odwróconej szklanki lowball.

– Aperolu? – zapytała.

Malicki skinął głową, dopił piwo i odstawił pokal.

– Z przyjemnością, poproszę bez wody.

Roma nalała prosecco, dodała aperolu i dwie ćwiartki pomarańczy, podała Malickiemu.

– O? – powiedziała, patrząc na jego szyję. – Miał pan tu... – pokazała miejsce na swojej szyi – ...tatauaż? Chiński chyba?

Malicki uśmiechnął się szeroko. I chyba szczerze.

– Tatauaż to mi pani wnuk zdemolował, szanowna pani, rozpowiadając, że to tabelka cen na jaja w orientalnym sklepie.

Winkler otworzył usta, żeby dobić Malickiego informacją, że nigdy nie sprawdzał treści tatauażu, ale Maciej go uprzedził:

– Oczywiście, nie były to jaja, tylko początek wiersza Li Yundi, dwunastowiecznego poety. „Po liściu spływa kropla...” – zadeklamował, szerokim gestem podkreślając słowa. – Ale miałem dość reagowania na kpiny, poszedłem do salonu tatauażu, w którym go robiłem, i poddałem się nanolaserowemu usunięciu ideogramów. Szczerze? – Uśmiechnął się do Romy. – Gościu nie był zadowolony, miał przeświadczenie, że to dzieło sztuki, a usuwanie go – zbrodnia. Zwłaszcza że, jak powiedział, to był jeden z pierwszych takich tatauaży we Wrocławiu. Teraz, zresztą, chyba bym się już wstydził chodzić z ideogramami. Wystarczy popatrzeć, jaka tandeta nosi te żuczki i laseczki.

– Ty byś... – Winkler omal nie zakrzuszył się prosecco. – Ty byś się zawstydził? Boże, co te organy ścigania robią z ludźmi!?

– Powiedziałem mu zatem – ciągnął niezrażony Malicki – że mamy akcję wypuszczenia przestępców, ale program resocjalizacji wymaga, żeby ułatwić zerwanie z kryminalną przeszłością, dlatego za darmo usuwamy im dziury, wszystkie. Za darmo. Czy im się podoba, czy nie. A nie podoba, to wiemy. I tego tatauażystę, powiedziałem, wytypowaliśmy

do wykonywania detatuaży. A ponieważ ci, co ich zwalniamy, tego nie lubią, to będą źli i pewnie przyjdą do niego, żeby im od nowa zrobić dziary, tylko większe, bardziej kolorowe i za darmo! Chwilę potem siedziałem w fotelu, a maszyna pracowicie usuwała ideogram. I... – Rozłożył ręce, odwrócił lekko głowę, żeby Roma obejrzała szyję. – *Voilà!*

Winkler teatralnie otworzył oczy i popatrzył na Iwę. Malicki nigdy nie popisywał się obcymi słówkami, sentencjami, co najwyżej rzucał: „Jak mawia ten kutafon...”, a tu nagle stał przed nimi bywalec salonów, z przykładnymi manierami, umiejętnie nawet zabawiający towarzystwo.

– Siadamy? – zaproponowała Roma. – A pan nam powie... – Rozejrzała się za krzesłem, Winkler ruszył w jej kierunku, ale Malicki już porwał jedno i był z nim przy Romie.

– Co tu robisz? – Malicki odczekał, aż Roma usiadła, i też usiadł. – Czy pies przyszedł szukać jakiegoś zwyrodnialca? Nie, pani Iwa wysłała zaproszenie na imprezę, w ramach współpracy z Policją, więc przyszedłem. – Popatrzył znacząco na Winklera: „Nie przyszedłem tu żreć się z tobą, tylko w innej sprawie. Bez siekiery!” – Byłem na sali plenarnej, proszę nie myśleć, że wpadłem tylko na wyżerkę. Wyслуchałem czterech wystąpień o pracy z młodzieżą, ale nie brałem udziału w dyskusji. Z doświadczenia wiem, że państwo nie macie zaufania do nas, w waszej opinii wyłącznie siłowo rozwiązujemy problemy, ale zapamiętałem to i owo i obiecuję, że będę wdrażał te postulaty w komisariacie. No i wiem, że wam chodzi o dobro dzieciaków, czyli właściwie o to samo, o co i nam.

Udał, że nie widzi z lekka zszokowanych spojrzeń pozostałej trójki. Oni byli przekonani, że spodziewać się od niego pomocy to to samo, co wbić szpilki w beton.

– No, w każdym razie, komendant wysypał na dzielnicę zaproszenie do uczestnictwa w pani przedsięwzięciu – kontynuował – a to, jak wszystko, co daje komendant, spłynęło niżej, aż trafiło na mnie, a już niżej nie ma nikogo, musiałbym kota podesłać, ale kot, właściwie kotka mojej przełożonej, to znana w dzielnicy kotmendant. Czyli – jestem! – Z uśmiechem rozłożył ręce.

Winkler w duchu pokręcił głową. Malicki zawsze był dla niego zagadką, irytującą zagadką, bo co i rusz pojawiał się na jego miejscu fajny gość, taki sympatyczny ork z powieści *Ostatni powiernik pierścienia*, a zaraz potem – nadęty wał z rozbuchanym ego, którego należało poskromić, choćby podmieniając torebkę herbaty na rozluźniający kożlek. A tu i teraz prezentował swoje najlepsze strony i Tomaszowi nie pozostało nic innego, jak tylko pomodlić się w duchu, by zmiana okazała się trwała. Zamierzał rzucić jakimś zjadliwym komentarzem, żeby sprawdzić szczerłość intencji Malickiego, ale zza pleców Iwy wyłonił się Zbyszek Synkiewicz, wiceprezes Stowarzyszenia Concret z Krakowa, i z zafrasowaną miną pędził do ich stolika. Iwa przechwyciła spojrzenie Tomasza, odwróciła się i uśmiechnęła do Synkiewicza, ale ten nie odpowiedział uśmiechem, wręcz przeciwnie: pokręcił głową i wyciągnął rękę, żeby zagarnąć gospodynię konferencji.

– Wybaczycie państwo, na dwie minuty?

Odeszli, Synkiewicz pochylił się do Iwy i szybko, nerwowo przekazał coś, co spowodowało, że ta zesztyniała, wyprostowała się, jakby chciała chwycić go za ramiona i potrząsnąć, ale tylko kręciła lekko głową, a potem obejrzała się, bezradna. Wyłowiła wzrok Tomasza i uśmiechając się przepaszająco, rozłożyła lekko ręce: „Mogę cię prosić?”

Odstawił kieliszek i ruszył w jej kierunku, starając się nie wzbudzać zainteresowania, ani tym bardziej zaniepokojenia. Synkiewicz, którego Winkler znał pobieżnie, wyciągnął na powitanie dłoń.

– Przepraszam, nawet się nie przywitałem, ale tak mną potrząsnęło...

Iwa weszła mu w słowo:

– Jeden z naszych byłych podopiecznych, a prywatnie syn mojej zmarłej koleżanki... Sebastian Sejno... Jest w areszcie, bo... bo...

– Podobno zabił swojego przyjaciela, chłopak nazywał się Rafał Góra – dopowiedział Synkiewicz.

Zapadła cisza, jakby oboje, Iwa i on, czekali na jakąś cudotwórczą wypowiedź Winklera. A on czekał na ciąg dalszy, ale ten nie nadchodził.

– Pamiętam Sebastiana, poznałem go kiedyś – odezwał się w końcu. – Zastanawia mnie użycie słowa „podobno”, to raz. Dwa: przyjaciel? To pewne? I po trzecie: znacie też zabitego? Górę?

Iwa spazmatycznie wciągnęła powietrze. Poruszyła prawą ręką, jakby chciała ją podnieść. „Ja, proszę pana!”

– Słyszałam o nim. Od Seby... Sebastiana.

Synkiewicz otworzył usta, ale Winkler odezwał się wcześniej:

– A znasz ich zawodowo?

Zanim Iwa zaczęła mówić, Synkiewicz wystartował ze swoją wypowiedzią:

– No właśnie chciałem powiedzieć, że Sebastian to nie jest chłopiec... młodzieniec klasycznie „trudny”. Nie sprawiał kłopotów wymiarowi sprawiedliwości, co najwyżej swojej rodzinie, ale naprawdę nic patologicznego. On nawet studiuje prawo!

– Rafała znałam słabo, widziałam go dwa, może trzy razy, zawsze bardziej towarzysko, raz w ogóle dwie minuty, gdy wpadł po Sebę, dwa razy rozmowa trwała kilka minut. Przystojny blondyn, trochę klasycznie i teatralnie zbuntowany, zaczynał kursy wokalne, ukulele, wspinaczka... Wszystko porzucał po bardzo krótkim czasie, jakby chodziło mu tylko o to, żeby powiedzieć: „Wspinaczka? Próbowaliśmy, wkurzyła mnie asekuracja, rzuciłem”. Ale żadnych powodów do kłótni, poważnych powodów, nie znam.

– A niepoważne? – szybko wskoczył jej w słowo Tomasz.

– Nie, niepoważnych też. Tylko tak mi się powiedziało, że poważne nie...

– A skąd wiesz o całej... tej sprawie? – zapytał Winkler Synkiewicza.

– Zadzwonił znajomy z prokuratury. Policja sprawdziła papiery Sebastiana, znaleźli pobyt u nas i wolontariat u ciebie. – Popatrzył na Iwę. Pokiwała głową, zanurzona głęboko w myślach. – A skoro skojarzył i zadzwonił, to policja pewnie też się niedługo odezwie. Ale nie o to chodzi, policji bać się nie mamy powodu, tylko... to jakaś koszmarna sytuacja! – Synkiewicz się skrzywił i Winkler pomyślał, że jeśli teraz powie coś o krzywdzie dla swojego stowarzyszenia, to da mu w pysk. – Rodzice obu chłopaków... biedny Rafał i Sebastian... Przecież on tego nie mógł zrobić! Na pewno nie zrobił! Chłopak bez agresji, bez...

– A dlaczego był u was? Policja też o to zapyta.

– Relacje z ojcem po stracie matki. Obwinianie jego, siebie. Nie umiał poradzić sobie z żałobą. Terapeutka zaproponowała pobyt u nas.

W kieszeni Synkiewicza rozległa się jakaś tęskna nuta, coś jak pseudochóry paragrafioriańskie, coś, czego Winkler nie znosił, a co Romą niemal rzucało o ścianę.

Korzystając z tego, że Synkiewicz, przeprosiwszy wymownym spojrzeniem, wyjął telefon i burknął „Tak?”, Tomasz odwrócił się, wziął Iwę za rękę i pociągnął do stołu, gdzie perorował Malicki, a Roma słuchała z zainteresowaniem i uśmiechem na ustach.

– Co się stało, kochanie? – szybko zareagowała starsza pani, widząc zboląłą minę Iwy.

– Mój znajomy... chłopak, który pół roku był u mnie na wolontariacie... Syn mojej zmarłej koleżanki... – Odetchnęła głęboko. Winkler nie zmienił postawy, ale wystrzyżł boczne widzenie i obserwował Malickiego. Ten drgnął i nerwowo sięgnął do kieszeni. *Aha, mamy cię, chujku cwany!* – Chłopak... podobno zabił swojego kolegę. Kolegę, przyjaciela,

nieważne, ważne, że to nie jest typ zdolny do zabicia kogokolwiek! – Ściszyła głos, ale emocji nie ukryła. – Jakaś koszmarna...

Winkler już otwarcie popatrzył na Malickiego.

– Wiesz coś o tym? – zapytał ostro.

– A jak myślisz? – Malicki wyjął papierosa, oderwał i wyrzucił filtr, zapalił. Wypuszczając dym, który tłumił i matowił głos, mówił dalej: – To moja dzielnia. Ciało znalezione na nasypie od strony stadionu Śląska. Sprawę dostała Magda Borkońska, czyli również ja. – Zaciągnął się drugi raz, łapczywie, popatrzył na Romę, potem na Iwę. – Dość krwawa historia, ale więcej nie mogę. – Sięgnął po swój kieliszek i dopił aperol, nikt poza nim nie miał już ochoty na drinka. Winkler też zapalił, a chowając papierosa do kieszeni, spojrzął na trawę i trafił spojrzeniem na stopy Malickiego. Miał różne skarpety, i to mocno różne, prawą ciemnoczerwoną w jakiś wzorek, główka zajączka czy myszki, lewa była gładka, granatowa. Powstrzymał się od pytania, bo to ewidentnie była prowokacja, a nie chciał Malickiemu robić przyjemności.

– Odechciało mi się aperolu – skwitowała Roma.

Nikt nie skomentował. Tomasz przeleciał wzrokiem po obecnych, odnotował, że nadzwyczaj dużo spojrzeń kierowało się na nich. I nie skarpety Malickiego były tego powodem. Synkiewicz musiał puścić parę w kilku miejscach, połowa obecnych zerkała na Iwę, jakby miała do przekazania więcej danych.

Malicki zaciągnął się ostatni raz, zgasił połówkę w popielnicze.

– Na mnie trąbią, jak to się mówi. Dziękuję państwu za towarzystwo. – Ukłonił się Romie i Iwie. – My się chyba skontaktujemy jakoś, nie? – powiedział do Tomasza. – I to niedługo, jak sądzę?

Wszyscy zrozumieli, że w tych słowach zawiera się obietnica.

Malicki uśmiechnął się szeroko, odwrócił i pomaszzerował do furtki prowadzącej na parking.

– I właśnie się dowiedzieliśmy – powiedział Tomasz, też gasząc papierosa – że przyszedł tu w określonym celu. A celem tym było? – zapytał tonem zarezerwowanym dla prowadzącego rozdanie Oscarów. – Wciągnięcie Tomasza W.! Brawo!

Nad parasolem zawisła cisza, po chwili Roma, mimo wcześniejszej deklaracji, sięgnęła po kieliszek i wypijała swój aperol spritz.

– To jest mądry facet! – oświadczyła.

– To jest cwany facet! – uzupełniła Iwa.

– To jest pies z problemem w robocie – zakończył Winkler. Obie popatrzyły na niego pytająco. – Skoro się tu zjawił, to znaczy, że nie mają niczego na „S”: świadków, śladów, świadectw, czyli śśśledztwo zabuksowało, zanim się rozpedziło. – Zrobił krok w bok i usiadł na metalowo-plastikowym krześle. – Ale na razie nie musimy się niczym martwić... Oczywiście poza tym, że ktoś nie żyje, a inny ktoś jest podejrzany o spowodowanie tego zgonu.

Roma otworzyła swoją torebkę i chwilę wpatrywała się w jej zawartość. Zastanawiała się, co świetnie wiedzieli i Iwa, i Tomasz, czy zapalić deficytowego royala czy „czarniutkiego malborasa”, w końcu wyjęła płaską paczkę marlboro i poczekała na zapalniczkę wnuka.

– Pamiętam... – Wypuściła długą strugę dymu, taką, którą wnuk nazywał „elegancką” – ...że jak go opisywałeś, to, owszem, krytycznie, ale też jakby ze współczuciem.

Winkler przyglądał się babci z uwagą.

– On się za bardzo wczuwa w środowisko, które penetruje. Jakbym był jego przełożonym, nigdy bym go nie oddelegował do żadnych narkobiznesowych spraw. – Wyjął

swoje papierosy. – Ale widzę, że albo się otrząsnął... – Zapalił.

– Albo penetruje teraz nasze środowisko! – Iwa się roześmiała.

Spodobało się, cała trójka chichotała chwilę.

– W sumie to jesteśmy toksyczną rodziną – powiedziała Roma, zmieniając temat i wypuszczając dym w atmosferę. – Chodzi mi, oczywiście, o palenie. Żeby wszyscy członkowie palili, to to się rzadko zdarza!

– Mama nie pali – rzucił odruchowo Tomasz. Lamenty Romy nad stanem własnych płuc ostatnimi czasy się nasiliły, więc riposty o niepalącej cioci Alince, mamie Elżbiecie i przymuszonym abstynencje ojcu używane były często i wcale nie skutkowały. Ale innych nie było. – Oraz...

– Tomek? Daj spokój – poprosiła Iwa.

Po chwili ciszy Roma zapytała:

– Widzieliście, że Malicki włożył różne skarpety? – Zachichotała. – Powiedział, że ma dość ginących skarpet i singli w szufladzie, więc postanowił donosić single, nosić tak długo, aż się odnajdą ich pary. I był bardzo zdziwiony, jak mu powiedziałam, że jest taki trend. Zasmucił się.

Cyli, Romciu, zrobił cię w capa. Pozwolił, żebyś myślała, że go usadziłaś, a tymczasem to jemu udało się ciebie rozbroić. Cały Maciuś! Trzeba mu przyznać, że ciągle udoskonala swoje taktyki i że są skuteczne.

– No dobrze, dzieci. Ja się zbieram do domu.

– Ja też! – szybko dołączył Tomasz. – Spokojnie oddaj się ostatnim rozmowom – zaproponował Iwie. – Jak się znudzisz, zadzwoń, przyja...

– No co ty! – oburzyła się. – Są taksówki, są faktury na nie. Nie będę oszczędzała. Tylko nie zapomnijcie odebrać psów od Justyny.

– Nie da się o nich zapomnieć! – Roma podeszła do Iwy i wspiąwszy się na palce, pocałowała ją w policzek.

– Cały czas o nich myślę – dorzucił błazeńsko Tomasz. – Są na trzecim miejscu w moich myślach – dokończył, zbliżając się do Iwy. Przytulił ją i pogłaskał po plecach. – Impreza bardzo ci się udała – powiedział do ucha. – I jeszcze raz gratuluję wyboru na Prezeskę Stowarzyszenia.

Powtórzył babcine pożegnanie, ale całował już nie w policzek.

Uszczypnęła go lekko w biceps, zaczął się zastanawiać, co to może znaczyć. *Pewnie: „Jeśli kpisz, to pożałujesz!”* – pomyślał.

Wyszli tą samą furtką, co Malicki.

3

Smartfon odezwał się o wpół do dziesiątej, czyli przyzwocie. Winkler odbył już spacer z psami, zaserwował kawę i pochłonął jajecznicę, sztywną i suchą, taką, jak lubił, efekt wieloletnich treningów kulinarnych babci. Jej komórka zadzwoniła trzy minuty wcześniej, więc Roma powędrowała do pokoju, przewidując, że rozmowa z przyjaciółką potrwa standardowo: trzy kwadransy.

– Cześć, Malicki – usłyszał Winkler. Pokiwał głową na boki, pantomimicznie odpowiadając: „Przecież się spodziewałem!” – Jeśli jeszcze nie wbiłeś mnie do Znajomych, zrób to teraz, to ci ułatwi życie.

– Może od razu do Ulubionych?

– Dawaj, tak, to skróci proces i da mi być może potrzebny priorytet. Ale do dorzeczy: jesteś gotowy, ubrany?

Tomasz uznał, że Malicki czeka na jakieś oznaki zdziwienia, zaskoczenia, irytacji. *Niedoczekanie!*

– Mam schodzić?

Malicki chwilę popatrywał na swoją pułapkę, nie zatrzasnęła się. Tandeta.

– Za pięć minut będę...

– Mogę dojść na piechotę? – zaryzykował Winkler. Wcześniej uznał, że Malicki zaproponuje mu wizytę w dwu miejscach, oba były w zasięgu dziesięciminutowego spaceru.

– Nie-e... Podjadę.

Rozłączył się bez pożegnania. Tomasz spakował niezbędnik, papierosy, zapalniczkę, portfelik z kartami, samsunga. Podszedł do drzwi pokoju Romy i poprzebierał w powietrzu palcami, wskazującym i środkowym, Roma skinęła głową.

Wyszedł, obojętnie minął windę, do której żywił coraz słabsze zaufanie i jednocześnie ze zgrozą myślał o czekającym ich, lokatorów, niechybnym remoncie przedsolidarnościowego gruchota.

Malicki już był. W granatowej beemie, nie czarnej, nie w furze jakiegoś lewego bukmachera, ale i nie w czerwonej, wygłupie nowobogackiego właściciela hurtowni. Bmw X3, to do niego pasowało. Winkler wszedł, uścisnęli sobie dłonie. Malicki zaczął wykręcać w stronę Pereca.

– Ty się trzymasz swojego clio?

– Nie do końca. – Winkler zapiął pas i wskazał stojącego w szeregu zaparkowanych wozów czerwonego nissana qashqai.

– O kurde! – jęknął Malicki. – Tyle rur?! Groźnie wygląda.

– Taki był, wybór słaby, a to jest wersja plus dwa, dużo miejsca dla psów.

Malicki pokiwał głową ze zrozumieniem, skrzył w Pereca i rozpedził się miękko w stronę kompleksu działek na Stalowej. Nie poruszał tematu, dla którego przyjechał, Winkler

postanowił go przetrzymać.

– Ale klientki nie sprzedam. Bo jak w tym czerwonym smoku kogoś śledzić? Z kilometra widać.

– No – przytaknął Malicki, myśląc o czymś innym. – A jak ty jesteś z inspektorem Klimaszewskim? Dalej pracujesz dla niego pod przykrywką zagadkowego audytora? Bierzesz sobie nierozwiązane sprawy jak ci z Archiwum X i przy nich dłubiesz? Taki szpieg z krainy dreszczowców?

– Deszczowców – poprawił odruchowo Winkler. – No tak, mam kwity audytora, nikt nie wie, co to dokładnie znaczy, jak na razie nikt się nie czepia. Myślę, że dopóki nie będę próbował kogoś aresztować, to nic się nie wydarzy. A co potem? – Skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że dobrze, w końcu Klimaszewski wzięł cię z powrotem do Firmy. Ale to twoje stanowisko... – Machnąłby w tym momencie ręką dla podkreślenia dezaprobaty, ale przecież prowadził dwustukonną furę. – Będziesz mógł zaproponować mu śledztwo w tej sprawie?

– Mogę spróbować. – *Przecież mam carte blanche i ty o tym wiesz!* – Są duże szanse.

– Możemy też od naszej strony uderzyć – zaproponował Malicki, ale nie przesadzał z naporem.

– Nie trzeba, najpierw... – Odwrócił się do Macieja. – Właśnie, co najpierw?

Malicki skręcił w Stalową, po stu metrach w Kwaśną i po bruku pomknął do zakrętu, do Kruczej.

– No... Proponuję małą wizję lokalną, a potem do nas na rozmowę...

– Tak sobie zaplanowałeś? – przerwał mu Winkler. Najwyraźniej Malicki uważał już, że zdominował przyszłego partnera. Czas trochę przydepnąć mu palce stóp. Zerknął w dół, ale widział tylko jedną, lewą. Była w czarnej skarpecie.

– Single się skończyły – rzucił w przestrzeń Malicki. – Musiałem wziąć parę. – Zerknął na Winklera z uśmiechem. – Może przestańmy się napażać jak dwa koziorogi na górskiej grani? – zaproponował, patrząc przed siebie i zwalniając, żeby zjechać na chodnik przy boisku treningowym. – Jak nie chcesz, to nikt cię za uszy nie wyciągnie. A jak zechcesz, to może być fajnie.

To niepoważne, chciał powiedzieć Winkler. Policjant, zbrodnia, trup, zabójca... Gdzie tu pasuje przystówek „fajnie”?

– Idziemy ścieżką? – spytał, odkładając poważne deklaracje na później. – Kto znalazł ciało i którąś szedł?

Musiał przecież poznać warunki. Nie finansowe, bynajmniej.

– Poczekaj...

Malicki ujechał na chodnik, szczęknął blokadą pasa, Winkler wysiadł również. Chrumknęły zamki w drzwiach. Maciej ruszył pierwszy w kierunku gruntowej ścieżki między nasypem kolejowym i płotem stadionu.

– Od strony Grabiszynskiej szła ścieżką para dżentelmeneli... Podśledzałem u pani Iwy Jurek, wczoraj, w kuluarach – wyjaśnił, widząc zdumione spojrzenie Tomasza. – No więc skracali sobie drogę na Kruczą. – Wkroczył na ścieżkę i ruszył pierwszy, odwracając głowę, gdy mówił. – Doszli do połowy trybun i zobaczyli cztery jeże, dokładnie mówiąc jednego dużego i trzy mniejsze, może samice z młodymi, nie wiem, nie przesłuchiwałem ich jeszcze.

– Jeży?

Malicki postąpił mu przez ramię przebiegłe spojrzenie i pokręcił głową.

– Nie. Dżentelmeni. Ale jeże też mógłbym przesłuchać, bo ta czwórka nie zbierała jabłuszek ani grzybków, tylko chęptała spływającą z nasypu krew.

– Była płynna? – zainteresował się Winkler.

To był odruch: zapytać, żeby nie zapomnieć.

– Złe się wyraziłem – przyznał Malicki. – Właściwie lizały już niemal zakrzepłą. Chłopaki zaczęli się rozglądać, zobaczyli zmietoloną trawę, jakby ktoś coś włókł po nasypie. Za krzakiem, jakieś trzy metry od ścieżki, była wydeptana polanka. Jeden z nich, wyższy, coś zobaczył, kawałek ciała, jak powiedział. Drugi twierdzi, że się zhaftował, ale to konfabulacja. Po prostu się sfajdał ze strachu. Mieli ze sobą niedokończoną flachę czegoś mocnego i brzoskwininowego, dopili dla kurażu i poszli na portiernię zadzwonić po psy. Tyle ich udziału w sprawie.

Maszerowali sto metrów, już w milczeniu. Winkler uznał, że Malicki nie chce tu, w marszu, zapoznawać go z resztą detali. Przemierzyli bok boiska, weszli w cień rzucany przez trybuny, w połowie ich długości Malicki zwolnił, a potem stanął i zapalił papierosa. Tym razem nie odwracając się, wyciągnął ponad ramieniem rękę z paczką pall malli. „Nie, dziękuję”, mruknął Winkler. Stanął obok Malickiego, o metr przed biało-granatową taśmą z powtarzającym się napisem POLICJA. Taśma wyznaczała placyk cztery na sześć metrów, od przeciwnej strony została zerwana i leżała na ziemi, a między zerwaną i wiszącą widniał placek podrapanej, zrytej trawy.

– Psy, ich mać, pewnie poryły – burknął Malicki. – Przecież nie jeże. – Popatrzył w lewo. Trawa była pognieciona na całej odgradzonej powierzchni, najpierw przygniół ją zabójca, wciągając ciało na zbocze nasypu. Nie wiadomo po co, przecież jego działania były widoczne gołym i marnym okiem z kilkunastu metrów. Malicki zaciągnął się i powiedział: – Może myślał, że w nocy nikt nic nie zobaczy, to i ciało nie zostanie szybko znalezione.

– A o której oni je odkryli?

– Podobno o piątej z minutami. Telefon na sto dwanaście był o piątej czterdzieści.

Winkler pokiwał głową, odsunął się, żeby popatrzeć na miejsce zbrodni z innej perspektywy. Zrobił jeszcze dwa kroki bokiem i stanął na wprost śladu prowadzącego na nasyp. Malicki zaciągnął się w filmowy sposób, filmowy à la Pasikowski: dym ulatywał z ust, a on od razu wciągał go przez nos do płuc.

– W każdej porządnej powieści kryminalnej sprowadzony na miejsce zbrodni prywatny detektyw albo inny amator od razu pochyla się i podnosi źdźbło trawy, na którym ktoś wyskrobał igłą: „Należało ci się. Peter”, albo obrączkę z wygrawerowanymi imionami. – Maciej wypuścił dym i wzrokiem spenetrował krawędź nasypu, z tego kąta nie było nawet widać torów, wagony, zapewne, pędziły zielonym korytarzem.

Winkler pomyślał, że faktycznie dużo by teraz dał, żeby znaleźć maczetę, którą przegapili technicy.

Rozglądał się niedbale i tak, żeby widać było, że to nie jest próba dokładnego badania, tylko zbieranie odczuć, migawek z miejsca zbrodni.

Niby dlaczego miałbym udawać... Dobra, przyznawać się, że interesuje mnie ta sprawa? Co to ja roboty nie mam? Mam dwa psy, mam dwie kochane kobiety, mam na dziś umówioną z nimi partyjkę tysięcy, a jak się bardzo podniecę, to zaabonuję ojca i pokłócimy się rasowo półprofesjonalnie przy brydżu!

– Ci dżentelmenie? – zapytał.

– Ha! Dobrze by było, ale to nie oni, ani mikrokropli krwi, ani narzędzia zbrodni, ani motywu. Ten zabity chłopak nie miał z nimi nic wspólnego, a tym bardziej oni z nim.

Przypadek, że tędy szli na szagę, przyplacili to kilkoma godzinami na kacu w areszcie... Pełna ukurwa i rozżalenie. Z własnej piersi im dałem pięć dych.

No jasne, jakbyś nie dał, to następnym razem w dupie by mieli informowanie władzy.

– Nie. – Malicki pokręcił głową. – Nie zamierzam pakować cię w badanie lokalnego elementu!

– Maciej, to w co zamierzasz mnie wpakować? Bo przecież wiesz, że ja wiem, że ty wiesz, że ci nie ufam, bo ciągle lecisz w gumę! A jak wygląda, że gadasz szczerze, to w dwójnasób jestem ostrożny, bo lecisz w czwórnasób. Więc?

Malicki otworzył usta i szybko przejechał językiem między rozchylonymi zębami, jakby chciał je stępić czy zeszlifować, albo przeciwnie: naostrzyć język.

– Mamy fatalną sytuację kadrową. Szymek Radoń jest na długim zwolnieniu, a posterunkowa... to posterunkowa. Młoda, niedawno uratowała życie pani komisarz Borkońskiej, chwała. Ale mamy od groma różnej roboty, i jeszcze ten chłopaczek... – Pochylił się i zerwał długie źdźbło kostrzewy, podniósł do ust i nagle uprzytomnił sobie, że jest o cztery czy sześć metrów od miejsca zbrodni, więc z obrzydzeniem odrzucił trawę. Wytarł rękę w spodnie. – I jest Magda Borkońska, i ja. I... – Skrzywił się. Za płotem kaszlnęła kosiarka, czknęła drugi raz i odpaliła. Malicki ciągnął głośnie: – Tak sobie pomyśleliśmy, Magda i ja, że może Klimaszewski wypożyczyłby nam audytora, który *de facto* prowadziłby śledztwo, z naszym ogromnym wsparciem?

– Powiedziałaś „I” I kto?

Malicki prychnął, pokręcił głową.

– I kotka Magdy Borkońskiej. Ona twierdzi, że kotka pomogła jej rozwiązać zawikłaną sprawę jednego Bałkańca. Nieważne. Niech pomaga, etatu nie prosi. Ale w sądzie spisała by się marnie, więc jej nie liczę. Liczę natomiast, jak się domyślasz, na ciebie.

– Wiesz co, Maciej, ja to ciebie nie rozumiem. Jak byłem w Firmie, to łączyłeś za mną i przypierdalałeś się o wszystko i do wszystkiego. Owszem, gdy doszło do afery z lekarzami, nie cieszyłeś się przesadnie, ale też nie stawiałeś w mojej obronie.

– Nie wiesz, tego... – burknął Malicki.

– Czego, na-tak-zwany-miłybóg?

– Moje zawieszenie na dwa tygodnie i zwolnienie lekarskie Juzyszyna? Nie zbiegło ci się w czasie? Takiś as skojarzeń, a tu nic?

Winkler wolno wyjął paczkę cameli i zapalił, nie odrywając wzroku od Macieja.

– Dałeś mu w dzioba?

– Dwie koronki. – Malicki skromnie wzruszył ramionami.

– A ja...

– A ty byłeś za bardzo rozgoryczony, żeby działać racjonalnie. Poddałeś się i odszedłeś, hardo potrząsając lokami. Nie zawalczyłeś, no to wio, pomyślałem. Bo wiesz, ja mam taką filozofię: „Mi pasuje!”

Zaczął szukać po kieszeniach papierosów, Winkler szybko wyciągnął w jego stronę swoje camele, których nie zdążył schować i którymi jeszcze minutę temu nie zamierzał częstować Malickiego. Tamten sięgnął do paczki, wyjął, zapalił i wydmuchał dym.

– Fajka, kurwa, pokoju? – powiedział, patrząc na młody żar.

– A co mam zrobić? – Winkler jak aktor francuskiej nowej fali pomachał w powietrzu zapalonym camelem. – Moja babcia cię zaakceptowała, a to coś znaczy. I nakłada obowiązki, na ciebie.

Tamten pokiwał głową, niemo zgłaszając „mi pasuje”

– Dobra – powiedział. – Tu już nic nie wypatrzymy, idziemy do Magdy?

Winkler zastanawiał się długą chwilę, chociaż zastanawianie się tu i teraz nie miało sensu. Wiedział, że Malicki delikatnie, ale skutecznie podprowadził go pod podbierak i że nikt tu nie żartuje, i powinien pomóc, zwłaszcza że aktualnie sam się zastanawiał, co robić z tym wątpliwym etatem audytora, z tymi niepewnymi prerogatywami, w jakie go wyposażono...

Cisnął niedopałek na ścieżkę i pokiwał głową.

– No idźmy, tak mi reklamujesz tę pracę w policji, że chyba się skuszę.

Malicki miał minę, jakby chciał przybić piątkę, ale odpuścił. Ruszył za Tomaszem, na wylocie ścieżki wyprzedził go i otworzył drzwi wozu.

Kilka minut później dotarli do komisariatu. Dyżurny zsalutował Malickiemu, Winklera tylko przeskanował.

Normalnie Maciuś nie wytrzymałby, żeby nie powiedzieć: „Prowadzę na przesłuchanie!”. Dużo się zmieniło. Spoważniał czy zdziadział?

Weszli na pierwsze piętro, zmierzało do ostatniego pokoju po prawej.

– Magdę kiedyś jakiś żul chwycił za włosy i trzepnął kilka razy głową o ścianę – powiedział Malicki. – Od tej pory nosi w koku dwie kureusko ostre szpile, takie, wiesz, jak nasze babcie miały, w kształcie długiego „U”

– Sugerujesz, żebym jej nie szarpał za kok?

– No.

Malicki puknął dwa razy i otworzył drzwi, przepuścił Winklera i wszedł za nim.

– Od kiedy ty pukasz? – zapytała wysoka szczupła kobieta, przypominająca jakąś aktorkę, Popławską? W każdym razie ciemnowłosą. Winkler z trudem powstrzymał się od gapienia na jej kok wielkości owocu granatu. Borkońska wstała, obeszła biurko i podeszła do Tomasza, wyciągając rękę. – Oto mamy samego Winklera Tomasza w naszych progach. Magda.

– Tomasz.

Druga, znacznie niższa i młodsza policjantka, w mundurze, wstała, ale niepewnie przesuwając się tylko wzdłuż biurka, Winkler podeszedł do niej i wymienił uścisk dłoni, przedstawił się.

– Joanna Samolej – powiedziała dziewczyna.

– Tomasz Winkler.

– Zapukałem, bo nie wiem, co wy robicie, jak jesteście same w poko...

Borkońska nie odwracając się, podniosła rękę i pokazała Malickiemu swoją polską figę, nie fucka.

– Nie dociera do ciebie, Maciuś, że jak za często błaznujesz, to się wypalasz i pleciesz androny. – I do Tomasza: – Siadaj, możemy chwilę pogadać?

– Pewnie.

Usiadł w fotelu, w drugim ulokowała się Borkońska, Malicki szarmancko przysunął fotel na kółkach Joannie, potem drugi, dla siebie.

– Czyli co, popracujemy razem? – spytała Borkońska.

– No tylko pod tym warunkiem tu przyszedłem. – Winkler zerknął na Malickiego. – Maciej obiecuje krew, znój, pot i łzy. Jak na winstonówce.

– Na czym? – Malicki nie krył zdezorientowania.

– Banknot o nominale pięciu funtów z wizerunkiem Winstona Churchilla i jego słowami: „Mogę obiecać tylko krew, znój, łzy i pot”

– Z przewagą krwi, Tomaszku, z przewagą krwi.

– Kasy nie obiecał? – spytała Borkońska.

Odpowiedziało jej wzruszenie ramion.

– Błaznuje często, ale czasem przestaje. – Winkler się uśmiechnął.

Uniosła brew.

– Za rzadko mnie to szczęście spotyka. – Założyła nogę na nogę. – Pewnie z grubsza coś już wiesz?

– Wiem, że jest denat, Rafał Góra. Że jest Sebastian Sejno, podejrzany i zatrzymany. Sebastiana zna moja partnerka, prowadzi ośrodek, w którym zajmuje się treningiem interpersonalnym, terapią, trochę przystosowywaniem zagubionej młodzieży. Sebastian był jej podopiecznym, chyba nieco ponad pół roku. Znała go jednak dłużej, bo jest synem jej zmarłej koleżanki. Rafała też widziała, raz czy dwa, ale tylko towarzysko, przyjechał do ośrodka z Sebą czy po Sebę, nieważne. Sebastiana znam, rozmawiałem kilka razy, trochę interesował się krav magą, ale widząc, że trzeba w to włożyć sporo treningu, opuścił. Chyba tyle wiem o sprawie.

– Tak... – rzuciła w przestrzeń Borkońska. – Niewiele, i my niewiele więcej wiemy. Zaczniemy od tego, że denat miał w kieszeni kartę płatniczą Sebastiana Sejno, dlatego uparowaliśmy do jego mieszkania o... – Zerknęła na Joannę.

Chyba chce, żeby dziewczyna poczuła się raźniej w towarzystwie starej psiarni.

– Tuż przed dziewiątą!

– Tak, Sebastian spał, był trochę pijany, chyba trochę naćpany. Bez kłopotu znaleźliśmy jego T-shirt, zakrwawiony. Pojechał do aresztu. Poza tym, niestety – nic. Sejno był właścicielem mieszkania w Corte Verona. Wynajmował jeden pokój Rafałowi. Sejno jest na drugim roku prawa, Góra był rok młodszy, resztę sprawdzamy. – Podniosła głowę i zerknęła w sufit, coś tam wyczytała, bo ciągnęła: – W przeddzień zabójstwa imprezowali gdzieś na Świętego Antoniego, nie pamiętam dokładnie, ale tam jest cała kopalnia melanżu. Fedrowali w niej ostro, zmieniali knajpy, podobno wiele razy, bo tam, wiesz, krok w bok i jesteś w innym lokalu. Potem się pokłócili, potem pogodzili, potem poszli do domu. Mimo że padało, nie jakoś tragicznie, ale padało. Pokłócili się ponownie, po drodze. Sejno powiedział, że do domu dotarł sam, wykąpał się i zwałił w bety, chyba jeszcze wypił piwo. No a rano my wbiliśmy mu na chawirę i... – Wzruszyła ramionami. – I go mamy. Ale jaka jest jego rola w sprawie – nie wiadomo.

– A karta?

– Sebastian mówi, że Góra mu ją zwinął, jak on poszedł do kibla. I potem zaczął bez opamiętania stawiać shoty. Seba nie zauważył, że Rafał płaci jego kartą, dopiero w drodze powrotnej zorientował się, że jej nie ma, ale i tak myślał, że zgubił...

– Zakrwawiona koszulka? – rzucił Winkler. Zdawał sobie sprawę, że Borkońska za kilka sekund doszłaby i do tego elementu śledztwa, ale chciał pokazać, że kojarzy, pamięta, kombinuje. Już kombinuje.

– Tak, jest, ale technik na pierwszy rzut oka powiedział, że to krew sprzed wielu dni. Dwóch tygodni?

– Pobili się?

– Nie wiemy. Jeszcze nie rozmawiałam z tym Sejno. Może niech deczko skruszeje. Potem pogadamy.

– A prokurator?

Uniosła brwi i głośno wciągnęła powietrze przez dzióbek, niemal gwizdząc.

– Na razie nie widzę problemu. Młody, bardzo młody chłopak, jego druga sprawa. Zieliński, prokuratura rejonowa, rozmawialiśmy chwilę. Prosił, żeby...

– Prosił? – zdziwił się Malicki.

– Tak, mówię, że młody. Przy tym dobrze wychowany. Mam dzwonić codziennie około czternastej i, oczywiście, gdyby coś drgnęło.

– Czyli nie będzie przeszkadzał. – Malicki z zadowoleniem rozparł się na krześle i założył nogę na nogę, trącając czubkiem stopy stopę Winklera.

– Nie powinien – zgodziła się Borkońska.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

– To co, Tomasz? Wszczynamy procedury? Wszystko sprawdziłam. Karany nie byłeś. Oczywiście badania, testy i cała reszta niezbędne, a potem czekamy na decyzję z Warszawy. Póki co, możesz nieformalnie powęszyć z Malickim, ale bez blachy i spluwy, pasuje? – Jej ton nie zakładał sprzeciwu czy wahania, kontynuowała pewna swego. – Składam do kadr odpowiednie papiery, ale nie będziesz czekał na sformalizowanie zatrudnienia, bo wiesz, ile to może potrwać, chociaż postaram się wszystko przyspieszyć.

Winkler pokiwał głową.

– Tak... – i powtórzył po dwusekundowym namyśle: – Tak.

4

– Wszystko to jest takie... Kruche i... – Roma podparła brodę dłonią, w której trzymała papierosa. Przenosiła wzrok z Tomasa na Iwę, jakby oczekując, że któreś nagle pacnie się w czoło i zawoła: „Już wiem!” – Nierealne?

– Romcia, nie desperuj! – burknął Tomasz. Może nie było to przesadnie grzeczne, ale wiedział, że Romie nie można pozwolić za długo przejmować się jakimś trudnym psychologicznie tematem. Zaczynała wtedy szukać walerianki i w ogóle. – Sebastian to nie nasza rodzina.

– Głupi! – Iwa położyła mu rękę na karku i przyciągnęła do siebie, pocałowała. – Roma ma na myśli to, że zatrudniłeś się w Policji.

– Właśnie! – Babcia przełożyła dłoń z policzka na pierś. – Coś mnie tak zaczęło...

– Już nalewam, babciu! – zapewnił Tomasz.

– Pacan! – Roma odczekała chwilę i dodała: – Ale pocziwy...

Umoczyli usta w nalewce aroniowej, z pięknej karafki z etykietą „Aronia losu”. Roma dostała ją od sąsiada, pana Bronistawa. Kiedyś grywali razem w brydża, ale teraz z czwórki została tylko dwójka.

– Jeśli dobrze pamiętam – powiedziała Iwa – Rafał był z Siechnic.

– Z Siechnic... – powtórzyła Roma. I spytała wnuka: – Pamiętasz, jak wracaliśmy w nocy z Opola? Nagle po prawej widzimy ogromną białą łunę, uznaliśmy w pieruszej chwili, że to stadion i mecz jakiś się odbywa, ale sprawdziłam w Google’u, że nie mają takiego stadionu, i się domyśliliśmy, że to dopalają światłem pomidory.

Iwa uniosła brwi.

– No tak! – ciągnęła Roma. – Tylko że tyle tam światła w te słynne szklarnie siechnickie wali, że ludzie podobno świra dostają, nawet nie z bezsenności, tylko z przesytu. Luminodeficyt... – Upiła nalewki – ...jest szkodliwy, ale luminosuperata też.

– Jutro idziemy do Sebastiana. Będą też pierwsze wyniki badań, podobno był lekko ujarany czy naćpany, sporo alkoholu we krwi. Na ciele i ubraniu krwi Rafała nie było, ale przyznał, że godzinę spędził pod prysznicem, żeby przetrzeźwieć. Jest też nóż, na oko krwi na nim nie ma, nie był wycierany ani traktowany jakimś cifem czy innym bielinkiem. Niezbyt niezwykły scyzoryk, dość dawno nieużywany. Poza tym zakrwawiony T-shirt, ale to starość. Brak innych śladów wskazujących. Posterunkowa namierza znajomych, którzy byli z nimi w knajpach, lokalizuje te lokale...

– Nie zapomnij o monitoringu – powiedziała z mądrą miną Roma. – Monitoring rozwiązuje całą furę problemów. Jak kogoś nie ma na nagraniu, to kłamie, a jak jest, to łże. – Dopiła swoją aroniówkę i teatralnie odstawiła kieliszek. – Ale! – Uniosła palec. – W centrum Wrocławia w nocy padało, i to kilka razy. Może być kicha.

Winkler pomyślał, że chyba nadszedł czas na zapuszczenie obfitego wąsa, bo jak miał inaczej kryć uśmiech?

– Parasole i kaptury... – uzupełniła Iwa.

– I czapki – podsumowała Roma. – Gdzie te knajpy są?

– Chyba na Świętego Antoniego – bąknął Tomasz, który myślał już o czym innym. – Tam jest zagłębienie melanżowe.

– Melanż? Ta przyprawa z *Diuny*? – ożywiła się Roma.

– Tak, ale w przekładzie Łozińskiego chyba było inaczej. Teraz melanż to raczej balanga. Mieszanie różnego rodzaju alko i dragów.

– Aha.

Śpiąca pod oknem Zgaga szczeknęła i zagarnęła łapami, we śnie pewnie pokonując jakąś parkową łękę. Kropka uniosła łeb, nie dojrzała jednak kolacji, więc z powrotem ułożyła go na podłodze.

– O co mogli się pokłócić? – rzucił w powietrze Winkler, patrząc rozfokusowanym spojrzeniem przed siebie.

– Boże, Tomek! Myślisz, że Seba jest... był w stanie zabić kogoś? – Iwa sięgnęła do kieliszka, ale tylko go dotknęła.

– Iwunia, nie będę ci psuł humoru...

– Myślisz, że można go popsuć jeszcze bardziej?

– Myślę, że może być trudno, ale historia zna bardziej niewiarygodne sytuacje i przypadki. Matki – dzieci, dzieci – ojców, siostry – braci...

– No wiem... Ale to po prostu dzieciak z kompleksami, i to nawet nie jakimiś gigantycznymi.

– Jak się nie ma kompleksów, to grozi mania wielkości – odezwała się Roma.

– Jemu brakowało, jak często u takich ludzi, jakiegoś sukcesu, w sporcie, w edukacji, w pracy jakiejś... Do śmierci Magdy to było normalne, bystre, dowcipne dziecko.

– Zgoda, ale przecież wiesz, że na ogół na taki mały sukces to trzeba popracować. Pamiętasz, jak się napalił na krav magę? I już w trzeciej godzinie treningu stracił zapał, bo każdy chwyt, unik, uderzenie należy dopracować do automatyzmu, a tego się nie zaszczepi przy pomocy joysticka czy pigułek.

Iwa podniosła głowę i dłużej patrzyła na Tomasza. Wiedział, czego oczekuje, więc po chwili zrezygnował z patrzenia przed siebie i przeniósł wzrok na nią.

– Naprawdę nie da się załatwić mi widzenia z nim? – spytała. – Może by coś powiedział?

– Iwa, on jutro pewnie wyjdzie, bo mu zejdzie te czterdzieści osiem godzin, a nie widać nowych dowodów czy nawet poszlak. – Otworzyła usta, ale Winkler nie dał sobie przerwać.

– Wiem, że co innego pod całą, wystraszony może powiedzieć coś, czego nie powie na wolności, spokojniejszy.

– I zwolniony będzie się czuł już trochę jakby uniewinniony, prawda? No bo skoro wie, że nie zabił i policja nic na niego nie ma, to zostaje tylko żałoba po przyjacielu.

– Tylko, Roma? – obruszyła się Iwa.

– Iwunia, patrz racjonalnie: pokłócili się w lokalu, rozstali, wracali osobno. O to może mieć do siebie żal, ale przecież nie wiemy, kto sprowokował kłótnię ani o co.

Iwa westchnęła i pokiwała głową. Potem popatrzyła na zmierzch za oknem.

– Pojadę do siebie – powiedziała.

– Na pewno nie! – rzucił z mocą Winkler. – Po moich zwłokach!

Roma wyciągnęła rękę i nakryła swoją dłońią dłoń wnuka.

– Patrz, jaki mądry ten mój Tomaszek! Nawet idiomów się nie boi!

Iwa nagle parsknęła śmiechem, po chwili popłynęły łzy. Winkler z babcią wymienili spojrzenia.

– Byłabym głupia, gdybym po takim oświadczeniu upierała się przy swoim. Ale przesłabym się z papieroskiem po ulicy, co? Tomasz?

– Idziemy, jasne.

Powpinali smycze w obroże i wyprowadzili zadowolone suczki na dziki skwer za blokiem. Nie dało się spuścić zwierząt, godzina była popularna, wielu właścicieli uznało ją za najlepszą na wieczorny spacer, chodzili więc po obrzeżu, z woreczkami w rękę, czujni, nie zagłębiając się w obszar, na którym, zdaniem wielu miłośników psów, nie obowiązywały normy fizjologiczno-kulturalne.

– A jak ta Borkońska chce załatwić z Klimaszewskim twoje, że tak powiem, przeniesienie? Miną wyraził niepewność i niewiedzę.

– Teoretycznie, mogę prowadzić audyt w placówce na Grabiszyńskiej.

– Cmoknęła niezadowolona.

– To wiadomo, ale, Tomek, Rafała nie zabił Seba, zrobił to ktoś inny. Wydaje mi się, że w takiej sytuacji, mając do czynienia z jakimś zdeterminowanym nożownikiem, nie powinieś, jak dotychczas, zwracać się o broń, tylko mieć ją na stanie, na stałe.

– Borkońska uruchomiła procedury, ale to może potrwać.

– Naprawdę mogą przywrócić cię do pracy w Policji?

– To się właśnie dzieje, kochana.

– A ty? Chcesz? – Iwa zatrzymała się i położyła dłoń na ramieniu Tomka, z troską i obawą.

Winkler przydepnął zdeformowaną puszkę po red bullu i spróbował umieścić ją kopem w odległym o trzy metry kubie.

– Nie udało się, tyle tylko, że puszka wylądowała bliżej śmietnika.

– Kurczę, sam nie wiem. Z jednej strony, w roli policjanta łatwiej tępic skurczybyków, z drugiej – jak się nie jest obarczonym przełożonymi, przepisami, etatem, urlopami i zastępstwami...

– A jeszcze każą rozwiązać zagadkę włamu do secondhandu? – Roześmiała się.

– Na przykład!

Pochichotali. Tomasz trochę udawał, ucieszony, że Iwa oderwała się na chwilę od zbłąkanego albo zagubionego młodzieńca.

– A dodatkowo kusi ta wolność... Wybieram, co chcę, same skwarki, same rodzynki...

– Jedno blisko drugiego.

– No, żarcik. W każdym razie, od kilku lat udaje mi się zrobić sporo dobrego, skromnie mówiąc, bez całej tej krzątaniny. Czeka! Wiem, co powiesz: że to się może skończyć, a może już się skończyło. – Iwa przytaknęła ruchem głowy. – Widzisz? Myślę o sprawie z każdej możliwej strony. Jak to mawia mój brydżowy ojciec: „Jeden by tak, drugi by tak, były sobie dwa Bytaki”. Myślę, że wezmę taki oportunistyczny urlopik od bycia prywatnym detektywem, niech się dzieje co chce! Na razie! – zastrzegł się. – Machina zostanie uruchomiona, ale Borkońska ma kupę roboty, nie wiadomo, kiedy doczłapie do Klimaszewskiego, a ja jej pomagać nie zamierzam. Tymczasem śledztwo będzie się toczyło w trybie Malicki plus audytor i zobaczymy.

– A broń?

– Miał nadzieję, że zapomni o tym aspekcie, ale nie zapomniała.

– Ta... No broń... Nie chcę, jak to było w przeszłości, zwracać się do Węczyńskiego, jeszcze zapyta, po co mi. Powiem, że za plecami komendanta zatrudniłem się w dowodzonej przez niego Policji?

Psy splątały smycze, chwilę trwało, zanim udało się doprowadzić je do ładu. Wrócili do domu.

– Tomaszek, mam pomysł – powitała ich Roma. Winkler powstrzymał się od zerknięcia na karafkę. – W Siechnicach mieszka moja stara... – zająknęła się. – Faj, jak to brzydko brzmi! Moja wieloletnia przyjaciółka, pracowałam z nią w kancelarii, regularnie informujemy się, kto i kiedy zmarł. Ale nie widziałam jej kilka lat. Więc pojedę do niej i pogadam, co? Przecież to nie jest duże miasto, jak ktoś tam mieszka od czterdziestu lat, a może i więcej, to musi sporo wiedzieć.

Tomasz szybko rozważył wszystkie „za” i żadnego „przeciw”.

– Czemu nie... – powiedział wolno. – Tylko wiesz: ty słuchasz i milczysz, żadnego „a mój wnuk...”.

Roma wpatrywała się w Tomasza długą chwilę.

– Jak mnie masz za taką kretynkę...

– Kretynce bym tego nie powiedziała – przerwał jej wnuk. – Na bazie swoich własnych lapsusów buduję bazę możliwych innych.

– No! – prychnęła. – Tobie się zdarza, mnie nie. Pamiętam, jak...

– ...jak miałem cztery lata i powiedziałem do pani Romaszewskiej: „A wszyscy starzy ludzie umarną!”

Pierwsza parsknęła Iwa, za nią Roma, Kropka wyczuwając dobry humor Władców Lodówki, rozszczękała się rytmicznie, Zgaga nie lubiła być w tyle.

Tylko Winkler się nie śmiał, popędził do szuflady z przysmakami, rzucił psom, popatrzył na chichoczące kobiety i pomachał płatkami suszonej kaczki.

– Was to nie zadowoli, co?

Pokręciły synchronicznie głowami.

5

– O! Kwiaton! – Roma postukała w szybę, gdy mijali sklep ogrodnicy. – Wstąpimy tu, jak będę wracała?

– Wiadomka – mruknął Tomek. – Już dawno nie zasuszyłaś żadnego kaktusa, co one sobie o tobie pomyślą?

– No, będzie mi głupio.

– Możemy też, wracając, wstąpić do Biedy.

– Po co?

– Po markowy Antyzakalec. Z nim też sobie nieźle radzisz, babciu.

Pogroziła mu paluszkami.

– Po prostu nie jestem klasyczną babcią.

– Całe szczęście. Takie najczęściej stają się ofiarami wrażliwych wnuków.

– Wiem.

Jechali chwilę w milczeniu.

– Wygodny ten qashqai – oświadczyła po chwili Roma. – Przekonałam się do niego. Nawet pomyślałam, że może kupisz mi na szrocie taki fotel – poklepała siedzisko. Bardzo wygodny.

– A proszę bardzo. Poszukam takiego z podgrzewaniem i masażerem. No i akumulator.

Zastanawiała się chwilę.

Popatrzyli na siebie i jednocześnie puścili oko.

– Kupiłeś to orurowane monstrum, a pomyślałeś o DPF-ie? – spytała Roma. Winkler zarechotał w duchu. *Jakbym nie widział dwóch numerów niemieckiego tygodnika motoryzacyjnego na twoim ekranie, Romciu! Dziwnym trafem o nissanach!* – Masz jak w banku raz w miesiącu przepalanie filtra cząsteczek... – zawahała się – ...stałych! – zakończyła z ulgą.

– Tak? No to będziemy jeździć na wycieczki do Brzegu, do Oleśnicy, do... Kutna?

– Zgoda. Ja – zawsze! Ale wciąż nie rozumiem, po co kupowaliśmy takiego molocha, na dodatek w wersji plus dwa, jakbyśmy mieli ośmioosobową rodzinę.

– Po pierwsze, Romciu... – pokazał kciuk – mamy psy. Dlaczego nie miałyby jechać wygodnie? Po drugie, nasza rodzina składa się z sześciu osób, już byłby problem. Jest jeszcze ten niemiecki odłam Winklerów.

– A, daj spokój! Już się nakręcasz. Czasem jesteś... pasuje do ciebie takie niemieckie słówko *hektisch*, wiesz?

– Wiem. A co znaczy? – Odczekał chwilę i mając wolne pole, wdusił pedał gazu. Lubił, jak diesel budził się do życia i przyspieszał „traktorowo”. – Znam heksenszus czy coś takiego, ale raczej tu nie ma zastosowania.

– *Hektisch?* Gorączkowy, nerwowy, szaleńczy...

– Uff! To nie ja!

Nawigacja obudziła się z drzemki trwającej przez całą Krakowską i Opolską.

– Za trzysta metrów skręć w lewo... za dwieście metrów...

Winkler wyłączył dźwięk.

– To jak się umawiamy? – spytała Roma. – Dzwonisz jutro z rana, tak?

– Tak. Chyba że coś się wydarzy.

Cmoknęła niezadowolona.

– Dobra-dobra, zadzwonie! Z rana masz telefon pewny. *Hektisch?*

– Ja zwariuję!

Wyładował Romę, doniósł walizczkę do drzwi małego bajkowego domku. Wiesia, korpulentna i rumiana gospodyni, przypomniała, że ostatni raz widziała Tomasza, gdy po maturze objadali się lodami w Parku Południowym.

– Pan zmiatał jagodowe, chyba ze cztery porcje.

– Po pierwsze, nie „pan”, tylko Tomek, po drugie, pamiętam – pięć porcji. I jedną cytrynowych, te były niedobre.

Wiesia plasnęła w dłonie, chwyciła Romę za łokieć, jakby w obawie, że ta jej ucieknie, i wciągnęła do salonu.

Winkler, ciągle uśmiechnięty, postawił walizczkę, pakę z ciastami od Spychały na blat, ucałował babcię, korzystając z kilku sekund nieobecności gospodyni, którą pożegnał w przelocie, i pognał z powrotem do Wrocławia.

Droga zajęła mu dwukrotnie mniej czasu, wbił się bez kłopotu w parking pod Narodowym Forum Muzyki i nawet zdążył wpaść do Cocofli na rasowe doppio. Lubił to miejsce i fakt, że baristki pamiętały, jak lekko przedłużyć to doppio wrzątkiem.

Za pięć jedenasta stał pod bramą aresztu, po chwili z Sądowej wyszła Borkońska z ogromnym skórzanym worem na ramieniu. Malicki bąknął poprzedniego dnia, że ten worek czasem służy jej do przewożenia aresztowanych. Albo zwłok.

– Dzień dobry. – Winkler grzecznie poczekał, aż jego nowa przełożona wyciągnie rękę. Uścisnął dłoń. – Nie rozmyśliłeś się?

– Nie, odbyła się narada rodzinnej jacejki. Jednogłośnie zostałem przegłosowany, na tak.

– Jednogłośnie przegłosowany? – uśmiechnęła się. Wskazała ruchem brwi bramę. – Laboratorium potwierdziło... – Nacisnęła dzwonek, przygotowała blachę, Winkler tylko włożył rękę do kieszeni. – ...że krew na koszulce jest stara. – Odwróciła się do okienka w metalowych drzwiach. – Inspektor Borkońska, widzenie z zatrzymanym Sejno. Aspirant Winkler.

Zaszczękało, załomotało, Winkler przypomniał sobie wizytę w studio Polskiego Radia, kasety z kamykami do robienia kroków, jakieś wiszące blachy, pewnie do grzmotów, perkusyjki, szeleszczące maty. Otwieranie furtki znakomicie mieściłoby się w słuchowisku o Drakuli.

Weszli, drugie drzwi, trzecie. Lada, okienko, pojemniki, Borkońska zdeponowała broń, Winkler dał się prześwietlić, przewodnik, ponury szary pokój, stół z pokiereszowanym blatem, krzesła metalowe, niebezpieczne, ale tak ciężkie, że... bezpieczne.

– Wypuścimy go – powiedziała Magda. – Zieliński już dzwonił. Trochę wkurzony zresztą. Nie mamy nic, nie możemy go trzymać.

Winkler przytaknął, kiwając głową.

– Monitoringi? – zapytał.

– Jak na razie nic. Wyszli się pokłócić po dwudziestej trzeciej. Wrócili, jeszcze przez godzinę byli tam wszyscy, potem jeden poszedł do WC, druga poszła zapalić, trzeci poleciał po shoty, czwarty – pogadać z kolejnym kumplem. W sumie nikt nie wie, kiedy Seba poszedł do domu ani czy Rafał rzeczywiście wyszedł z nim, czy polazł gdzieś w cholere, bo było nudno. Oczywiście coś wypalili, może łyknęli, wszyscy trochę kręcą, choć są wystraszeni tym zabójstwem.

– Ale czy to taki ogólny strach, no bo kolega, młody, życie przed nim, czy raczej lęk, że „on coś wiedział, ja też coś wiem, może i mnie kosa spotkać” lub „wiem, bo mi powiedział, i teraz co, do glin czy uciekać”?

Pokręciła głową.

– Raczej... nie wiem... Poza tym dopiero dostali wezwania, po przesłuchaniu będziemy mądrzejsi.

Może dodałaby coś jeszcze, ale otworzyły się drzwi i wszedł strażnik, za nim młodzieniec w białym T-shircie, szarej bluzie, bez żadnych dowcipnych napisów. Do tego klasyczne jeansy, sneakersy z wyjętymi sznurówkami. Na widok Winklera potknął się na równym betonie, wyhamował, ni to uśmiechnął się, ni skrzywił.

– Co pan tu...?

– Proszę siadać – przerwała mu Borkońska. – Komisarz Borkońska, aspirant Winkler. Proszę! – powtórzyła z naciskiem, wskazując krzesło.

Zerknęła na klawiszy, krótkie skinienie głowy, wyszli.

Sebastian zrobił trzy kroki, potem czwarty, ciągle wpatrując się w Tomasza.

– Tak, dobrze widzisz, jestem znajomym Lwy Jurek – powiedział Winkler. – I policjantem. Nie musimy się tajniczyć ze swoją znajomością. Policjanci też ludzie, znają innych ludzi, w tym – czasem – przestępców.

Postanowił już rano, jeszcze przed jazdą do Siechnic, że nie da Sebie możliwości wyplakowania się w kołnierz znajomego psa. Jeśli jest niewinny, stres go nie zabije, może nawet naprowadzi na pewne myśli. Jeśli winny – może go to podłamię.

Chłopak przesunął krzesło, poprawił, usiadł, popatrzył w końcu uważniej na Borkońską.

Nie chciała, ale zdawała sobie sprawę, że musi mu powiedzieć: dzisiaj będzie spał we własnym łóżku. Albo innym, ale przyjaznym.

– Ponieważ nie jest pan na razie oskarżony, a tylko zatrzymany do wyjaśnienia pewnych szczegółów i okoliczności, to zdecydowaliśmy, że aspirant Winkler, znany panu prywatnie, może uczestniczyć w rozmowie – powiedziała. – Oczywiście, może pan to zakwestionować, ale i tak będziemy pana przesłuchiwać za jakiś czas, im więcej wyjaśnimy teraz, tym w sumie lepiej dla śledztwa, dla nas, dla pana. No i obecność prawnika... Podobno zrezygnował pan z mecenasa Krzyżanowskiego. – Borkońska spojrzała niby to pytająco, ale i ze zdziwieniem.

– Tak, to ojciec wynajął pana mecenasa. Ale ja nie potrzebuję adwokata, nic złego nie zrobiłem... – Poczzerwiał i łzy napłynęły mu do oczu. Szybko jednak się opanował.

Magda poczuła nagle, że to jeszcze dzieciak, że jest zagubiony i że to wcale niedobrze, że nie ma papugi.

– Jeśli to jakiś problem, to w tym momencie zakończymy rozmowę i wrócimy do niej, gdy...

– Nie, nie... Nie ma potrzeby, ja nie mam nic do ukrycia. Powiem, co wiem, żeby pomóc... tylko pomóc chcę.

– Bardzo słusznie. – Borkońska posłała Winklerowi triumfujące spojrzenie. W sumie – nie okłamała Seby, a jednocześnie zmanipulowała tak, że zgodził się na jej warunki. Tomek pogratulował jej wzrokiem.

– Na początek proszę opowiedzieć o swojej znajomości z denatem, Rafałem Górą.

– Ja... Rafała... Znam od kilku lat... Poznaliśmy się w Strasburgu, jeszcze w czasach liceum. W ramach Taizé. Pojechałem tam z Bogdanem, moim bratem przyrodnim, on pracował przy organizacji w Polsce. Kilka razy mnie namawiał, ale ja nie za bardzo kościelny jestem. – Sebastian miętosił mankiet bluzy, okręcał go wokół palca i nie podnosił wzroku na Winklera. Jeśli już, to spoglądał na Borkońską, jakby rozpoznał w niej „dobrego glinę”. – No ale... spodobało mi się, że można raz w roku za grosze wyjechać do fajnego miasta, poziewać, a nawet się zabawić. – Uśmiechnął się, jakby do wspomnień, i w jednej sekundzie spochmurniał. – Bo to nie były ponure i nudne procesje...

– Trochę to hipokryzja, co? – Winkler nie mógł się powstrzymać od oceny. – Ale nie o tym teraz. Czyli poznaliście się na występach religijnych i co potem? – Odruchowo sięgnął do kieszeni bojówek po fajki, ale zorientował się zaraz, że tu przecież nie zapali.

– Potem? Nooo, potem, jak się okazało, że on jest z Siechnic i chodzi do słabego liceum we Wrocławiu, zasugerowałem mu przenosiny do dziewiątki, do Słowackiego znaczy. Poziom niezły, ale nie rzeźnia jak w piątce czy czternastce, ja sobie chwaliłem. Trochę to trwało, i w końcu się przeniósł. Był rok niżej, ale często się widywaliśmy.

Sebastian oparł dłoń na karku i zaczął masować spięte mięśnie, jakby cały stres zlokalizował się właśnie tam i nie dawał mu utrzymać głowy.

– Czyli szkolna znajomość, kilkuletnia i ugruntowana, tak? – Borkońska próbowała przyspieszyć tempo zeznań. – A czy Rafał miał jakąś dziewczynę? Sympatię, bliższą koleżankę? – zapytała, ale nim postawiła znak zapytania, Sebastian stanowczo zaprzeczył. – A pan? Ma pan partnerkę?

– Też nie. – Sejno odpowiedział takim tonem, jakby właśnie w tym momencie chciał zakończyć rozmowę.

Borkońska wyczuła, że należy zmienić temat:

– Pan mieszka z ojcem?

– Nie, mieszkam sam. Po śmierci mamy dostałem mieszkanie. – Rozkaszał się, zachłystnąwszy śliną. Wykaszał się w bluzę na łokciu, otarł usta. – Dwupokojowe... Rodzice kupili na wynajem, ale jak mama zginęła w wypadku, to się tam przeprowadziłem. Nie szło nam z ojcem, tak było lepiej. Sam je utrzymuję, najprościej było wynająć komuś część, i tak zrobiłem. Znalazł się Raf... – urwał, jakby przestraszył się imienia lokatora. – To było wygodne, w sumie to on pokrywał niemal całość opłat, a mi drugi pokój nie był potrzebny, tylko więcej sprzątanía. – Westchnął spazmatycznie, jak dziecko po słocho.

– A skąd miał pieniądze na stancję, życie, i to dość zabawowe? – zapytał Winkler.

Nie mogą czekać beczynn timer jak jakaś wółta dupa, ani to mój pociotek, ani znajomek, no i trzeba coś z niego wyszarpać, póki siedzi na dołku, przestraszony, zdenerwowany. Jak wyjdzie, ojciec mu znajdzie rasowego papugę, ten powie, co można, czego nie, będzie trudniej.

– Rafał pracował, żeby zarobić na cieszne na płatnych studiach, też prawniczych...

Winkler złączył brwi.

– Nie kulturoznawstwo?

– No... zmienił zdanie. Zaczął myśleć długodystansowo. Od roku powtarzał, że prawnik nigdy nie będzie jeździł gratem, a animator kultury może co najwyżej snobować się jazdą oldskulowym rowerem. – Pociągnął nosem. – Dla niego to było ważne... ubranie, barber, iPhone, garmin na łapie, choć nie znosił sportu...

– Czyli prawo?

– Wie pan, to było takie bardziej życzeniowe. On chciał być na stacjonarnych, ale by się nie dostał. Matura nie poszła mu najlepiej. Nie wiem, wydaje mi się, że był pewien,

że na takie studia to starz... rodzice się wyprują? Nie chciał o tym mówić, ja nie nalegałem, mi pasował taki układ, sam bym chaty nie utrzymał. – Chwyć się za skronie i ścisnął, trwał tak chwilę. – Pracował, ale co zarobił, to wydał, bo ciągle sądził, że za chwilę zarobi więcej... Płacił nieregularnie, ale płacił, dopiero ostatnie trzy miesiące już nie i jeszcze pożyczał, niedużo... – Płasnął dłońmi o blat. – A jeszcze mnie wkurzał, bo zaczął się zachowywać, jakby za tydzień czy dwa miał zgarnąć dużą kasę, zapłacić wszystko, i czesne, i długie, i jeszcze kupić to i owo. No, nieodpowiedzialne całkiem. Ja tak nie lubię i nie umiem. No i o to się pokłóciliśmy przedwczoraj, w Pokoyhofie...

– Konkretnie gdzie? – zapytał Winkler.

– No-o... Szajba, potem Rumbar, chyba też Dojutra...

Winkler powstrzymał się od zjadliwego komentarza, skinął głową.

– No i jak się toczyła zabawa? – zapytała Borkońska.

– Myśmy nie pili dużo.

– Więcej jaraliście? – zapytała obojętnie Borkońska.

– Nie... nie więcej... trochę... Tam wszyscy...

– Gównu mnie obchodzą wszyscy! – warknął Winkler. – Ciebie też gówno powinno to obchodzić. Myśl o sobie!

Sebastian, zaskoczony wybuchem Winklera, chciał odsunąć się od stołu, ale nogi krzesła zabuksowały, odchylił się tylko do tyłu i od razu gwałtownie opadł, omal nie łamiąc sobie żeber o blat.

– Nie no! Dlaczego ja? Okej, ja mu mało nie wpieprzyłem, tam, w Szajbie, bo Rafał wymyślił, że będziemy walili markową whisky z doktorem pepperem, po cztery dychy za drina. A on będzie stawiał. Za moją kasę! I ruszyły też inne sprawy, inne długie. Ja przecież nie mam worka z pieniędzmi, zarabiam... A jemu się wydawało, że sprawiedliwie jest wtedy, gdy wychodzi na jego. W końcu poczułem, że to się źle skończy, nawet nie dopiłem piwa, wstałem i poszedłem do domu. To wszystko. Zresztą wszyscy chyba mieli go dość, rozeszli się, trochę pod pozorem deszczu, ale tylko trochę. Ja – do domu... Zmokłem, zmarzłem, trochę wytrzymałem. – Chwilę milczał. – Posiedziałem pod prysznicem, potem w kimę i do... do... dopiero rano mnie obudzili. Wy. Policja...

Przenosił rozbiegane, rozedrgane spojrzenie z Winklera na Borkońską, która bawiła się szpilką w koku, jakby zaraz miała ją wyjąć i kogoś dźgnąć.

– Mówiłeś, że zarabiasz, a gdzie pracujesz? – Policjantka wsunęła szpilkę we włosy i spojrzała na zegarek, wiedziała, że chłopak w każdej chwili może odmówić odpowiedzi na pytania, chciała wykorzystać ten moment, kiedy jeszcze snuł opowieść.

– Robię researche prawnikom, sprawdzam teksty, niektórym prowadzę pocztę. W dwóch kancelariach prowadzę stronę internetową. No i jakby Rafał płacił regularnie, tobym był spoko, ale nie, ostatnio nie płacił... – Nagle skrzywił się, jakby miał wybuchnąć płaczem. – Ale przecież to gówno ważne teraz! Ktoś go zabił. Po co? Dlaczego?

– Dowiemy się – zapewnił go Winkler. – Mamy wysoką skuteczność i niezłe tropy.

– Tropy? – ucieszył się Seba. – Coś wiesz? Komu za...

– Chyba nie myślisz, że pogadamy sobie teraz o poszlakach i dowodach, co?

Sebastian znowu ścisnął głowę dłońmi.

– Dlaczego...

– Co dlaczego? Ty sobie przypomnij, dlaczego ktoś mógłby chcieć jego śmierci!

– Chcę... Pewnie, że chcę sobie przypomnieć, tylko nic więcej nie wiem. Poza tym od początku miałem prawo odmówić wszelkich wyjaśnień, jestem na drugim roku, ale tyle już kojarzę. A przecież współpracuję, sam chcę wiedzieć, kto to zrobił. Chcę pomóc.

– Wiesz, wiesz! Tylko nie wiesz, że wiesz – powiedziała Borkońska, w końcu odrywając spojrzenie od blatu. – Powiesz nam, z kim Rafał trzymał, jakie miał przyjaciółki, przyjaciół, rodziców, jakie zainteresowania, hobby, czego się bał, czego unikał, co lubił, jakiej muzyki słuchał.

– Jakiej muzyki? – zdziwił się Sejno.

– Tak. – Borkońska wstała i popatrzyła w małe zakratowane i osiatkowane okienko. – Weźmiesz kartkę papieru i coś do pisania i ładnie mi wszystko wynotujesz, przy następnym spotkaniu odbiorę to i zastanowimy się w swoim gronie.

– Ale kiedy mnie wypuścicie? – niemal krzyknął Sebastian, podrywając się z krzesła. – Przecież nie możecie mnie tu trzymać tylko dlatego, że nie ma nikogo innego pod ręką?!

– Zaraz stąd wyjdiesz, pozałatwiasz najpilniejsze sprawy... Jutro o jedenastej pojawisz się na Grabiszyńskiej dwieście pięćdziesiąt pięć, pokój siedemnaście. Inspektor Borkońska lub zastępca. Tam sobie porozmawiamy dłużej, dokładniej opowiesz, co wiesz o Górze, o jego rodzinie, znajomych, najlepiej, radzę ci, zrób sobie notatki.

Sebastian głośno przełknął ślinę.

– Masz dobę, chłopie, i nic lepszego do roboty. Wierzę, że się wyrobisz. Do jutra.

Wstała i skierowała się do drzwi. Sebastian poderwał się, ale nic nie powiedział, za to na ustach zmierzającej do drzwi Borkońskiej błąkał się wątyły uśmiech.

Na korytarzu szła przodem. Odwróciła się i powiedziała:

– Niezły z ciebie skurwysyn, Winkler.

– Nie sądzę. To znaczy... Gdybym musiał, na pewno bym się zdobył na coś naprawdę niemiłego, ale z drugiej strony – gdyby ludzie nie zabijali innych, nieważne z jakiego powodu, to nie poszedłbym do policji. Nie obchodzą mnie złodzieje, szabrownicy, oszuści podatkowi. No – pedofile, stawiam ich na szafocie, obok morderców. Tych czynów nikomu wybaczyć nie chcę i nie umiem. I jakby co – jemu też.

– Niezły skurwysyn – powtórzyła komisarz, jakby zadowolona. – I już to w tobie lubię.

Nie znalazł godnej riposty, chciał rzucić coś o koku ze szpilami, ale wydało mu się to słabe, więc zamilkł. Wzruszył tylko ramionami. Milcząc, wyszli z aresztu i zaraz za bramą rozstali się, uśmiechając tylko do siebie nawzajem i kiwając głowami.

Borkońska dotarła do Firmy po kwadransie, pewnie byłaby szybciej rowerem, ale policjantkę na rowerze uważała za ostateczne poniżenie służbowej godności i dużą szansę dla grabiszyńskiej żulerki na wsadzenie kija od miotły w sprzychy koła. Podeszła do drzwi komendanta komisariatu, na chwilę zawięła w myślach nad swoimi zasługami i przewinami i uznawszy, że tych pierwszych jest więcej, nacisnęła klamkę.

– Dzień dobry – rzuciła do sekretarki Balbiny, darując sobie „cześć”, do którego miała prawo. – Da mi dziesięć minut?

– Wchodź, nawet pytał o ciebie.

Borkońska powstrzymała się od zacerpnienia powietrza, odchrząknęła tylko, tylnym spojrzeniem, okiem spod koka, widziała leciutki uśmiech Balbiny.

– Dzień dobry, panie kome...

– No! Nareszcie! – Paweł Sulewicz, szef komisariatu Wrocław-Grabszynek, majtnął głową, ucinając powitanie i burząc dotąd starannie uczesane włosy. Wstał i obszedł ogromne biurko, o którym mit grabiszyński głosił, że któryś z poprzedników zobaczył je w sekretariacie sekretarza dzielnicowego PZPR i zakochał się w meblu. Były problemy z ulokowaniem biurka w pomieszczeniu i skończyło się na tym, że komendant zmienił gabinet na taki z podwójnym

oknem, przez które dało się wpakować molocha do środka. Natomiast sam komendant Sulewicz był wątłej budowy i bardzo średniego wzrostu, balansującego wręcz na granicy mikrogo. W okularach z metalowymi oprawkami przypominał Krzysztofa Strońskiego.

Borkońska usiadła we wskazanym fotelu, Sulewicz wrócił do biurka i zerknął na monitor, jakby miał na nim pewniaki na najbliższe losowanie Keno i nie potrafił sobie odmówić udziału w grze.

– Mów mi – zaproponował, siadając. Za biurkiem wydawał się jeszcze mniejszy.

Nie proponował kawki, zatem rozmowa będzie konkretna, dynamiczna i krótka, oceniła Magda.

– No więc tak: mamy trupa. – Wystawiła kciuk. – Na razie żadnych istotnych tropów. Dwa: prokurator – niejaki Zieliński. Młody aż do bólu, to chyba jego druga sprawa, na szczęście nie udaje wyjadacza. Nie wcina się za bardzo, przynajmniej dotąd. Rozmawiałam z nim czterdzieści minut, wprowadziłam, przyjął do wiadomości. Poprosił... – uniosła palec, podkreślając formę działania młodego prokuratora – ...żeby go informować na bieżąco. Mówi do mnie: „Nie chciałbym, żeby mnie komendant zaskoczył swoją wiedzą”. Obiecałam, że będzie zawsze przed szefem. Po trzecie, Winkler.

Sulewicz z gotowością pokiwał głową. To był problem.

– Malicki jęczy i płacze, jak dzieciak przed Bożym Narodzeniem – ciągnęła Borkońska. – „Tomaszka chce, Tomaszka!”. W zasadzie są dwa wyjścia: przywrócić Winklera całkowicie, ale nie jestem pewna, czyby nie zechciał pełnej rehabilitacji. Do tego dochodzi cała hałda formalności, testy, badania lekarskie i chagiewu co jeszcze. Na pewno musiałyby zakichane dwa tygodnie tłuc się po komórkach i wydziałach. A robota będzie leżała. – Pokiwała głową, a szef przeciwnie: pokręcił swoją. – Drugie wyjście: niech zostanie na audyencie, ale nie u Klimaszewskiego, tylko u nas. Będzie „kontrol”, i już. Tylko broń mu trzeba dać, bo podobno chce...

– Chce! Chce?! Co on, dziecko? Będzie ganiał z klamką po mieście?

– Ale, szefie, ktoś fachowo wsadził kosę w nerkę tego Rafała. – Szef otworzył usta, żeby zapytać, co się z czym wiąże, ale Borkońska go wyprzedziła: – Winkler też ma nerki.

Sulewicz parsknął przez nos:

– Procedury, Magda! To jest policja, a nie słoneczny patrol!

– Komendancie, pan coś wymyśli, jakaś furtka, dziura w siatce etatów? Znajdzie się?

– Dobra, znikaj i nie rób mi tu miny Shreka.

– Kota ze *Shreka* – roześmiała się Borkońska.

Wstał i zerknął znowu na monitor, choć z tej perspektywy widział tylko jego krawędź.

– No... Poszukam jakiegoś rozwiązania, tylko on sam musi chcieć! Niech go Maciek przekonuje, skoro musi z nim razem.

– Dobra, tak im powiem. Że Maciek musi go przekonać, a on musi się zgodzić. I tyle.

Borkońska prawie wyciągnęła dłoń do pożegnania, ale komendant już pędził do komputera. Stłumiła miny, westchnienia, sufitywanie oczami. Odwróciła się i wyszła.

W ich pokoju posterunkowa Joasia Samolej zmrużonymi oczami wpatrywała się w ekran. Widząc szefową, poderwała się wewnętrznie i popatrzyła pytająco.

– Asiu, ci młodzi? – rzuciła Borkońska, siadając przy swoim biurku. – Sejno za chwilę wyjdzie, pewnie będzie chciał sprawdzić, czy jego towarzyszycho pamięta wszystko tak jak on. Musisz... – Uprzymomniła sobie coś, cmoknęła. – A kiedy będziecie ich miała?

– Jedna para będzie za... – zerknęła na zegarek – ...dziesięć minut. Potem jeszcze jeden chłopak o czternastej. A pozostali jutro przed południem.

– Do-brze! – pochwaliła ją szefowa. – Wymyśl jakieś krzyżowe pułapki, żeby wywęszyć, czy się nie umawiali, i tych dzisiejszych zwłaszcza przeczołgaj doszczętnie. Wiesz, „kolega mówił co innego” i tak dalej.

Joanna pokiwała głową. Zerknęła na swój ekran. Borkońska zrozumiała, że dziewczyna ma tam PDF-a z podręczników omawiających techniki przesłuchania świadków. Uśmiechnęła się w duchu.

– Jestem prawie gotowa, pani komisarz.

– Dobrze – powtórzyła Borkońska. – To szlifuj język, ostrz krawędzie. Zaraz po przesłuchaniu zdasz mi relację.

– Tak jest!

Tego ranka Joanna Samolej dobry kwadrans spędziła przed lustrem w łazience, testując, próbując i trenując szereg min i spojrzeń. Borkońska pierwszy raz zleciła jej przesłuchanie, i to kilku osób, i to w sprawie o zabójstwo, a nie skradzione lustro czy zdeastowaną altanę na pobliskich działkach. Teraz użyła miny numer jeden, podstawowej: świadoma wagi rozmowy funkcjonariuszka. To powinno ustawić świadka, uświadomić mu, że nie będzie tu miękkiej gry.

– Proszę siadać. Jędrzej Lewicki, tak? Można jakiś dokument tożsamości? – Nie patrząc na szarpiaącego się z portfelem młodzieńca z rzadką, przycinaną chyba jednozębną maszynką brodą, ostentacyjnie ustawiła i uruchomiła kamerę. – Czternasty lipca dwa tysiące siedemnastego roku, posterunkowa Joanna Samolej, świadek w sprawie zabójstwa Rafała Góry, Jędrzej Lewicki. Świadek został poinformowany o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy, co potwierdził własnoręcznym podpisem. – Popatrzyła na dowód osobisty, nie dotykając go, i skinęła głową na znak, że można schować dokument.

Lewicki chwycił dowód, ale nie schował, tylko obrócił w palcach i stuknął krawędzią o blat, potem znowu obrócił i stuknął krótszą krawędzią. Odczekał chwilę i powtórzył manewr.

Czy to on będzie mnie wyprowadzał z równowagi? To ja powinnam...

– Proszę streścić waszą imprezę w ciągu lokali na Świętego Antoniego w piątek. Zacznie pan od obecnych, dobrze? Potem godziny rozpoczęcia i zakończenia spotkania. A potem przejdziemy do części zasadniczej.

– Wstęp, rozwinięcie i zakończenie... – mruknął pod nosem Lewicki.

– Tak. Jestem po filologii, więc proszę, skoro pan chce, trzymać się szablonu, bo łatwo wykryję błędy stylistyczne, logiczne, a zwłaszcza merytoryczne. – Samolej uznała, że będzie wyglądała jak polonistka, którą przecież nie była, jeśli położyła dłonie na notesie jak na dzienniku i wpije się w Jędrzeja surowym spojrzeniem. – Zaczniemy. Kto był na imprezie tego wieczora?

– No... Ja, moja partnerka, Zuza Minc, czeka na korytarzu. Poza tym Sebastian Sejno, Raf... Rafał Góra. – Zrobił pauzę na dwa oddechy. – Michał Goniec, Marek Michno i trzy dziewczyny, które poznałem dopiero w piątek. Matylda, kazała mówić do siebie Tylda. Renata. – Zastanawiał się chwilę. – Kalina.

– Spora grupka – skwitowała Joanna. Otworzyła notes i ułożywszy go tak, że jedno skrzydło stało się osłoną, zrobiła na czystej kartce zapis: liczba osób, imiona i nazwiska. Przymknęła notes. – Dwa stoliki, tak?

– No właśnie, za dużo. Jak jest aż tyle osób, to się robią podgrupy, połowa nie wie, o czym mówi druga połowa, jak coś ciekawego, to trzeba powtarzać w kółko, żeby wszyscy usłyszeli.

– A o czym ciekawym rozmawialiście w piątek?

– O niczym ciekawym, szczerze mówiąc. Takie tam... w kółko kto co robi na studiach, Rafał o tym, że w tym roku startuje i nie odpuszcza, te trzy nowe dziewczyny właściwie milczały, coś bąknęły o swoich studiach, ale, jak dla mnie, nieprzekonująco... – Wzruszył ramionami.

– Jakieś spory, sprzeczki?

– „Po co wasze swary głupie, wnet i tak...” – zaczął błazeńsko, ale gdy Samolej trzasnęła dłońią w blat, zamilkł i chyba trochę się wystraszył.

– Twój znajomy leży na stole w kostnicy, a ty stand-upy odstawiasz? Myślisz, że nie możemy ci uprzykrzyć życia, choćby przy pomocy serii wizyt w domu czy dwoma tuzinami pytań o studenta Lewickiego do dziekana?

– Hm-m... Khm... Przepraszam, tak dużo o tym myślałem, że już mi się czerep kisi. – Palnął się dłońią w czoło. – Nie, nie było kłótni, chociaż jak zwykle przy alko musiało dojść do dyskusji, a to o jakimś serialu, a to o słabych koncertach we Wrocławiu... Może tylko Seba, z Rafałem... właśnie... Seba coś mu mruknął, żeby przyhamował, bo Rafik ciągle machał na kelnera. Ale pokazał Siebie kilka setek, a ten tylko pokiwał głową, że niby jak zwykle, co zarobi, to wpuści w szyję...

– Ale tylko tak się starli?

– Chyba tak, ja nic więcej nie widziałem.

– Dobrze. A Rafał? Pokłócił się z kimś? Był zadziórą, miał z ludźmi konflikty?

– Czy ja wiem? Upierał się przy swoim zdaniu, lubił to, ale myśmy go już znali, jak zaczynał się spinać, to reszta odpuszczała, jedni szli na papierosa, inni zaczynali dzwonić i w końcu on nie miał kogo zaczepiać. To była dobra taktyka.

– Przedwczoraj też?

Zastanawiał się chwilę.

– Była jeszcze inba z Markiem, bo wisiał Rafiemu kasę, już od dawna i to podobno sporo. Ale chyba się jakoś dogadali, bo w pewnej chwili było grubo, a za chwilę pili razem.

Joanna zanotowała: „Marek Michno – dług, jakaś większa suma, sprawdzić”

– A zakończenie spotkania?

– Dokładnie nie wiem. Myśmy się z Zużą urwali przed północą. Po pierwsze, zaczęto łać, parasole nie wystarczały, ciągle kapało mi na plecy, Zuza też była wku... rzona. Więc skorzystaliśmy z tego, że i tak się porozdzielaliśmy, i poszliśmy do domu. Kilka minut po północy, może dziesięć po, szliśmy już przez Rynek. To wszystko... Naprawdę, to był standardowy, nawet trochę nudny wypad do knajpy. Szczerze mówiąc, to wolałbym posiedzieć w domu z serialem czy pograć w coś na konsoli, ale postanowiliśmy, że nie będziemy jak boomerka pleśnieć. – Uśmiechnął się krzywo.

A kilka shotów, parę buchów bardzo skutecznie splotkuje pleśń! Gówniarze!

Samolej, starsza od niego o niecałe osiem lat, tydzień temu w urodziny pomyślała, że już chyba kwalifikuje się na starą pannę. Taką, która będzie żyła z pięcioma kotami, a jak umrze, to one zaczną ją zjadać, bo nikt nie przyjdzie ich nakarmić...

Lewicki rozłożył ręce odwróconymi do Samolej dłońmi, cofnął brodę, całym sobą pokazując brak dalszej wiedzy w temacie.

Samolej wyprostowała się energicznie. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że oparcie w tym krześle wydaje pod naporem ciała przeraźliwy skrzek, wyhamowała. Lewicki tęsknie patrzył na drzwi, jakby czekał, że wpadnie przez nie jakaś forma odsieczy.

Joanna ani przez ułamek sekundy nie wierzyła, że w rozmowach z kolegami od piwa wyłoni się obraz zabójcy. Udała więc, że coś notuje, potem zadała ostatnie pytanie:

– Czy Rafał Góra miał jakichś wrogów? Podobno często pożyczał pieniądze, może nie oddał komuś znacznej kwoty? Nie obraził kogoś?

– Nie, no... On pożyczał dwie dychy, pięć. Poza tym z reguły oddawał albo stawiał... – Pomachał w powietrzu rękami z palców – ...na polecenie wierzyciela. Mordować za trzydzieści dwa złote?

– W naszej policyjnej praktyce... – *Boże, co ja pierdolę, jakiej mojej praktyce?* – ...zdarzają się zabójstwa z powodu „dwa pińdziesiąt”!

– Pani... – Uświadomił sobie, że nie potrafi odczytać stopnia policjantki.

– Posterunkowa – oświadczyła Samolej.

– Pani posterunkowa, pani mówi o jakimś pato, a Rafał na pewno taki nie był. Brzydził się takimi ludźmi. Gdyby chciał dać menelowi na browca, toby mu te dwa złote cisnął z metra. A bywało, że to on miał nagły przyptływ hajsu i od niego pożyczali. Tak jak Marek. My studiujemy, pracujemy, my... – Potrzęsnał głową, szukając ciągu dalszego.

Samolej uświadomiła sobie, że nie ma na podorędziu sensownego pytania, patrzyła więc uważnie na Jędrzeja, a jemu wydawało się, że w jej głowie rodzi się jakiś wyrok. I był bardzo tym przejęty.

– Dobrze. – Joanna zamknęła notes, ułożyła równiutko przy jego krawędzi długopis żelowy i odchyliła się na skrzypiącym krześle. – To dziękuję. – Wyjęła z kieszeni wizytówkę i podała Lewickiemu. Przeczytała gdzieś, że kładąc wizytówkę przed rozmówcą, akcentuje się brak wiary w telefon. Podanie do ręki – zobowiązuje. Pilnowała więc, żeby zawsze podawać, a nie składać na stole czy biurku. – Gdyby coś się panu przypomniało, proszę zadzwonić.

Wstała, poczekała, aż Jędrzej schowa wizytówkę do kieszeni i ruszy do drzwi, wyprzedziła go jednak i wyszła pierwsza. Na korytarzu zablokowała chłopaka, udając, że niechcący, i szerokim gestem zaprosiła do pokoju Zuzannę Minc. Po prostu nie chciała, żeby mieli okazję wymienić się spojrzeniami: „No i jak?”, „Udało się, nic nie sypnąłem. Pilnuj się!”

Dziewczyzna usiłowała ominąć wzrokiem robiącą za słup Samolej, ale Joanna odwróciła się i zdecydowanym ruchem odsunęła Lewickiego za siebie, drugą ręką niemal wcisnęła Zużę do pokoju, weszła i zamknęła drzwi.

Prowadząc Zuzannę do stołu, zastanawiała się, czy to przesłuchanie w ogóle ma sens. Młodzi albo niewiele pamiętali, bo się nawalili jak rekruci po przysiędze, albo nie chcieli obsmarować zmarłego, w myśl *De mortuis aut nihil aut bene*, albo zwyczajnie nie zamierzali podkładać świni żyjącym. W każdym z tych trzech przypadków rezultat był taki sam.

I faktycznie przepytywanie Zuzy nie wniosło nic nowego, poza tym, że potwierdziła się informacja o pożyczce zaciągniętej przez Michno u Rafała. Samolej spojrzała na elektroniczną opaskę, wybiła 13.00 i ponad cztery tysiące kroków. Marek Michno ma wezwanie na 14.00. Pomyślała, że zdąży coś zjeść. Od miesiąca była na własnej diecie pudełkowej. Z pensji w budżetówce nie mogłaby sobie pozwolić na wydatek prawie dwóch tysięcy na miesięczny zestaw pudełek. Przekalkulowała, że jak poświęci trochę czasu, to jest w stanie zmieścić się w niecałym tyśiaku na własnych zestawach. Weszła na piętro do pomieszczenia socjalnego i wyjęła „środę”. Było tak gorąco, że zrezygnowała z podgrzewania. Zresztą nie lubiła korzystać z mikrofalówki. Filet z indyka z kaszą jaglaną i surówką z kapusty. Duża porcja – mało kalorii! W myślach dała sobie lajka!

Zostało jeszcze ponad pół godziny do kolejnego przesłuchania. Włączyła ekspres do kawy, stare saeco, które Borkońska przytaszczyła do firmy, bo miała dość parzonego w szklance jacobsa. Wcisnęła „cappuccino”, które traktowała jak deser; plan zrzucenia pięciu

kilogramów do września oznaczał embargo na słodycze. Wzięła notes i kawę i poszła na chwilę do pokoju.

– Jak tam obrabiano? Twój pierwszy raz, prawda? – Malicki nie umiał powstrzymać się od dowcipnego, jego zdaniem, komentarza.

– Maciek, odwal się. Już mi wystarczy, że ta studenteria ze mną pogrywa. – Samolej wciągnęła piankę z filiżanki, dopiła łyk kawy, a potem łyżeczką wybrała ze ścianek resztę spienionego mleka.

– Uuuu, Aśka! Widzę, że na głodzie insulinowym jesteś. – Malicki sięgnął do szuflady i wyjął grzeska. Największego, jakiego Goplana wyprodukowała. – Się pani częstuje. – Uklonił się w błazeński sposób i podsunął batonika jak na pluszowej poduszce, naśladując pazia albo lokaja. – Cały do usług.

– Doceniam, Maciuś, jednak to musi poczekać do września. Przechowaj mi. – Cmoknęła w powietrze, posyłając mu wirtualnego buziaka. – Spadam do konfesjonatu, mam jeszcze jednego pacjenta do wypowiedzania.

Samolej zbiegła po schodach, ale widząc na krześle przed pokojem przesłuchań chłopaka, który nerwowo przebierał nogami, zwolniła. Uznała, że takie skakanie po dwa schodki odbierze jej autorytet i powagę.

– Pan Michno, prawda? – Podeszła i przyjaźnie wyciągnęła rękę.

– No tak, zgadza się. Marek Michno. – Chłopak podał jej zimną, spoconą dłoń. W tym momencie pożałowała swojego gestu. Poczowała obrzydzenie i nie bardzo wiedziała, co ma zrobić. Dyskretnie wytarła dłoń o spodnie i otworzyła drzwi trójki – tymczasowego pokoju przesłuchań. Właściwy, ten z lustrem weneckim, był w remoncie.

– Zapraszam, proszę siadać.

Usiadł, ona po nim.

– Jeszcze chwila formalności i zaraz przejdziemy do wspomnień z feralnej nocy. – Starła się mówić stanowczo, ale też nie zniechęcać nadmiernym chłodem. Włączyła dyktafon i wypowiedziała wszystkie konieczne formułki. Następnie, dowiedziawszy się już tego, co zeznali poprzedni świadkowie, że melanz, że alko i skręty i że się rozeszli i nic więcej nie wiedzą, zajrzała w notatki. – Czy pożyczął pan kiedykolwiek pieniądze od nieżyjącego Rafała Góry? A może on od pana? – zapytała pewnie i stanowczo. Chciała, żeby wiedział, że ona coś wie. Uznała, że to oszczędzi jej gierek w kalambury, a przecież potwierdziły to zeznania Jędrzeja i Zuzy.

Michno nie podnosił wzroku, miętosił róg koszuli – białej i pięknie odprasowanej, pewnie maturalnej. Ciemne loki zakrywały mu pół twarzy, gdy siedział taki pochylony. Milczał. Miał do tego prawo, ale Samolej nie dopuszczała myśli, że odmówi odpowiedzi na pytanie.

– Śmiało, proszę mówić. – Już wiedziała, nawet jej nikłe w sumie doświadczenie podpowiadało, że to typ wrażliwca i trzeba z nim na miękkło.

Trwał tak jeszcze w milczącym pochyleniu, chyba nawet lekko się kiwał. I nagle odrzucił kręcony pukiel z czoła i spojrzał policjantce prosto w oczy, w sam środek źrenic. Miał wypieki, a jedna powieka mocno mu drżała. Usiłował przytrzymać ją dłonią, pocierał nerwowo oko.

– Czekam...

– Tak! Przecież już to wiecie! – krzyknął histerycznie i się rozkaszała. – Dwadzieścia kafli, pewnie to też już wykablowali.

– Dwadzieścia tysięcy? – Samolej nie kryła zdziwienia, a Michno zorientował się, że przegrzał, i wpadł w jeszcze większą histerię, kiwał się na krześle coraz mocniej. Milczał.

Samolej nagle przypomniała sobie scenę z *Czterdziestolatka*: Gajos pyta: „Dwadzieścia tysięcy... czego?” Omal nie zachichotała. – Kiedy? Na co? To nie jest mała suma, jak na... – szukała określenia. – Na studencką kieszeń.

Michno milczał.

– Pytam raz jeszcze: jakie było przeznaczenie pożyczki? I jak pan myśli, skąd zabity miał taką sumę?

Joanna zadawała teraz pytania ściszym głosem i bardzo łagodnie, jakby się bała, że Michno dostanie zaraz ataku paniki.

– Hajs był na samochód, mazdę używaną kupowałem i miałem tylko na połowę. – Wytarł wilgotny nos rękawem koszuli, tej pięknie wyprasowanej. – Mój ojciec jest bogolem, ale jest pryncypialny do bólu. Uznał, że na studiach mogę się obyć bez auta, że on tramwajem na uniwersytet jeździł i inne dydaktyczne bzdety. A czasy się zmieniły, kumple mają samochody, mieszkania własne nawet. Zresztą pożyczać to nie zbrodnia. – Jego głos nabrał mocy, jakby Michno zdał sobie sprawę, że pożyczony hajs nie czyni go przestępcą, i odzyskał pewność siebie. – Ja tę kasę oddam jego rodzinie. Kiedyś, jak... jak uda mi się tę mazdę popędzić, oddam przecież.

– A czy dysponuje pan wiedzą, skąd Rafał miał tyle pieniędzy?

Samolej zdała sobie sprawę, że to może jest zwrot w sprawie i może właśnie siedzi przed nią morderca. Snuła w myślach bardziej lub mniej prawdopodobne historie. Jak to Góra żąda zwrotu kasy, nie chce już czekać, popędza Michnę i grozi mu, a ten go śledzi i pod nasypem wbija nóż pod żebro. Teraz ona poczerwieniała i zapomniała, o co ma jeszcze pytać. Nerwowo coś zanotowała i spojrzała chłopakowi w oczy.

– Dokładnie to nie wiem, jak zdołał skitrac tyle hajsu. Coś mówił, że jakieś interesy z biznesmenami robi, coś w hotelarstwie czy nieruchomościach? Nie wiem dokładnie i nie interesowało mnie to. Miałem oddawać w ratach, po dwa tysiące od września. Wtedy zaczynał robotę, będę grafiką do gier komputerowych robił dla kumpla z branży.

– Dzięki, że jesteś ze mną szczerzy, doceniam to.

Samolej wiedziała, że powinna już kończyć, musiała opowiedzieć to Borkońskiej, poradzić się.

– Szczerzy, phyyy! – Michno prychnął i spojrzał na Joannę z wyrzutem. – Przecież macie już pewnie zapis esemesów z telefonu Rafika. Nie ma co ściemniać, jak się jest przecież niewinnym. – Położył nacisk na „niewinny”, jakby to miało mu zapewnić nietykliwość.

– Nie będę cię wprowadzała w detale śledztwa, dziękuję za te wiadomości. Adres mamy, tyj mój też. Jakby co. Oczywiście na razie nie chcemy, żebyś opuszczał miasto.

– Ale są wakacje...

– I jest trup przyjaciele, tak?

Nagle uznała, że powinna, skoro ma okazję, potrenować różne zachowania, przygotować się do poważniejszych przesłuchań.

Z tego niewiele wynikło.

Chociaż... Przypomniało, że nie odnaleźli telefonu Rafała.

No i te dwadzieścia tysięcy... Przynajmniej Michno odda je rodzinie, bo jak by nie było, obietnica poszła do protokołu.

Domek miał gabaryty angielskich szeregówek, jakie widziała kiedyś w drodze do Lincoln: sześćdziesiąt-osiemdziesiąt metrów kwadratowych, dla pary emerytów wystarczający aż nadto. Tanie ogrzewanie, malowanie, sprzątanie. Gospodyni zgromadziła w salonie wszystko, co jej było potrzebne do życia: telewizor, oldskulową wieżę Otake, dwa kredensiki z bibelotami. Niewątpliwie największym atutem „posiadłości” był wychuchany, uporządkowany z dokładnością co do źdźbła, ogródek. Wielkości też sześćdziesięciu metrów.

– No tak się cieszę, że znalazłaś w końcu czas, żeby mnie nawiedzić! – Wiesława podprowadziła Romę do wiklinowego zestawu, poprawiła poduszki i usadowiła przyjaciółkę. – Nie wiem, czy w ogóle byłaś tu kiedyś u mnie...

Roma otworzyła usta, ale gospodyni jeszcze nie skończyła powitalnej, rytualnie okraszanej lekkim wyrzutem kwestii:

– ...a skoro nie pamiętam, to pewnie nie byłaś nigdy albo tak dawno temu, że pewnie jeszcze nie mieliśmy nawet szklarni!

– Przecież wiesz, że to nie kwestia czasu – odparła Roma. – Będę szczerą: gdyby nie sprawa, tobym pewnie kolejne lata tylko planowała odwiedzić. Zresztą – ty też!

– Hm? No tak, ale to ma nawet jakąś nazwę, takie zasiedzenie na wsi, że się człowiek już nigdzie nie rusza...

– Wiesiu, nie masz pojęcia, jak ci miałam za złe, że wyjechałaś z Wrocławia i dojeżdżałaś sobie do kancelarii te trzy razy w tygodniu! Zostawiłaś to piękne mieszkanie na Sępolnie. Nie mogłam tego zrozumieć. Ale teraz widzę, że dla samego ogrodu warto było wszystko rzucić! Toż to ogród botaniczny!

Roma wstała z wiklinowego fotela i schyliła się, żeby powąchać róże. Pogłaskała sąsiednie geranium i powąchała dłoń.

– Geratrium. Roślina w sam raz dla mnie.

– Romcia, już nie gadaj. Jesteś gibka jak nastolatka. Skłon baletnicy! Zazdroszczę, ja mam problemy ze stawami. Moja szuflada z maściami waży kilka kilogramów, a gdybym wywaliła te, co tylko śmierdzą kamforą, to zyskałabym miejsce na ręczniki.

– Bo mieszkam z młodym chłopakiem – rzuciła, wciągając nad kwiatami. – Muszę trzymać formę. Rano nie patrzę w lustro, bo wiem, że kocyk mojej psinki wygląda lepiej, ale po krótkich dwóch kwadransach stoję w szranki z życiem. I już!

– Kocyk? Lepiej! – Wiesia klasnęła i pokręciła głową. – Boże, Romciu, ty byś mogła wydać słownik dowcipnych charakterystyk... Pamiętasz, jak powiedziałaś o naszym Grzesiu? Nie? Że jest tak leniwy, że budzi się o pół godziny wcześniej, żeby dłużej nic nie robić.

Roma wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętasz? Trudno... – Wiesia przesunęła na stoliku serwetki. – Ty z wnukiem, a ja... – zaczęła mówić głośniej, puszczając do Romy oko – ...ze starym piernikiem. W lustro patrzeć

nie muszę, wszystko jasne! – Wiesia rozłożyła ręce i zaraz złączyła w modlitewny układ na piersi, krzywiąc się konspiracyjnie. Szurnęta czyjaś podeszwa na chodniku.

– Piernik właśnie zrobił wam herbatę. – Od strony domu zmierzał do nich potężny, przypominający Johna Goodmana mężczyzna z tacą. – Nie robię kawy, bo jak słyszę coraz częściej o bezkofeinowej na bezlaktozowym mleku, to mam ochotę pójść na noże i zaproponować zwykłą niegazowaną!

– Flinstone! – Roma oderwała się od róż i potruczała w stronę mężczyzny, z radością machając słomkowym kapeluszem.

– Jabbba dabba duuuuuuu! Helo! maj bejbi! – odpowiedział basem. Po czym postawił tacę na trawie, objął starszą panią i zakręcił nią. – Tak się cieszę, tak się cieszę!

– Tak się nie ciesz, tak się nie ciesz! – zawołała Wiesia. – Ta podstępna jęzda przyjechała w interesach, a nie z tęsknoty za wami!

– Jak w interesach, to otwieram koniaczek. – Flinstone ustawił filiżanki na stole ogrodowym i wrócił do domu. Zjawił się po chwili z butelką i trzema kieliszkami. – Na szczęście do dobrych interesów mam coś dobrego. Może nawet kawkę się...

– Martell cordon bleu! – Roma rozpromieniła się i odruchowo sięgnęła po papierosy. – Koniaczek lubi dym – oświadczyła. – Kawka za chwilę!

Ogrodowa, wypucowana do błysku popielniczka natychmiast wylądowała na stole.

– Henryczku, a trzustka? – zaoponowała Wiesława, z wyrzutem patrząc na butelkę, ale bez większego przekonania, raczej z nawyku. I od razu machnęła ręką. – Z wami nie wygram, zatem odpuszczam i nawet nie negocjuję. I daruj sobie, Romciu, swoją maksymę zdrowotną. Jak to było? „Kto pije i pali, ten nie ma robali”

– To nie moje, podkrađłam Lesi Waligórskiej. I nie daruję sobie martella nigdy! Tomek będzie zazdrościł! – Jak rasowy hipster nad talerzem przegrzebków cyknęła zdjęcie butelki i wysłała wnukowi. – O!

– To jaki to interes? – zaciekawił się gospodarz. – Nie mówiłaś nic. – Teraz on wyemitował w stronę żony swój wyrzut. Podniósł koniakówkę, panie poszły w jego ślady, bezgłośny toast trwał kilka sekund.

– Kryminalny. – Roma powiedziała to w taki sposób, że od razu było wiadomo, że nie o rabunek tu chodzi. – Bardzo ogólnie zacynkowałam Wiesi: zginął młody chłopak, nawet nie tak daleko od mojego domu. Rafał Góra. A najgorsze... – Zgasiła papierosa. – Najgorsze, że pierwszym podejrzanym był jego przyjaciel.

Oboje siechniczanie pokiwali głowami.

– Wiem – powiedziała Wiesława.

– Słyszałem – w tym samym momencie skwitował mąż. – Koszmarna sprawa. Zabity młodziak, drugi...

– Henryk znał go niezłe, tego Rafała... leczył nie raz... dzieciaka, potem młodego – wyrzuciła z siebie Wiesia. – Zresztą – machnęła ręką – kogo on tu nie leczył!

– No, niektórzy odeszli z tego świata bez mojej pomocy – powiedział Flinstone, ale od razu jakby stracił ochotę na żarty. – Wiesz, to jest stara siechnicka rodzina, znam ich od wieków. – Siornął ze swojego kieliszka, potem odstawił go i zajął się herbatą. – Z dziadkiem, seniorem rodu, nawet krótko grywaliśmy w brydża, wykształciuchy próbują trzymać się razem i to trzymanie podbudowuje ich moc. Z Danielem byliśmy też w Klubie Inteligencji Katolickiej, kiedy to coś niecoś znaczyło, taki iluzoryczny, ale opór. – Położył wielką dłoń na lewej piersi. – My, inteligenci i katolicy, a wy buraki i komuchy. On był nawet, a może i jeszcze jest prezesem? – Zastanawiał się chwilę czy szukał w pamięci danych. – Potem ja przestałem się udzielać, bo to było... hm? Żenujące? Takie przypisywanie sobie

jakichś szczególnych zasług w obaleniu tego pseudokomunizmu... On zaś się puszył, jakby sam podsadzał Wałęsę pod murem stoczni.

– A o jego wnuku, o wnuku opowiedz! – ponagliła go żona.

– E tam, mało co ciekawego. Dziadek bardzo go lubił, ale nie rozpieszczał. Sporo takich... godnych rozrywek oferował, odpusty, jakieś wycieczki do sanktuariów... Ale czy to cieszy małego chłopca, który pewnie by wołał do kina albo do Disneylandu?

– Ministrantem był! – nie wytrzymała Wiesia. Jej zdaniem mąż za wolno podawał fakty, co pomniejszało ich wagę. Słuchacza należało, jej zdaniem, oszołomić. – Wszystkim się wydawało, że pójdzie do seminarium duchownego!

Popatrzyła na męża, jakby poganiając: teraz możesz ty!

Posłusznie podjął wążek:

– Nie poszedł, bo nagle strasznie się z dziadkiem startł, nie wiem o co czy dlaczego i chyba nikt poza nimi nie wie, bo Siechnice to żarłoczna na wiedzę czarna dziura, wszystko wchłonie, ale tu – brak danych. A potem młody poszedł do liceum we Wrocławiu. Najpierw dojeżdżał, ale jak tylko mógł, zaczął ponoć gdzieś pracować i wynajął pokój.

– Straszne nieszczęście z tym małym Górą – powiedziała Wiesia. – Śmierć u progu życia. – Położyła dłoń na sercu i westchnęła. Podniosła wzrok na Romę. – Twój wnuk pracuje w policji, prawda?

Roma skinęła głową. Dotknęła paczki czarnych marlboro, ale tylko przesunęła ją po stole. Spodziewała się, że Wiesia zacznie klasyczne lamenty, jednak ta nawet nie podniosła dłoni do policzków, pokręciła tylko głową.

– Rafał to nie był łatwy chłopak – powiedziała, trochę innym tonem niż wcześniej. – Nie że trudny, ale niełatwy właśnie. Coś niecoś wiem od nauczycielek, znam dwie, które go uczyły. Jeszcze inna koleżanka zna jego matkę. – Westchnęła i dopiero teraz łyknęła koniaku. – W miarę uparty, w miarę niesforny, krnąbrny, czasem wycinał jakieś głupie numery... Kościół pomalował w nocy...

– Jak to? – zdziwiła się Roma.

– Spór z proboszczem. Z jednym kolegą pomazali ścianę sprejem, jakieś wyzwiska... – Wiesia skrzywiła się z niesmakiem, a Roma sporządziła mentalną notatkę, żeby się tym sporem bliżej zainteresować. Może zajrzeć na plebanię, podpytać? Tymczasem gospodyni znów podjęła wążek: – No takie dziecko, co to trzeba mieć na oku dwadzieścia osiem na dobę. Teraz, po tym tragicznym zdarzeniu, wiadomo, częściej się o nim mówi w miasteczku.

– Dwie jednostki straży pędziły kiedyś w nocy do wieży widokowej w Kotowicach – wtrącił Henryk. – Bo wyglądało, że się pali, ale to były tylko cztery pochodnie na szczycie i mocna czerwona latarnia. To była ta noc, co to wagary są usankcjonowane? Świąto wiosny czy coś tam? Jak strażacy wracali, to kupa młodzieży witała ich oklaskami, mało się nie pobili pod remizą, młodziaki i strażaki. – Pokręcił głową, czy to zdziwiony takim zestawem, czy własnym rymem. – A to podobno był jego pomysł i realizacja...

Zapadła cisza, jednocześnie to spostrzegli, sięgnęli więc do kieliszków, jakby markowy koniak mógł ją przegonić.

– Ale coś się dzieje, Romciu? – zapytała cicho Wiesia.

Roma popatrzyła na starą przyjaciółkę, zdecydowana uciąć wszystkie dywagacje o samej zbrodni we Wrocławiu, ale odkryła nagle, że Wiesia wcale nie ma w oczach ciekawości, takiej małomiasteczkowej, łapczywej, żądnej sensacji, nie czeka na krwawe detale, którymi mogłaby oszołomić psiapsiółki w kawiarence.

– Tomasz działa w zespole zajmującym się tą sprawą, a ja pomyślałam, że mu pomogę, wyciągając na światło dzienne jakieś fakty o biednym Rafale. Między innymi dlatego...

– Romciu, przestań! – Henryk położył ogromną dłoń na szczupłej dłoni Romy. – Nie dziwi nas to, nie oburza, może uda się jakoś pomóc... pomoc w triumfie sprawiedliwości, że się tak górnolotnie wyrażę.

Znowu popędzili ciszę koniakiem.

– Słuchajcie, proponuję teraz na jakiś czas zakończyć tę smutną konwersację. Pogadajmy o czymś innym, a ja potem zadzwonię do mojej asystentki z przychodni. Jak jest w tym jakaś tajemnica, to Renia ją zna. Do jutra, co najmniej, mamy czas, a przecież możesz tu gościć, ile tylko sobie zamarzysz!

– Tak zrobimy – zgodziła się Wiesia. – Ja też dryndnę, gdzie się da. Może coś wyłowimy! A teraz zapraszam do stołu. Zrobiłam brizol z pieczarkami i frytkami!

– Nasz ulubiony zestaw z Monopolu. – Roma uśmiechnęła się do wspomnień.

– A pamiętasz, jak zabrałyśmy Tomaszka i zamówiłyśmy mu brukselkę pod beszamelem, a on powiedział, że tej małej sałaty nie lubi i chce takiego „hafleta” jak my?

– Oczywiście, musi pamiętać. U nas tylko „haflety”, czy to schabowe, czy mielone – zachichotał Henryk.

– Och, jak mi u was dobrze! – westchnęła Roma. – Powinnam częściej serwować sobie takie wyprawy. Na co dzień mój świat to Tomasz i Kropka, no i partnerka Tomasza – Iwa. Przyjaciół już niewiele zostało. Z Alinką coraz mniej kontaktu. A jak raz się wybrałam do sanatorium, to się skończyło prawdziwym kryminałem. Ale to na osobne opowiadanie.

8

– Pani komisarz, laboratorium obiecuje całość na pojutrze, bo mają tam jakieś trzy wypadki i cztery trupy.

– Laboratorium, Asiu, laboRAtorium – poprawiła odruchowo Borkońska. – Dobrze, a co dali?

Purpurowa Samolej zgarnęła plik kartek, ale wymusknęły jej się z ręki i rozsypały po podłodze. Tomasz zerknął na Borkońską, wzruszyła ramionami: „Nie moja wina”.

W tej komórce twórczo wykorzystując wzruszenia ramion, Malicki wzrusza „Mi to pasuje!”, ona „Nie moja wina”. Muszę i ja obcykać jakiś modelowy tekst, a potem przełożyć na pantomimę.

Posterunkowa pozbierała w końcu kartki, położyła na biurku i zaczęła nerwowo porządkować.

– Asia, a co z tymi kompanami Rafała? – zapytała Borkońska.

– Wszystko, co do tej ostatniej imprezy zgadza się z zeznaniami Sejno. Jedyna ciekawostka to to, że Rafał miał czasem więcej forsy i pożyczył dwadzieścia tysięcy niejakemu Markowi Michno. Na samochód, podobno. Czy to nie stawia go w kręgu podejrzanych? To nie jest jakiś znaczący trop?

– Asia, ja pożyczyłem od Czarneckiego sto tysięcy franków. – Malicki złożył ręce jak do zaobrączkowania i wysunął w stronę dziewczyny. – Prowadź na dołek. – Zarechotał głupio.

– Nie błaznuj, Maciek! – Borkońskiej zrobiło się Aški żal. – Oczywiście, że to sprawdzimy. A protokół przesłuchania przeczytam osobiście. Dobra robota, mała. – Magda podeszła i położyła dłoń na ramieniu Samolej. – Spisałaś się. Góra podkrada kartę, leci na darmochę, a te dwadzieścia koła to skąd? Krajewski jutro jedzie do Siechnic, przepytą rodzinę, może coś się wyjaśni. Może miał kasę od rodziców, na studia?

Nikt jej nie odpowiedział. Wstała i skierowała się do drzwi.

– Zrobię kawę? – zaproponowała. – Czarna, podwójne espresso, bez cukru. – Winkler skinął głową. Borkońska się roześmiała. – Nie, ja informuję, jaką piję, bo taką umiem zrobić dobrze. Inne robię do dupy.

– Dla mnie dokładnie to samo. Zaczy – nie do dupy, tylko podwójne, czarne, gorzkie.

Borkońska wyszła, Samolej postukała plikiem kartek, wyrównała.

– Kurczę, boję się jej jak czarownicy.

– Przecież podobno uratowałaś jej życie. Albo coś koło tego?

– No, ale ona gada z kotem. Kotką. To nie jest normalne. I ma jakiś koci wzrok, wszystko widzi. – Odetchnęła. – No, mam te, kuźwa, kartki. – Nagłym ruchem wyprostowała rękę, podając plik Winklerowi.

Podziękował, przeszedł do stolika z dwoma małymi fotelami. Pomyślał, że stolik powinien stąd wylecieć, skoro ma tutaj przychodzić niemal codziennie. Zajmować biurko

nieobecnego Ryszarda Jakiegoś tam nie chciał.

Zagłębił się w lekturze. Chętnie wypiłby do tego kawę, ale Borkońska nie pojawiała się z żadną, o porządnym doppio nie wspominając. Chętnie by też zapalił, ale...

– Gdzie tu się pali? – zapytał Joannę.

– Na podwórku, na rogu, prawie pod naszymi oknami.

Czytał dalej. Jeszcze pięć minut, ktoś zapukał w dolną część drzwi, łatwo było się domyślić, że to Magda niesie dwie filizanki i puka czubkiem buta, Winkler i Samolej jednocześnie rzucili się do otwierania, dziewczyna była szybsza.

– Sześć się na mnie zasadził – poinformowała. Postawiła swoją kawę na biurku, na stoliku drugą filizankę. – Dobrze, że jak szłam do ekspresu, a nie z gotowymi, boby już była zimna. – Wskazała brwiami raport z laboratorium. – Coś ciekawego?

– Potwierdzenie zeznania Sebastiana. Na nim śladów krwi nie było. Na ubraniu nie ma. Na znalezionym nożu, którego ostrze pasowałoby do ran – nie ma. Będą badać DNA. We krwi alkohol i metabolity po marihuanie. Trochę przyćpali, przynajmniej Sejno. W mieszkaniu prochów brak, dwa jointy w pokoju Rafała. Lapek Rafała jest u informatyków, będą trałowali dysk, to samo z lapkiem Seby. I właściwie tyle.

Tomasz z przyjemnością łyknął kawę. Nic rewelacyjnego, ekspres ciśnieniowy, kawa z Lidla, wszystko znane i lubiane.

– Do mnie dzwonił doktor ostatniego kontaktu, Rafał zginał od ciosu nożem w lewą nerkę, inne rany były już zbyteczne, pierwszy cios śmiertelny. – Magda sięgnęła po filizankę i upiła dwa łyki. Wzniosła dziękczynne spojrzenie na sufit. – Boże! Jaką ja dobrą kawę robię!

Oj, kochana! Ty nie wiesz, co to jest prawdziwie dobra kawa!

– Jest jeden niuansik w tym zabójstwie. – łyknęła jeszcze raz. – Rana powstała po uderzeniu nożem z ostrzem typu recurve. Kojarzycie? – Samolej zawahała się, Winkler skinął głową. Borkońska w starym znakomitym stylu „Znacie? To posłuchajcie!” niezrażona ani wahaniem, ani skinieniem ciągnęła: – Głównia ostrza posiada wygiętą krawędź tnącą, w kształcie tak zwanej fali. Istnieje kilka profili z wklęsłym odcinkiem zaczynającym się od połowy głowni. Zastosowanie – w nożach myśliwskich i nożach do walki, czasem w roboczych. – Dała czas na przyswojenie danych. – Zabójca uderzył, ale nie lewą ręką, jak sugerowałby wybór nerki, lewej, tylko chyba symulując mańkuta, z prawej. Dlatego ostrze weszło po skosie. Dokładnie tak, jak weszłoby w ciało, gdyby zabójca ustawił się z tyłu, nieco z lewej i uderzył z prawej strony. Potem uderzył jeszcze kilka razy, bodajże sześć. – Przypomniała sobie coś. – Prywatnie to niewykluczone, że ofiara leżała od pierwszego ciosu na trawie, to znaczy: leżała, a zabójca ją dźgnął. Następnie, już po wszystkim, przesunął ofiarę wyżej na zbocze nasypu, za krzak, nie wiadomo po co, bo każdy przechodzący i tak by go zobaczył...

– Chyba że w nocy? – ośmieliła się Joanna.

– No tak, w nocy to mogło wyglądać na sprytny ruch – zgodziła się Magdalena. Sięgnęła do koka i poprawiła go, wsunęła jedną szpilę głębiej. – W każdym razie – zabrał telefon ofiary, nie zabrał karty płatniczej Sebastiana. Przypadek?

– Pośpiech? – wtrącił Winkler.

Skinęła głową, ale od razu też pokiwała: „Tak. Może i tak?”

– I tyle. Na razie. Pojutrze może będzie wiadomo, czy był ujarany, czy zdrowy, czy na pewno to cięcie w nerkę było śmiertelne i czy te prywatne opinie o łączącej ofierze mają sens...

– A skąd się w ogóle wzięły?

– Siedem ciosów i każdy trochę inaczej skierowany, lekarz mówi, że albo zabójca tańczył dokoła nieruchomej ofiary, albo powalił ją i dźgał jakby z różnych stron.

Borkońska popatrzyła na Winklera.

– Sebastian mieszka tak blisko, że głupio byłoby go nie odwiedzić... – zaproponował.

– Masz pomysł?

– No, to jest mój pomysł: wizyta u niego.

Chwilę mierzyli się spojrzeniami.

– Nie widzę radości w twoim oku – powiedział Winkler. Kilka lat temu ktoś mu opowiadał, że rodzinę odwiedził apodyktyczny wuj, który upodobał sobie pouczanie pięciolatka gospodarzy. I matka małego zobaczyła, jak ten ubiera się na spacer, wkłada kurtkę i powtarza pod nosem: „Trzeba przestać się bać! Trzeba przestać się bać!” *Trzeba przestać się bać! W końcu, to nie ja złożyłem im propozycję, tylko oni mnie!* – Jak masz lepsze zajęcie dla mnie...

– Nie-nie-nie! – Zamachała rękami. – Idź powęszyc. Psy tak robią.

Podziękował uśmiechem, wstał.

– A Klimaszewski?

Na ułamek sekundy zeszywniała. Pomyślał, że nie ruszyła tematu albo z braku czasu, albo odwagi.

– Eee... Nie było go dla mnie wczoraj ani nie ma dziś. Może jutro?

– Dobra. No bo nie wiem, czy załatwiać sobie klamkę przez Węczyńskiego, tak dotąd się to odbywało, czy będzie inaczej?

– Dam ci swoją, OK? – Roześmiała się, zapraszając do śmiechu i jego, więc z grzeczności powiedział „Ha-ha!”, a potem pożegnał się z Joanną.

Wyszedł na korytarz. Dwaj nieznanemu mu, w widoczny sposób poirytowani policjanci wertowali jakieś dokumenty, na jego widok przesunęli się, żeby mógł przejść, nie przyglądali się mu, zajęci meandrami służby. Na dole pożegnał się z dyżurnym, zerknął przez okno. Z jakiegoś powodu nie chciał, żeby zobaczył go ktoś ze znajomych, którzy wiedzieli, dlaczego odszedł z Firmy parę lat temu. Na parkingu nie było takich. Przeszedł na drugą stronę ulicy i pomaszerował w stronę nieregularnego czworoboku Corte Verona, gdzie mieszkał Seba. Nie tak łatwo jednak dostać się do tego pięknego budynku. Zapory, zasieki i ponury stróż. Szczęście, że blacha detektywa, celowo podobna do policyjnej, działa zwykle jak pilot i otwiera prawie wszystko.

Na drzwiach mieszkania 46 przyklejone było małe logo MPK. Widocznie Sebastian wolał kierować znajomych do lokalu oznaczonego w ten sposób niż nietrzymającym się głowy numerem. Otworzył Winklerowi niemal natychmiast, jakby czekał na kogoś albo przechodził właśnie przez przedpokój.

– Dzień dobry. Kojarzy mnie pan, panie Sejno? – spytał Tomasz.

Seba ponuro skinął głową i usunął się z drogi.

– Trudno nie skojarzyć. Zły gliniarz.

– E tam. Nie zły, tylko wkurzo...

W perspektywie krótkiego korytarza pojawiła się zupełnie niespodziewana postać.

– Cześć – powiedziała Iwa. – Co za spotkanie.

Winkler poczuł przyptyk złości. Niezręczna, niepotrzebna sytuacja.

W końcu to nie obóz harcerski, tylko zbrodnia. Gościu jest podejrzany o zabójstwo. Mogła to ze mną ustalić.

Jednak nie dał niczego po sobie poznać, zmusił się nawet do lekkiego uśmiechu.

– No masz ci los! Teraz nawet nie będę mógł udawać wkurzonego. – Przeszedł obok gospodarza i wszedł do sporego pomieszczenia, łączącego funkcje kuchni, bardzo nowoczesnej, albumowej wręcz, i salonu, też bardziej ikeowego niż swojskiego, mazowieckiego czy łowickiego. – Nie powiedziałaś, że się tu wybierasz, zadzwoniłbym... Pewnie macie do pogadania?

Sebastian wszedł za nim, pomachał rękami w nieokreślony sposób.

– Kawę mogę zaproponować czy coś innego.

– Dziękuję, przed chwilą dokończyłem dużą czarną, na komisariacie.

Ostatnie słowo spełniło swoje zadanie. Gospodarz drgnął, złożył ręce na piersi, nie splatając ich, chwycił się za łokcie.

– Nie mam...

Winkler zrobił krok w kierunku półki z kilkoma tylko książkami, większość miejsca zajmowały niewielkie figurki, pewnie elementy z jakichś planszówek albo wspomnienia z gier, filmów, RPG. Niektóre imponowały precyzją wykonania i malowania. Winkler zdawał sobie sprawę, że nie były to kunsztowne rzeźby spod ręki Seby, tylko zakupione odlewy, co najwyżej pomalowane przez Sejnę.

Albo Rafała.

– Czy Rafał miał albo mógł mieć jakichś wrogów? – zapytał.

Sebastian milczał. Nie było wiadomo, czy się zastanawiał nad odpowiedzią, szukając odpowiednich słów, czy po prostu nie chciał obgadywać przyjaciela.

Iwa usiadła na kanapie, Tomasz przysiadł obok.

– Jaki on był?

Sebastian milczał jeszcze chwilę, poruszały się tylko jego brwi i broda, jakby z ust chciały ulecieć jakieś słowa, ale on powstrzymywał je siłą.

Cofnął się dwa kroki i oparł o kuchenny blat w niezłe udającego naturalny kamień tworzywa.

– Był... nierówny... – powiedział, potykając się o chrypę na trzeciej sylabie. – Jednego dnia wspaniały kumpel, z fajnymi pomysłami na popołudnie, a za dwie godziny niemal furiat z pretensjami do całego świata. – Popatrzył obok Tomasza. – Te figurki... To on malował. Gdy miał już ze dwanaście, nagle jedna mu się nie spodobała, znaczy to, jak pomalował. Zamiast zetrzeć farby rozpuszczalnikiem, wyrzucił ją do kubła. I pozostałe jedenaście też. Ja je wyciągnąłem, godzinę przekonywałem go, jaki jest wspaniały w tym malowaniu... – Skrzywił się. – Zrobiłem sobie tym krzywdę, bo on już nie trzymał figurek u siebie, tylko malował i przynosił tutaj, a ja nie chciałem mu mówić, że mi one zwisają. – Zerknął przez okno, ale widok go nie zainteresował. – Ludzie pytali, po co mi to, a ja się musiałem wykręcać, że hobby, że gry, że dzieciństwo. Rafał pewnego dnia zaczął marudzić, że on wydaje kupę kasy na figurki, farby, pędzle, a całą przyjemność to mam ja.

– Była kłótnia? – zarzucił haczyk Winkler.

– Nie tam! Powiedziałem, żeby zabierał swoje zabaweczki, bo mi do szczęścia bardzo potrzebne nie są. No to odpuścił, ale zaczął, z kolei, rozdawać. Co fajniejsze wybierał i robił prezenty, choć mało kto był szczerze zainteresowany. Tutaj zostawiał w sumie śmietnik, to odpadowa wystawka. Już miałem postawić sprawę na ostrzu... – Zająknął się, zamilkł z szeroko otwartymi oczami.

Winkler poczuł na sobie spojrzenie Iwy, ale nie spuszczał oka z Seby.

– Dobrze, a jak go traktowało otoczenie? Znajomi? On startował i nie dostał się na co? Kulturoznawstwo?

Odpowiedź poprzędziło kiwanie głową.

– Tak, zabrakło mu punktów z matury. Potem stwierdził, że jednak prawo. Że może mógłbym mu pomóc, że akurat z historii jest dobry. Dlatego szykował się do płatnego pierwszego roku, w planie było zawojowanie wysokiej średniej, co miało mu dać szansę przejścia na dzienne... Nie wiem, nie interesowałem się za bardzo jego planami, bo wiem, że jego plany to jedno, raczej mrzonki, a realizacja... – Popatrzył na Winklera, potem na Iwę, znowu na Winklera. Chyba zbierało mu się na płacz. Jakies więzy, choćby tylko powierzchownej przyjaźni, łączyły chłopaków, pomyślał Tomasz. Zerknął na Iwę, odpowiedziała spokojnym, ale, tak mu się wydało, porozumiewawczym spojrzeniem. – Był chaotyczny i niezorganizowany, miał jakieś swoje tajemnice. Były tygodnie, że nie śmierdział groszem, a potem nagle szastał hajssem, stawiał w knajpach, kupował drogie ciuchy, markowe buty. Raz zalegał z czynszem za kilka miechów, a potem zjawił się z PS4 i zestawem najnowszych gier. – Chłopak wskazał wzrokiem na szafkę, na której stały konsola i stos pudełek.

– Ten telewizor – to też Rafik. – Sebastian przeniósł spojrzenie ciut wyżej na wielką, na oko siedemdziesięciopięciocalową plazmę. – Nie pytał, nie ustalał nic. Kurier wniósł pudło ze sprzętem, a Rafał tylko rzucił, że montujemy i że to prezent, więc nie muszą się składać. – Potarł ramiona, jakby zmarzł. Był błądy, zmęczony, wycieńczony wręcz.

– I nigdy nie wspominał, skąd taki nagły przypływ kasy? – Winkler spojrzał na Iwę, ale ta przeglądała pudełka z gramami, jakby tam miała znaleźć odpowiedź. „Powiedz, w co grasz, a powiem ci, kim jesteś”

– Już mówiłem, miał swoje tajemnice. Znikał na kilka dni, ja nie drążyłem, co robi, ale nie była to stała praca, na pewno nie. Bywało, że dłużej niż tydzień siedział w domu i napięprzał w *Horizon*. Po takim maratonie ruszał w miasto, jakby zatęsknił za ludźmi. Wtedy musiało być hucznie i na bogato. – Chłopak wstał i podszedł do klimatyzatora. – Przepraszam, skręć trochę, bo mnie coś telepie, może jakaś grypa mnie bierze?

Iwa odłożyła pudełko z *Wiedźminem* i spojrzała na chłopaka z troską.

– No dobrze, to kuruj się. Masz jakiś gripek czy coś?

– Pewnie tak.

Sebastian poszedł do łazienki, żeby sprawdzić apteczkę. Tymczasem Winkler poderwał się i bez słowa ruszył w głąb mieszkania. Otworzył pierwsze drzwi obok łazienkowych, nie wiedział, do czyjej sypialni trafił, ale po chwili, patrząc na bałagan, uznał, że to Rafała. Sebastian wydawał się bardziej uporządkowany.

Nie dotykając niczego – choć na pewno technicy przeorali już pomieszczenie – obszedł pokój. Klasyka Ikea. Łącznie z narzutami i poduszkami. Mało elementów indywidualizujących, zero prywatności. Uchylone drzwi szafy prezentowały kłęby ubrań, kompletnie nieposortowane. Oczywiście można było założyć, że to policjanci – zwinęli w tobofy porozrzucane po podłodze ubrania i cisnęli do szafy, ale Winkler uznał, że Rafał po prostu miał taki sposób na przechowywanie ciuchów.

Na komodzie, a właściwie dwupoziomowym systemie czworoboków leżało kilkanaście książek, nie za wiele jak na studenta prawa, nawet zaocznego czy *in spe*.

Dwa notatniki, jeden nieużywany. Drugi służył szkicowaniu trolli i krasnoludów, może Rafał miał taki zwyczaj zajmowania czymś ręki podczas długich rozmów. Gdzieś w połowie notatnika znajdowała się archaiczna pocztówka, odkrytka, jak nazywała je Roma. Winkler obejrzał klasyczny, podzielony na cztery części prostokąt i centralnie umieszczone koło. W prostokątach jakiś las, jezioro, gniazdo czapli, drapieźnik w locie... Po drugiej stronie, bez adresata, znaczka, kilka słów: „Przyjaciel kocha w każdym czasie, a bratem się staje w nieszczęściu. Prz 17, 17”

Winkler przechylił odkrytkę do światła, odczytał nazwisko fotografa, Zaleski Z., i „spis treści”: „Borek Tulibor, Jezioro Baba, Rybołów w locie, Zachód Słońca na jeziorze Baba”. Włożył pocztówkę do notatnika, odłożył go na mebel.

Przespacerował się po pokoju. Przez niemyte od miesięcy szyby wpadały promienie słońca, przesiane liśćmi drzew, co łagodziło trochę wrażenie zaniedbania. Pod oknem walały się wymieszane trzy pary butów, wszystkie wysokomarkowe, sportowe, może nawet niewygodne, ale lansiarskie, tyle Winkler wiedział.

Puste ściany, właściwie wszystko... puste? Winkler nagle zrozumiał, że gdyby ktoś zabrał ciuchy Rafała, tylko ciuchy, to z pokoju zniknąłby również mieszkaniec, nie zostałyby nic osobistego, więcej – NIC by nie zostało! Tu nie było człowieka. Tomasz przesunął się pod okno i jeszcze raz zlustrował pokój.

Kurwa mać. W więziennej celi jest więcej śladów po mieszkańcach niż tu.

Ani plakatu, ani zdjęcia, ani lustra, właściwie jedynym, poza ubraniami, śladem, że ktoś tu mieszkał, była ładowarka stercząca z obluzowanego, prezentującego druciane flaki kontaktu.

Winkler poczuł niechęć do tego pokoju, jakieś suche obrzydzenie, i – co go zdziwiło – niechęć do jego nieżyjącego lokatora. Bo Rafał ucale tu nie mieszkał, tylko spał, pił wodę, kąpał się i wypróżniał. I nic więcej. Superprzejsiowy lokator.

Wrócił do skandynawskiej kuchni. Iwa patrzyła w okno, choć widać tam było tylko drzewa i czasem błyskało odbicie słońca w samochodowej szybie. Sebastian siedział na krześle z łokciami opartymi na kolanach i z głową w dłoniach.

– Będiesz pytany o wiele rzeczy, Sebastianie. – Winkler usiadł obok Iwy, dotknął jej dłoni i szybko pogłaskał. – Przede wszystkim o jego kontakty, znajomych, przyjaciół, dziewczyny. O jego wierzycieli...

Sebastian zaczął kręcić głową. Winkler przerwał na dwie sekundy i po chwili kontynuował:

– Można założyć, że był winny pieniądze nie tylko tobie. Może od kogoś pożyczył za dużo?

Sebastian znowu pokręcił głową, ale trochę inaczej – wyraźnie przecząc.

– Nie pożyczał... a jeśli, to niewielkie sumy. A zdarzało się, że sam pożyczał komuś i to nie mała.

– Ale rozumiesz – zaczęła Iwa. Uświadomiła sobie, że Tomasz nie prowadzi towarzyskiej rozmowy, zerknęła na niego i nie widząc zakazu w jego wzroku, dokończyła pytanie: – Rozumiesz, że ktoś musiał mieć powód, żeby go zabić?

– Jest oczywiście szansa, że po prostu szedł pijany i naćpany i jakieś bydlę uznało, że to łatwy łup... Ale prościej byłoby dać mu w łeb, zabrać, co miał, i wiać, gdzie się da. Po co zabijać? I nie zabrać karty?

– Po co komu karta? – wychrypiął Sebastian. – Przecież bez pinu niewiele zyska! – prychnął. – Zwinął ją z mojej bluzy, wisiła na oparciu, jak byłem w WC. Dobra, mógł pójść do jakiegoś całonocnego i nakupić chlania...

– Właśnie! A skoro tego nie zrobił, to raczej nie o kartę chodziło, rozumiesz? Nie o kilkaset złotych, tylko o coś więcej. Rafał mógł być winien coś innego, przysługę, wiadomość...

– Jaką, kurwa, wiadomość? On nic nie wiedział, on był... niedorośły! Nie miał żadnej użytecznej wiedzy, był tylko... – Z oczu zaczęły mu płynąć łzy. – Był tylko... duszą towarzystwa... zasraną duszą towarzystwa, kurwa! – Podniósł twarz i popatrzył na Iwę, a potem na Winklera. – Potrafił namówić ludzi, żeby w nocy, bez żadnego planu, usiedli

do pociągu i jechali na Hel! Albo włamywali się do parku linowego i po ciemku łazili po tych pierdolonych linach...

– Przymknij jadaczkę, Seba! – Iwa klasnęła w dłonie. – Wyszedłeś już z imprezy w Pokoyhofie, jesteś w domu, a twój przyjaciel nie żyje!

– Dobra, ale to mój przyjaciel! – wybełkotał chłopak. – Nic nikomu złego nie zrobił, wisiął drobne kwoty, sto, dwieście... Ale za to każdy mógł liczyć, że jak będzie przy kasie, to postawi kolejkę, zamówi Ubera, nawet przenocuje na podłodze, ale zawsze...

Wytał przedramieniem twarz, potem chyba uświadomił sobie, że to mało eleganckie, więc wstał i podszedł do blatu. Z ogromnej rolki szarobłękitnego papieru, pasującego raczej do warsztatu niż do szwedzkiego salonu, oderwał duży kwadratowy płat, wytarł nim oczy i wydmuchał nos. Kłęb papieru wrzucił do kubła. Chwilę stał oparty o meble, tyłem do Iwy i Winklera, potem sięgnął do lodówki, ale nie otworzył drzwi, odwrócił się i powiedział:

– Nie mam czym was poczęstować, nawet wody nie mam.

– Ja poproszę kranówkę – powiedziała Iwa. – No co? – rzuciła zaczepnie do Winklera. – Wierzę w kranową!

– A proszę bardzo. – Uśmiechnął się, przyjęła jego fajkę pokoju, odwzajemniła uśmiech.

Chciał powiedzieć, że mogą kupić tę reklamowaną mocno maszynę do robienia sodowej, ale przypomniał sobie, gdzie są. Odwrócił się do Sebastiana, stojącego wciąż przy drzwiach lodówki.

– Jestem w dość głupiej sytuacji, znamy się prywatnie, ale zajmuję się tą sprawą służbowo. Prywatnie więc, ale nie naruszając reguł i przepisów, radzę ci usiąść i przemyśleć całą waszą znajomość. Będziesz o to pytany, może nawet przeze mnie. Najlepiej spisz wszystkich znajomych Rafała, o których wiesz, zaznacz, kto był tylko kompanem od działki, a z kim miał jakieś, jakiegokolwiek interesy. Gdzie pracował. Kiedy pojawił się we Wrocławiu, co zamierzał tu robić. Nie obawiaj się, że ktoś cię zapyta, dlaczego tak się przygotowałeś, powiesz mu, że to ja ci tak poradziłem. Ale serio – to ci naprawdę pomoże przebrnąć przez przesłuchania, bo one będą. No i chyba jesteś też zainteresowany wykryciem i ukaraniem sprawcy.

Seba poderwał głowę i odetchnął dwa razy, jak przed skokiem do wody.

– Zaje... – Przerwał i pomachał do Iwy przepraszająco ręką.

– Nie odgrzajaj się – powiedział głośno i wyraźnie Winkler. – I nie próbuj prowadzić własnej gry z zabójcą. Tylko zaszkodzisz sobie, a sprawcy możesz pomóc...

– Jak mogę mu pomóc? Jak?! – wrzasnął.

– Choćby ostrzegając go, informując niechący, że ktoś jest na jego tropie, nie kumasz?

Winklerowi było żal chłopaka, ale nie mógł pozwolić na to, by Seba zaczął buszować po znajomych, wypytując, kto co wie o Rafale. Nie wierzył w przypadkowe rabunkowe zabójstwo, takie rzeczy zdarzały się w określonych środowiskach, w sytuacjach podłanych alkoholem, w zaćpanych melinach, jako wynik kłótni o bucha czy igłę, zabójstwa dla portfela zdarzały się, na szczęście, stosunkowo rzadko i nie widział powodu, żeby właśnie on, właśnie teraz i właśnie w tym towarzystwie napatoczył się na taką sprawę.

Seba sapał chwilę, a gdy już wydyszał wszystkie emocje, przygarbił się, opadły mu ramiona. Pokręcił głową i owinął się kocem.

– Jednak muszę się położyć. – Przejechał dłonią po czole, jakby sprawdzając, czy faktycznie nie gorączkuje.

Winkler podniósł się, chwilę stał i myślał. Coś przyszło mu do głowy, wcześniej, gdy instruował Sebę co do spisu kolegów i przyjaciół Rafała, ale kiedy skończył mówić, taśma z myślową notatką spadła z rolki i zwinęła się w nieczytelny kłębek.

– Dziękuję za gościnę – powiedział. Uświadomił sobie, że zabrzmiało to ironicznie, a nie miał takich intencji. – W sumie sytuacja jest trudna, jak zawsze, kiedy kolidują znajomości i oficjalne stosunki. Ale nie przejmuj się tym, zachowuj normalnie, jeśli będziesz rozmawiał z kimś z policji, wszyscy wiedzą, że się znamy, nie mam z tym problemu. – Odwrócił się do Iwy. – Wracam stąd do domu, wezmę psy do tego ichniego rajy na Sztabowej.

Pokiwała głową, potem sprawdziła godzinę.

– No to umówmy się tam. O czwartę?

– Dobra, dam im pół godziny, może kwadrans dłużej, jeśli znajdzie się jakieś fajne towarzystwo, a gdzieś o wpół do piątej, może za piętnaście będziemy wracali. Jak się wyrobisz, to wpadnij.

– Jasne.

Skinął głową Sebastianowi i wyszedł.

W windzie dopadła go myśl, która umknęła mu przed chwilą w mieszkaniu, więc szybko wyjął telefon i zaczął pisać SMS-a do Iwy. Winda się zatrzymała, wyszedł i dokończył wiadomość: „Na lodowce jest pocztówka, widoczki z lasu, rybołów ze zdobyczą w dziobie, zobacz, co jest na drugiej stronie”.

Po trzydziestu sekundach odebrał: „OK”.

Wyszedł z budynku, w sklepie kupił puszkę jakiegoś energetyka z lodówki, w którego wartość energetyzującą wątpił, ale temperatura napoju była mocnym argumentem.

Wypił po drodze do nissana, wyjechał na Kruczą i skierował się w lewo. Kolejny raz, jak mawiała Roma: kilkunasny, pogratulował sobie zakupu: solidne prawie dwutonowe auto, z wystarczająco mocnym dieslem, miło sunęło po kaprawej kostce ulicy, lekceważąc drobniejsze kawerny i spoiny bruku. No i siedział wysoko, ale wsiadało się i wysiadało wygodnie, co wychwalała nawet sceptyczna Roma.

Nie włączał radia, wolał przepłukiwać mózg, odcedzić, posortować, uporządkować myśli.

Jazda trwała krótko, to były niecałe dwa kilometry, zaparkował, jak zawsze zadowolony, że w okolicy nie było żadnych biurów korporacyjnych firm zatrudniających hordy zmotoryzowanych. Przechodząc obok, obrzucił kontrolnym spojrzeniem swoje stare clio, które z sentymentu utrzymywał w gotowości i formie.

Dotarliśmy na piętro, włożył klucz do dziurki i delikatnie przekręcił. Udało się nie obudzić Kropki ani Zgagi, dzięki czemu nie musiał syczeć, machać rękami i pędzić do szafki z kęskami tłumiącymi ujadanie. Spokojnie przygotował dwa, chwycił smycze i zagwizdał. Usłyszał pazurki, Kropka wyjrzała z pokoju i zastanawiała się chwilę, obok niej przemknęła Zgaga, nie tak wyrachowana jak leciwa kundliczka. Szybko pochłonęła swój pasek suszonego wołu, usiadła i czekała na spacer. Kropka wdychając teatralnie, dotarła do smakołyka, usiłowała chwycić go i uciec na kanapę, ale refleks uratował Winklera od negocjacji z suczką, która chętnie opuściłaby spacer, przeznaczając ten czas na drzemkę w starym polarze Tomasza.

Smartfon brzęknął informacją o MMS-ie. Spojrzał – Iwa.

Na zdjęciu była biała strona pocztówki. Ten sam, na oko, charakter pisma, ale cytat inny: „Brat jest zrodzony na chwilę nieszczęścia, Prz 17,17”.

Sprawdzić, nie zapomnieć!

Ruszyli w stronę Sztabowej. Często podjeżdżał tam samochodem, ale tym razem postanowił nabić trochę kroków, żeby sparowana z krokomierzem opaska się z niego nie nabijała. Poza tym żał mu było pakować Zgagę i Kropkę do czystego ciągle nissana. Chciał jeszcze przez jakiś czas pojeździć bez kłaków, piachu i śliny na tapicerce. Jednak pokonanie tej odległości z dwoma psami okazało się karkołomne. Dziewczyzny nie zgrały się jeszcze

w synchronicznym chodzeniu na smyczy i Tomek odstawiał krakowiaczki, wyplątując nogi z kłębowiska linek.

Na Sztabowej minął strzelnicę War Zone, gdzie zaglądał czasem, żeby kompletnie nie wyjść z sprawy. Zresztą kiedy pierwszy raz pracował w policji, też musiał tutaj „odstrzelać swoje i za swoje”. Firma nie miała kasy na częste szkolenia i treningi. Czasem nawet papier do drukarki trzeba było przynosić z domu, nie mówiąc o kawie.

Zgaga szarpnęła smycz, zorientowawszy się, że plac zabaw jest już niedaleko, natomiast Kropa ociągała się coraz bardziej. Gardziła tymi slalomami i skakaniem przez oponę, najchętniej kładła się w cieniu ławki i z politowaniem zerkała na szalejące szczeniaki albo zawsze chętną do wygłupów Zgagę.

Zamykając furtkę psiego raj, zobaczył podjeżdżające isuzu Iwy. Pomachał jej i wszedł na teren wybiegu, uwolnił psy i siebie od splątanych smyczy, wyjął fajki. Zbierał się do rozmowy o pryncypiach w całej tej sprawie. Rozumiał, że Seba jest jej znajomym, ale Iwa powinna przecież dopuszczać możliwość udziału chłopaka w zabójstwie. A wyglądała, że przyjęła za pewnik, że jest niewinny.

Po chwili Iwa Jurek zręcznie, żeby nie wypuścić spuszczonej ze smyczy psów, wśliznęła się na wybieg.

– Nie widzę samochodu, przyszliście z butą?

– Z pazura chyba, Kropka ledwo doczłapała, ale wracamy z tobą.

– A coś taki nachmurzony? Kropka sfajdała się na chodnik?

– Nie, psy zachowały się nienagannie. – Mocny akcent padł na słowo „psy”.

– Yhm, zatem jacyś ludzie narozrabiali? – Iwa domyślała się, co go wkurzyło, i sądziła pewnie, że obroni się żarcikami. – O wy! Niedobre człowieki! Podłe wilki, co drugiemu hieną jesteście! Opamiętajcie się, powiadam wam!

– Nieśmieszne. Nic a nic. Bez jaj, Lucia! To sprawa o zabójstwo, a ty wbijasz na chatę do głównego podejrzanego i rozdajesz darmowe głaski?

W jej spojrzeniu rozjarzyła się błyskawice.

– Podejrzany zeszary! Nie wierzę, że to zrobił, rozumiesz? Nie ma takiej opcji! Alko, dragi

– tak! Ale zabić kumpla? *No way!* Nie-wie-rzę! Znam go od lat, Tomek!

– No właśnie. Dlatego jesteś nieobiektywna, masz w głowie jakiś obraz chłopaka, niekoniecznie prawdziwy. Zachowuj się odpowiedzialnie. Jesteś psycholożką, behawiorystką. Po co poszłaś do niego? Od razu jak go z aresztu wypuścili? Dobrą ciocię odgrywać? Litości!

Winkler nakręcał się coraz bardziej, a Iwa przeciwnie, słuchała wręcz z pokorą. Wiedziała, że jak leci na takim poziomie irytacji, to trzeba przeczekać, nie przerywać i nie kontrować. Z pomocą przysłała Zgaga: w pysku taszczyła wielkiego drągała, zaczęła trącać Tomka i zachęcać do rzucania, a że patyczysko było wielkie, nie mogła normalnie szczerknąć i wydawała tak śmieszne dźwięki, że Winklerowi nawet żyłka na skroni przestała pulsować. Wtedy Iwa odważyła się odpowiedzieć na zarzuty.

– Tomek, wyluzuj trochę. – Położyła mu dłoń na ramieniu i ściągnęła psie kłaki z bluzy. – Zadzwonił do mnie Janek, ojciec Seby. Jest w rozszypce. Po rozwodzie, a już na pewno od śmierci Magdy, nie układało się im z Sebastianem, nie dogadywali się zupełnie. Seba obwinał ojca, że tamtego dnia nie zabrał Magdzie kluczyków, chociaż wiedział, że wypita już kilka kieliszków wina. Ale Janek... Ona była wstawiona, wyskoczyła z jakimiś starymi pretensjami. Oczywiście, że on miał inne zdanie... Sprzeczali się, Magda nagle postanowiła pojechać do siostry, do Świdnicy. Potem już wiesz. Kiedy leżała w śpiączce, Janek siedział w szpitalu prawie bez przerwy. Seba, który zawsze był synkiem mamusi, upadł w totalną histerię. Jeździłam z nim do psychiatry dziecięcego, miał wtedy trzynaście lat. Nie chciał być

u babci ani ciotki w Świdnicy. Nie chciał też odwiedzać Magdy w szpitalu, żeby nie patrzeć na Janka! W tamtym czasie, w tamtej sytuacji nienawidził ojca. Pomieszkiwał u mnie, pamiętasz przecież. Gdy po trzech tygodniach Magda zmarła, przyjęła to z otępieniem, nawet nie płakał. Fakt, był na lekach, ale reakcja dziwna. Nawet na pogrzeb nie chciał iść.

Iwa przytuliła się do Tomka i westchnęła, a on pocałował ją w czubek głowy, potem poczochnął jeżową fryzurę. Zazdrosna Kropka zaczęła ujadać i drapać nogę Winklera, piszcząc: „Wybierz mnie, wybierz mnie!”

– Dobra, dokończymy w aucie, spadamy do domu. – Tomek pozwijał smycze i ruszyli ku wyjściu. Z daleka pomachała im znajoma pani Ola, zmierzająca ze swoim bokserem starszkiem w stronę psiej bawialni. Zgaga i Kropka wystartowały bezbłędnie w stronę isuzu. Wpakowały się na tylne siedzenie i padły, sapiąc, ziając i śliniąc swój psi kocyk.

Iwa ruszyła i ciągnęła opowieść:

– Potem przyjechała siostra Magdy i jakoś się podogadywali. Julia mieszkała z nimi ponad miesiąc, chodziła z Sebą do terapeuty.

Tomek spojrział na tylne siedzenie, bo sukki podejrzenie cicho siedziały.

– Lucia, co to za pudło one tam rozwalają? Bo miny mają pokutne, węższą zbrodnię!

– Fuck! – Iwa przyhamowała, gwałtownie zerkając do tyłu. – Kretynka ze mnie, kupiłam u Spychały wuzetki pojednania i...

Kierowca opla z tyłu zatrąbił przeciągle, wyminął ich i zamachał ze złością.

– Patrz na jezdnię, srał pies wuzetki! Bo się skotłujemy z psami i kremem!

– Zżarł pies wuzetki, Winkler, a nie srał – zaśmiała się Iwa.

Dojechali na swoje osiedle już bez przygód, w zgodzie.

Po chwili byli na Pereca, a Iwa niosła nowe pudło wuzetek.

– Tomek... – odezwała się głosem prosząco-pokornym, gdy wsiadła.

– Tak? Już się boję, co wykombinowałaś. Dawaj!

– Janek chciałby cię zatrudnić, no wiesz, prywatnie. Żebyś udowodnił, że Seba nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią. Powiedział, że cena nie gra roli. On jest zdesperowany, załamany. Obwinia się o wszystko. On już, w pewnym sensie, stracił jednego syna...

– W jakim sensie stracił? Tego Bogdana, przyrodniego brata Seby? Z tego, co mówił Sebastian podczas przesłuchania, wynikało, że chłopak żyje. To on poznał go z Rafałem, gdzieś w Holandii. – Winkler spojrzął za siebie, na tylne siedzenie, i zobaczył dwa psie nosy przy uchyłonej szybie. – Jedźmy, mała, bo zaraz będziemy mieli dwa hot-dogi w samochodzie.

Przejęła pudło z ciastkami i ruszyli w stronę domu.

– No stracił, w takim sensie, że od lat nie mają kontaktu – podjęła temat Iwa. – Bogdan to syn Janka z pierwszego małżeństwa i nie chce mieć z nim nic wspólnego. Zmienił nawet nazwisko na panieńskie matki. Z tego, co mówiła mi Magda, wiem, że dzieciak był młodzieńczą upadką. Rodziną byli zaledwie kilka lat. Mama Bogdana była kelnerką, a Janek zaczął pracę naukową na uczelni. Dwa światy, które się rozjechały. Rozstali się ponoć w zgodzie, ale chłopiec miał zaledwie kilka lat i zamiast ojca coraz to innego wujka. Widywali się okazjonalnie, jakiś wypad na lody, ale po ślubie Janka z Magdą i narodzinach Seby zupełnie przestali się spotykać.

Zwolniła, widząc, że na sygnalizatorze czas kurczy się do 08, Iwa nie lubiła przeskakiwać skrzyżowania, nadeptując w ostatniej sekundzie na ogon.

– Chłopcy poznali się dopiero na pogrzebie taty Janka. Dziadkowie utrzymywali kontakty z obydwooma wnukami, ale osobno. I po tym pogrzebie, kiedy trzeba było zlikwidować dom, bo wdowa, babcia Gienia, nie mogła już tam sama mieszkać, Bogdan

i Sebastian pomagali w pakowaniu, sprzątaniu i przenoszeniu rzeczy. Pilnowała tego Magda, bo Janek kończył habilitację i na nic nie miał czasu. Może właśnie nieobecność ojca sprawiła, że bracia jakoś się zaakceptowali. To właśnie ze sprzedaży domu po babci Janek z Magdą kupili mieszkanie w Corte Verona i spłócili Bogdana, bo babcia zaznaczyła wyraźnie, że ma być sprawiedliwy podział.

Iwa zaparkowała pod samą bramą, wypuściła zgrzane suczki na krótkie siku, ale zamiast tego dopadły niewielkiej kałuży i wysiorbały z niej prawie całą wodę.

– To jak, detektywie? Bierzesz robotę? – zapytała, odgrywając błagalne spojrzenie spaniela.

– Odpada, Iwucia. – Podeszedł i objął ją, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia z kilku punktów wieżowca. Optometryści byliby zachwyceni poprawą wzroku swoich klientek. – Przecież jestem teraz policjantem?

– A jesteś?

– Jestem.

– A tak szczerze, po co ci to? Przecież teraz, ze swoimi dokonaniem w Polanicy i w sprawie Mateńczuka, po bardzo dyskretnym piarze wdrzesz się do czołówki polskich detektywów. Więc ten etat to już ci nie bardzo do czegoś potrzebny.

– Wiesz... miła odmiana...

Odsunęła się i obdarzyła Tomasza osłupiałym spojrzeniem.

– Miła odmiana? – powtórzyła. Pokręciła głową. – Nie mam argumentu, Tomasz, nie mam. To jakby prowadzonemu na szubienicę kat powiedział, że będzie jednak ścięty, a ten na to: „Hm? Miła odmiana!”

– Pożyczyłaś od Romci jej *666 dowcipnych ripost na 333 okazje*?

Roześmiała się.

– A ma coś takiego? Wredna żołą, nie podzieliła się.

Zawołał suczki, podeszły grzecznie, w domku czekała porcja chrupek i jakieś przemycone od babci przysmakołyki.

– Wyślemy ją na spacer z psami, to ci pokażę jej „skryjówki” w bibliotecznym...

– Phi, tę z nalewką to już znam, podzieliła się.

– Hm, szybko poszło. Ale coś się jeszcze znajdzie!

Ruszyli do bramy, przed którą stały dwie starsze panie.

– Skanuje nas co najmniej sześć spojrzeń – szepnęła Iwa – razem jakieś czterdzieści siedem dioptrii.

– W doskonałym stanie te dioptrie, Roma mawia „Dobre, ciekawskie poniemieckie dioptrie” – Tomasz otworzył bramę, wpuścił Iwę, ale oczywiście pierwsze wepchnęły się suki.

– Wie, co mówi, sama ma ich kilka, nie?

Roma przebudziła się o zwykłej porze. Od lat wstawała o 6.30, niezależnie od tego, o której położyła się spać. Im była starsza, tym lepiej działał jej zegar biologiczny, jakby z wiekiem dokonywała się perfekcyjna regulacja. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie właściwie jest, jak to bywa w obcym miejscu, i dlatego Kropka nie liże jej po rękach. Przez uchylone okno natarczywie wbijał się do pokoju ostry zapach lilii. Nie chciała budzić gospodarzy, korzystając z toalety, odłączyła więc ładowarkę od iPada i przejrzała notatki z wczoraj. Przesuwała ekran tabletu i wzdychała, że tak niewiele tego jest.

Muszę wykorzystać ten czas i znajomości i jeszcze tu powęszyć. Muszę coś konkretnego Tomaszowi przywieźć, na coś się jeszcze przydać!

Myśl o przysłużeniu się unukowi dodała jej werwy. Narzuciła lekki szlafrok i dopisała kilka spostrzeżeń, sięgnęła po kosmetyczkę, zażyła poranne leki. Uchyliła drzwi sypialni, ale nie musiała specjalnie nasłuchiwać, czy Wiesia i Henryk już wstali. Kawa – jej mocny zapach – oznaczała, że tutaj też nie sypia się do dziesiątej.

Poranna toaleta nie trwała długo. Roma nie lubiła się pindrzyć, a w upinaniu swojego słynnego koczka miała ogromną wprawę. Zeszła na parter w letniej sukni w kolorowe grochy. Rozmiar, tak jak zestaw porannych nawyków, miała od lat ten sam – trzydzieści sześć. Z daleka można by ją wziąć za młodą dziewczynę.

– Mam nadzieję, że nie obudziliśmy cię tą poranną krzątanią? – zapytała z troską gospodyni. – Wstajemy prawie o świcie.

– W żadnym razie. Tak sobie właśnie myślałam, że emeryci wstają wcześniej, choć już wcale nie muszą się nigdzie spieszyć.

– Ale też nie mają czego odsypiać – rzucił Henryk i głośno roześmiał się ze swojego dowcipu. Głośno i rubasznie jak Fred Flinstone.

Roma sięgnęła do torebki po papierosy, ale przyjaciółka zaoponowała:

– Nie przed śniadaniem, na litość boską! Zapraszam do jadalni, wszystko już gotowe, tylko Henryk przyniesie kawę. Jajka wiejskie, twarożek „od baby”, pomidory i ogórki z ogrodu. Zapewniam cię, Wiśniowiecka, to lepsze od fajek.

– Nie będę dyskutować, oddaję się konsumpcji, a potem w teren. Chciałabym się przejeść na plebanii i spotkać z panią Renią, tą pielęgniarką Henryka.

– *Null problemo*. O ile wiem, to już załatwione, więc spokojnie jemy, kaweczka i do roboty.

Roma, przyzwyczajona raczej do cięższych śniadań: szakszuki, frankfurterek albo czwartkowej, najlepszej we Wrocławiu kaszanki, doceniała świeżość bukolicznego posiłku. Jego pointą było wiejskie espresso w mikroskopijnej filiżance, które, nie wiadomo czy z powodu wody, czy tylko autosugestii pachniało lepiej niż miejskie.

– A zatem tak, mój drogi Holmesie. – Henryk mlasnęła, przełykając ostatni kęs bułki. – Wszystko umówione: spotkamy się z Renią w przychodni, ona ma tam jeszcze pół etatu,

kończy pracę o trzynastej. Pasuje?

– Pasuje, oj, jak pasuje – odpowiedziała Roma. – A wcześniej na kilka minut na plebanię? – dodała tonem dziecka, które przed obiadem chce zjeść cukierka, i spojrzała błagalnie w stronę gospodarzy, równocześnie sięgając do szklanej misy z mieszanką wedlowską.

– Dać jej centymetr, a sięgnie po metr! – Henryk zrobił oburzoną minę. Oburzoną na pokaz.

– Dać jej palec, a... – Roma odgryzła kawałek pierotta.

– A jak jej nie dasz, to pokaże ci środkowy! – dokończyła Wiesia. Kobiety parsknęły śmiechem.

– Jestem bezbronny wobec dziewczęcego uroku pań. Zgadzam się na wszystko, mogę nawet windą do piekła zawieźć. – Henryk skłonił się niczym lokaj, wykonując usługowy gest dłonią, po czym wydobyl z misy trzy czekoladki bajeczne i włożył je wszystkie do ust, zanim żona zdążyła zaprotestować, że cukier, że trzustka, że nadwaga...

– Bardzo jestem wam wdzięczna za pomoc i gościnę – powiedziała Roma. – Wszystko było pyszne, a reszkę espresso porygam do ogrodu.

– Wiadomo, bo w ogrodzie będziesz kopciła te swoje faje! – Wiesia pokręciła głową i podsunęła w jej stronę kryształową popielnicę.

– Bo ja jak u Jarmuscha: kawa i papierosy! – krzyknęła Roma już z tarasu i zaczęła szukać zapalniczki. Po kolei wyciągała ze swojej torebki typu worek wszystkie przedmioty. Było tego trochę: szwajcarski scyzoryk, perfumy, płyn odkażający, zestaw plastrów, mała kosmetyczka na lekarstwa, sznurek, miniparat fotograficzny, zestaw śrubokrętów, dyktafon, woreczek smaczków dla psa i wreszcie zapalniczka, a nawet dwie.

– Oby koniec świata zastał mnie przy tobie, Romciu! MacGyver wysiada! – skwitował Henryk. – Ty sobie zapal, a ja idę się przebrać i wyprowadzam z garażu kodę. – Wiesia z nami nie jedzie. Dzisiaj pomaga pracownikom szklarni. Raz w miesiącu, *pro bono*, doradza im prawnie.

– Będę czekała przed domem, jestem gotowa.

Roma dokończyła papierosa, dopiła ostatni łyżeczek kawy i poszła po tablet. Ogarnęło ją przyjemne podniecenie i zadowolenie, że tu przyjechała. Oderwała się od domowej rutyny i czuła się potrzebna. To było miłe.

Henryk pasował do swojej skody idealnie. W audi albo passacie wyglądałby komicznie – pomyślała Roma i zachichotała w duchu, wyobrażając sobie, jak doktor wystawia łokieć przez uchylone okno beemy. Ona sama od dawna już nie prowadziła auta, uważała, że w pewnym wieku traci się refleks. Poza tym cierpiała na ślepotę zmierzchową i nie chciała stanowić na drodze zagrożenia. Natomiast pasażerką była idealną. Nie komentowała stylu jazdy kierowcy ani wybranej trasy, nawet jeśli za kierownicą siedziała jej siejca postrach na drodze córka. Hołdowała zasadzie, że kierowca jest jeden. Zresztą, na dobrą sprawę mogli na plebanię podejść, ale Heniu uważał, że auto trzeba raz na jakiś czas rozruszać, żeby się nie psuło. Na co dzień jeździł niewiele, a teraz czuł się ważny i użyteczny jako szofer i przewodnik.

– No to jesteśmy na miejscu. – Doktor zaparkował obok kościoła i spojrzał na Romę ni to pytająco, ni to zaczepnie.

– No nie patrz tak, Flinstone. Wiesz, co myślę o takich wyczynach architektonicznych. – Roma zerknęła na bryłę świątyni i skrzywiła się, nie kryjąc dezaprobaty. – Kaszmar! Ale też Calatravy się tu nie spodziewałam. – Westchnęła, wysiadła i ruszyła w stronę drzwi

z tabliczką KANCELARIA PARAFIALNA. – Lepiej pójść sama, ciebie znają, nie będą chcieli gadać przy swoich o swoich.

Henryk pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, ale szczerze wątpię. Proboszcz jest tu od niedawna. Młody, z Pomorza przyjechał, jak Bychałę odsunęli.

– To idę się przekonać. Nie będę długo. Jeśli w ogóle mnie wpuszczą.

Drzwi były uchylone. Roma lekko je pchnęła, ale poczuła opór. Przepchnęła się i zauważyła, że przeszkodę stanowią wielkie płachty poskładanego materiału. Obok dwie dziewczyny, prawdopodobnie bliźniaczki, usiłowały je uporządkować. Podniosły wzrok na starszą panią i otrzepały zabrudzone ręce. Tak, były niemal identyczne, ale zupełnie inaczej ubrane. Jedna w dżinsach, T-shircie i trampkach, druga w sukience w paski i balerinach. Rozważna i romantyczna – ochrzciła je w myślach.

– Dzień dobry. Szukam proboszcza, czy dobrze trafiłam? – Roma użyła tonu dobrodusznej staruszki.

– Szczęść Boże. I tak, i nie... – Romantyczna się uśmiechnęła. – Zwykle tu urzęduje, ale w tym momencie jest na spotkaniu z grupą pielgrzymkową.

W tym czasie Rozważna wróciła do zwijania materiału i przesuwania rulonów pod ścianę. Docisnęła kolanem, ale płachta była oporna i po chwili rozwinęła się na środek kancelarii.

– Powiedział, że skończy około dwunastej. Może pani poczekać w kościele, pomodlić się i wrócić tu za pół godziny – ciągnęła ta w sukience.

– A mogłabym tutaj? – zapytała Roma i nie czekając na odpowiedź, usiadła na krześle pod wieszakiem, wyjęła tablet i zajrzała do notatek. Jednak jej wzrok przyciągnął wielki czerwono-brunatny wzór na rozwiniętym banerze. Wprawdzie dziewczyny zaczęły go ponownie zwijać, ale Roma zdążyła rozpoznać powiększone zdjęcie płodu.

– A gdzie wy to będziecie wieszali? Jesteście z tej fundacji? Z tego „pro” coś tam?

Bliźniaczki zamarły, bo Roma aż poczerwieniała ze złości i z łagodnej staruszki przestoczyła się w grzmiący miecz albo bicz archanioła.

– Ależ nie! Jest zupełnie inaczej – oburzyła się Rozważna. – Ksiądz Jagodziński skonfiskował te banery rozwieszane wokół kościoła w Świętej Katarzynie. Przecież proboszcz wcale tego nie popiera i walczy z taką formą agitowania. Założył grupę pomocową dla kobiet w ciąży i telefon zaufania i... wreszcie po tym wstrętnym Bychale ktoś normalny przyszedł! – Dziewczyna mocno przejęła się atakiem staruszki, była chyba bliska płaczu.

Roma struchlała.

– Przepraszam najmocniej... źle to zrozumiałam.

Wyciągnęła do dziewczyny dłoń w geście pojednania, a potem ucisnęła rękę jej siostry. Bliźniaczki się rozpromieniły, ale nie z powodu przeprosin. W drzwiach stanął proboszcz Jagodziński, a kancelarię wypełnił zapach męskich perfum. „Nie jest to tani armani” – wymamrotała niby w myślach Roma, ale widząc zdziwienie na twarzy duchownego, zrozumiała, że wcale nie mówiła w myślach, tylko pod nosem.

– Niech będzie pochwało...

– Dzień dobry, księżę proboszczu! – energicznie weszła mu w słowo Roma. Chciała zaakcentować świecki charakter odwiedzin, ale po chwili złagodziła ton w obawie, że nic nie uskóra. – Czy może ksiądz poświęcić kwadrans starej kobiecie?

– Domyślam się, że nie o spowiedź chodzi ani o zamówienie mszy.

– Bingo! Znajdzie ksiądz kąt na góra dziesięć minut rozmowy? Raczej konfidencjonalnej?

Romantyczka fuknęła przez nos i ruszyła do drzwi, racjonalistka poszła za nią, w geście solidarności z siostrą spazmatycznie potrząsnęła ramionami. Roma ucieszyła się, widząc, że proboszcz się uśmiecha i szybko maskuje minę pocieraniem nosa.

– Powiem krótko i bez ogródek: w tej parafii wydarzyło się coś niepokojącego. – Roma w ułamku sekundy zmieniła ustalony wcześniej plan działania. *Albo ten Jagodziński okaże się kaptanem do rzeczy, ze świadomością wielu skaz kolegów po ołtarzu, albo cwany cynikiem, który niczego sensownego nie powie.* Zaryzykowała: – Jakiś czas temu, dwaj chłopcy z Siechni pomalowali sprejem kościół. Podobno, wiem to od znajomych, był jakiś spór między młodzieżą a byłym proboszczem. Obelgi miały jakieś podstawy? To przecież nie czasy, kiedy młodzież kradnie jabłka z sadu na plebanii, chodziło na pewno o coś poważnego. Potwierdza to przecież dymisja Bychały.

Proboszcz otworzył usta, zamknął, otworzył i zorientował się, że wygląda głupio, więc znów je zamknął i milczał. Roma poczuła, że ma punktową przewagę i to w pierwszej rundzie.

– A właśnie – ciągnęła – dymisja czy awans w kurii, jak to najczęściej bywa?

Uznała, że nie powinna tłuc staniającego się księdza, że może zagalopowała się w oskarżeniach, i wygenerowała uśmiech typu „wybaczcie staruszcze”.

– Droga i szanowna pani... – Proboszcz zaczerpnął tchu. – Niewiele wiem o proboszczu Bychale... Naprawdę! – dodał, widząc, że Roma kręci z niedowierzaniem głową. Powstrzymała się od wymierzenia prawego prostego, a tak naprawdę *coup de grâce!* – Proszę mi wierzyć, kościół, jak każda organizacja, raczej nie kolportuje wiadomości o swoich błędnych owcach, nawet wśród reszty owiec. Oczywiście, coś tam do mnie dotarło, ale to przeszłość, minione i chciałbym, żeby zapomniane! Przecież to ja teraz będę lał oliwę na wzburzone fale, ja będę wysłuchiwał zarzutów, jakie sama pani stawia, może słusznych, ale bolesnych przecież. Widziałem zdjęcia kościoła, jak to mówią niektórzy parafianie, „zbesczeszczonogo”, ale dla mnie to było wołanie o pomoc. I tak mówię. Za to połowa wiernych mnie nie lubi, doszły już do kurii listy z kompromatem na mnie. – Uśmiechnął się w specyficzny sposób. – A proboszcz Bychała... niektórzy tęsknią za nim jak za komuną. – Nie odwracając głowy, wskazał kciukiem rulony za sobą. – Wie pani, co będzie po tej akcji?

– Domyślał się. Aż mi cię, chłopcze, żal. – Roma chwyciła go za ramię z nieudawaną troską. – Kościół zrobił z cudu instytucję – wyszeptęła z naciskiem.

Jagodziński przytrzymał dłoń Romy i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Czyje to słowa? – zaciekawiał się.

– Moje! A myślał ksiądz, że Tischnera? – Roma uniosła brew i przekreśliła głowę. – Trochę mnie ksiądz zadziwił. Oczekiwałam kogoś w typie poprzednika, kto w ramach lojalności koloratek pogoni staruchę ze świątyni, a widzę... – zawiesiła głos.

No co widzisz, Romciu? Dorzeczny, ale nieprzydatny ten proboszcz jest. Nie zgadza się, współczuje, chce inaczej, ale hierarchy mają inne widzenie. Wywalą go do jakiejś pipidówki, gdzie tym bardziej nic nie działo, a parafianie go w smole wytarzają. To Polska przecież!

– Widzę, że masz, synu, dobre intencje, a te, jak wiadomo... – Machnęła ręką.

– „Od czasu, gdy Chrystus zwyciężył śmierć, żaden optymizm nie jest w kościele przesadą”.

– Dobrze! – skwitowała Roma. – I tu wyczuwam Tischnera!

– Jak na świecki nos – bezbłędnie! – Jagodziński szczerze się zaśmiał.

Roma też.

– Powiedziano mi, że jeden z chłopców, którzy pomalowali kościół, został we Wrocławiu zabity, tak? Czy pani w tej sprawie? – Ksiądz spoważniał.

- To jest, być może, sprawa zakotwiczona w Siechnicach, może nie. Oby nie. Ale obawiam się, że tacy podłamani duchowo młodzi ludzie łatwiej ulegają podszeptom, że tak górnolotnie podsumują. Chciałam... chcę, żeby ksiądz miał tego świadomość. Oczywiście, liczyłam też na jakieś wieści ze strony kapłana...

- Mogę tylko potwierdzić, szanowna pani, że opowiadam się za innym kościołem niż ten w wydaniu proboszcza Bychały. Jestem... duchowo w tej grupie, obok pani. Niestety, poza wsparciem moralnym niczego nie mogę zaoferować.

- Myślę, że może ksiądz. Ale ja wsparcia nie potrzebuję. - Energicznie wyciągnęła do proboszcza rękę. Chwycił ją i ku ogromnemu zdziwieniu Romy, pochylił się, chcąc ucałować. W życiu nie widziała kapłana całującego rękę kobiety. Ale szybko uznała, że wcale nie musi tego widzieć! Wyszarpnęła dłoń i pogroziła palcem Jagodzińskiemu: - No! Młody człowieku, gadamy sobie, gadamy, ale rąk nie całujemy! Do widzenia!

Ominęła proboszcza i wyszła na zewnątrz. Bliźniaczki siedziały pod murem kościoła, na jej widok poderwały się i pognały do świątyni, jakby chciały masażem serca ratować powalonego przez okrutną staruchę kapłana.

Flinstone odetchnął teatralnie na jej widok.

- Myślałem, że zostaniesz na mszy - rzucił poważnie.

- Gdzie tam, odbyłam skróconą.

Jakiś czas później Henryk parkował już obok przychodni, budynku sporego i niezbyt ładnie pomalowanego na żółto.

- Pamiętasz, Romciu? - Emerytowany pediatra spojrzał pytająco na przyjaciółkę. - Twój pierwszy fiat był w takim kolorze. - *Bahama yellow*.

- Taki egzemplarz, że nie chciałam się zepsuć. Dwanaście lat się z nim męczyłam, nim go zięciowi oddałam, a ten jeszcze sześć jeździł.

- O! Mamy Renię! - Henryk wycelował palcem w stronę niezbyt wysokiej, korpulentnej blondynki, ładnie opalonej, z miłym spojrzeniem i uśmiechem, która na widok doktora rozpromieniła się jeszcze bardziej.

- Romciu, poznaj moją prawą i lewą rękę, niezastąpioną, niedoścignioną i bezkonkurencyjną Renatkę Brzozowską - przedstawił pielęgniarkę, gdy podeszli. - Większość siechnickich dzieciaków zwraca się do niej „ciociu”, a to znaczy, że nawet zastrzyki i szczepienia nie przyćmiły jej uroku i dobrego serca.

- Doktor jak zwykle w przesadę. - Renia, nieco speszona, przywitała się z Romą, przekładając z ręki do ręki torbę z zakupami, które Henryk zaraz przechwycił i umieścił na tylnym siedzeniu skody.

- To może wy się, dziewczynki, przejdziecie i porozmawiacie, a ja wejdę na chwilę do środka, mam sprawę - zaproponował i nie czekając na potwierdzenie, ruszył do przychodni.

Obie panie, mimo że znały się ledwie chwilę, zgodnie poruszyły brwiami i wymieniły znaczące spojrzenia.

- „Mam sprawę” - powtórzyła Roma z odpowiednią intonacją. - Henryk gotów jest przesiedzieć naszą rozmowę w WC, byle nam nie przeszkadzać.

- Ma pani lepszy refleks ode mnie, ale co do pana doktora się zgadzamy. Najlepiej wychowany mężczyzna, jakiego znam.

Renata wskazała kierunek i ruszyła pierwsza wzdłuż ulicy.

– To taka tragedia! – zaczęła rozmowę. – O takich dramatach się czyta, a ja to nawet czytać nie lubię, ale... Ech. Znałam Rafałka od oseska. Jestem przecież położną, większość niemowląt odwiedzałam po narodzinach, uczyłam mamy, jak postępować z noworodkiem. Ten poród był zresztą dość trudny i jak Helenka przyjechała do domu, do Górów znaczy się, bo tam młodzi mieszkali, to zaraz mnie wezwali. Tak po sąsiedzku, jeszcze nieoficjalnie. Daniel, dziadek małego, prosił, żeby go obejrzeć i ochrzcić. Chłopiec był malutki, ale zdrowy, nie widziałam potrzeby „chrztu z wody”. Jednak z Górą się nie dyskutuje.

– Chwilę, chwilę! – przerwała jej Roma. – Takiego chrztu udziela się przy zagrożeniu życia dziecka i chyba powinien to robić ksiądz? – Spojrzała na Renię z takim zdziwieniem, że brwi nad szeroko otwartymi oczami powędrowały pod samą nasadę włosów.

– No właśnie nie, nie tylko ksiądz. Gdy życie jest zagrożone, może to zrobić lekarz lub inna osoba świecka. A dziadek Daniel wiedział, że Henryk... że doktor nie zrobi czegoś takiego bez wyraźnego powodu. Pan Góra senior to bardzo specyficzna osoba. Ma wiele do powiedzenia w tym mieście, a w rodzinie to już nikt mu się nie postawi.

– No dobrze, a rodzice chłopca? Nie protestowali? Matka?

– Pani mecenas, nie w tym domu. – Renia gestem zapraszającym do odpoczynku wskazała ławkę. – Siądźmy, bo żeby zrozumieć, to dwa zdania nie wystarczą.

Roma chętnie przysiadła, śmiejąc się w duchu z tego „pani mecenas”, od lat nikt się do niej już tak nie zwracał, chyba że Tomek w ramach wygłupów. Sięgnęła do swojej przepastnej torby, wyjęła papierosy, zapalniczkę i tabletki. Wyciągnęła paczkę w stronę Brzozowskiej w geście poczęstunku.

– A nie, dziękuję. Rzuciłam trzy lata temu. I jak widać, nie przysłużyło się to mojej figurze, ale zadowolona jestem. Tyle lat w nałogu, pracowniczka służby zdrowia, wstyd mi było przed rodzicami, jak mnie na dymku za przychodnię widzieli.

– Rozumiem i szanuję, ale dla mnie już nie ma ratunku. – Roma zaciągnęła się, zatrzymywała dym w płucach i wypuszczała długo, udowadniając sobie, że to przyjemność, której nie chce i nie jest w stanie porzucić. Włączyła tabletki i uzupełniła notatki. – Bardzo proszę, niech pani opowie o tym szczególnym klanie Górów.

– Klan to za dużo powiedziane. Tak serio to spółka dwuosobowa, kierująca resztą rodziny. Daniel i Łucja Górowie. – Renia wymówiła to uroczyście, jakby właśnie mieli wkroczyć na czerwony dywan w Cannes. – On, pan inżynier, przez lata był szycią w elektrociepłowni, przewodniczący Klubu Inteligencji Katolickiej, bardzo w mieście szanowany i głęboko wierzący, wspomagający parafię moralnie i finansowo. Może czuje pani, jak to brzmi: „Prezes Klubu Inteligencji Katolickiej”? I inteligent, i katolik, kto takimu podskoczy? A zresztą on niczego złego otoczeniu nie robił, tylko rządził, panował, władał. A pani Łucja, jego żona, uczyła w szkole podstawowej historii, mnie zresztą też. Bardzo solidna, zawsze świetnie przygotowana, ale ciepła do dzieci nie miała, no nie miała za grosz. – Brzozowska położyła dłoń na piersi, jakby chciała przysiąc, że tak było. – Poza tym czasem te lekcje wyglądały jak katecheza. Bóg, honor, ojczyzna! Rozumie pani, co mam na myśli?

Roma kiwnęła głową. Rozumiała aż nadto. Te, skądinąd zacne według niej, wartości gościły obecnie na sztandarach nacjonalistów i kiboli, a patos stał się zasłoną faszystowskich i homofobicznych zachowań. Na samą myśl Roma aż poczerwieniła, ale szybko uznała, że nie ma co politykować, kobieta spieszy się pewnie do domu, a zakupy grzeją się w skodzie Henryka.

– Nie chcę pani długo zatrzymywać – zagała – ale proszę mi powiedzieć, dlaczego rodzice Rafała mieli tak niewiele do powiedzenia w kwestiach opieki nad dzieckiem?

- To proste, mieszkali razem z dziadkami, bo nie mieli szans na własne lokum. Piotr - ojciec Rafała, najmłodszy syn w rodzinie - nie skończył polibudy. Coś mu nie poszło na drugim roku i zrezygnował ze studiów. Zrobił jakiś kurs i pracuje jako technik na szklarniach, a Helenka, żona Piotra, jest z biduła. Wdzięczna, że znalazła wreszcie własny kątek. Zawsze grzeczna i podporządkowana. Co dziadek i babcia powiedzą - święte! Jeszcze jest starszy brat - Paweł. Spełnił oczekiwania ojca. Syn wymarzony, po studiach na KUL-u, pracuje w Warszawie i ma czwórkę dzieci. Bardzo bogobojny jak Góra senior. Teraz to chyba ma nawet jakieś stanowisko w ministerstwie.

Renia spojrzała na zegarek, a Roma zrozumiała, że ich czas się kończy i nie wypada już jej zatrzymywać.

Dopisała do notatek w tablecie kilka słów. W geście podziękowania położyła na ramieniu pielęgniarki dłoń, ale czuła, że jeśli teraz przerwą, to już niewiele więcej się dowie.

- Pani Renato, wiem, że trochę tu panią mężkę, ale chciałabym jeszcze kilka słów o tym biednym chłopcu usłyszeć.

Umyslnie nie nazwała go z imienia. Wiedziała, że „biedny chłopiec” złagodzi ton i zachęci do wynurzeń.

- Dobrze, tylko za kwadrans muszę być w domu, córka wnuka przyprowadzi.

- Oczywiście! Wnuk w dom - pierogi na stół. Rzecz święta.

- Trafiła pani, pierogi z jagodami. Rano jeszcze przed pracą zrobiłam.

Renia przysunęła się bliżej Romy i nie wiadomo dlaczego ściszyła głos. Być może uznała, że jeśli rozmowa ma dotyczyć zabitego Rafała, to powinno się ją prowadzić intymnie, spokojnie, współczująco. Rozejrzała się i wskazała drogę, chyba chciała podzielić się wiedzą i jednocześnie zbliżyć do domu, uciec do wnuka...

- Na niego prawie wszyscy znajomi mówili Rafik, jemu było wszystko jedno. Jako chłopiec był bardzo introwertyczny. Nie rozrabiaka, nie taki radosny jak inne maluchy. Bardzo ułożony, grzeczny, ale bez takiej dziecięcej swobody. Myślę, że dziadkowie decydowali o wszystkim, co go dotyczyło, i jednocześnie za dużo od niego wymagali. Zwalili na niego wiele obowiązków, i takich codziennych, i takich... hm... moralnych? Pani Łucja zaczęła go uczyć pisać i czytać, jak miał cztery lata, ale jemu nie przychodziło to z łatwością, co frustrowało dziadków i jego na pewno też. Tyle lat pracuję z pediatrą, wiem, że niektóre dzieci nie mają z tym problemu, czytają nawet trzylatki, ale tego biedaka musztrowali na siłę. Kiedyś Helenka przysłała zapytać, czy to dla dziecka dobrze, że po powrocie z przedszkola każą mu siadać do biurka i się uczyć. Tylko że, jak już wspomniałam, jego mama nie miała tam wiele do powiedzenia, a nam z doktorem brakowało umocowania, żeby wtrącać się w sprawy rodziny. Zresztą, tak na pierwszy rzut oka, nie działa się nic złego, chłopczyk zdrowy, syty, wyposażony w zabawki i ubranka.

Renia zdjęła i przetała zaparowane okulary, robiło się coraz cieplej, nawet w cieniu kilkunastu starych klonów.

- Ja myślę, że dziadek Góra chciał zrealizować z wnukiem to, co nie wyszło z synem, a człowiek nie plastelina, prawda? - Brzozowska szukała w oczach Romy potwierdzenie, ta zaś przytaknęła skinieniem głowy, nie wtrącając nic, żeby nie przerwać wynurzeń pielęgniarki. - Faktycznie, podobno w podstawówce dobrze się uczył, uczestniczył też we wszystkich uroczystościach kościelnych, recytował wiersze, śpiewał w chórze. Zawsze schludny, uprzejmy, ale bez radości w oku. Niewielu też miał wtedy kolegów, ale to się potem zmieniło... Wie pani, jak doktor zadzwonił, że ktoś chce o Rafiku porozmawiać, to zaczęłam sobie w pamięci porządkować wspomnienia. I nawet sobie przypominałam,

że po jednych wakacjach, po zakończeniu podstawówki, on wrócił jakiś inny. Raz, że wyrósł przez te wakacje kilka centymetrów, włosy mu pojaśniały. On zawsze taki śliczny blondasek był, ale wtedy, jak wrócił taki opalony z tymi jasnymi lokami, to jak model wyglądał. I może przez to, nie wiem, ale jakby pewności siebie nabrał. No i wreszcie miał kumpla – Marcina Jankiewicz. Widać było, że się lubili, do Wrocławia razem jeździli.

Brzozowska zerknęła w stronę przychodni, Roma była pewna, że rozmowa jest dla niej niemiłym obowiązkiem i bez wsparcia Henryka w ogóle by się nie odbyła.

Renata pomachała doktorowi, który stanął w drzwiach i rozglądał się, szukając obu kobiet.

– Heniu już przy samochodzie, a ja i tak muszę wracać. – Poprawiła spódnicę i z lekką trudnością wstała z ławki. – Naprawdę muszę już...

– Oczywiście. – Roma chwyciła ją za rękę i uściśniła mocno. – Bardzo jestem wdzięczna za poświęcony czas. Wracajmy, wnuk nie może przecież czekać.

Ruszyły klonową aleją z powrotem w stronę budynku przychodni.

– A wie pani, że to jeszcze było bardzo dziwne... – powiedziała Renia powoli. – Ale Rafik nie był na pogrzebie Marcina. – Brzozowska przystanęła i poprawiła torebkę, która nieznośnie zsuwała się jej z ramienia. – Nie tylko mnie to zdziwiło.

– Pogrzebie? Tego kolegi? To on też nie żyje? – Roma sięgnęła do torby po paczkę z papierosami, lecz paczka okazała się pusta.

– No tak, samobójstwo. Jakies półtora roku temu, mniej więcej. Gdzieś tam na Wybrzeżu czy Pojezierzu. Straszna tragedia.

Brzozowska wzięła Romę pod rękę. Zbliżały się już do samochodu.

– Pani Wiśniowiecka, gdyby jeszcze o coś chciała pani spytać, to doktor ma mój numer telefonu. Miło mi było poznać.

Wymieniły uścisk dłoni.

– Moje drogie panie, zapraszam do środka. – Henryk otworzył wszystkie drzwi skody, żeby przewietrzyć samochód. – Pewne, że w nim nie zmarzniecie!

Na szczęście zaparkował w cieniu, bo klimatyzacja szwankowała.

– Henryczku, mam blisko. Pójdę na piechotę. – Pielęgniarka sięgnęła po torby.

– Mowy nie ma. – Henryk niemal wyszarpał jej zakupy. – My o swoich informatorów dbamy, prawda Romciu? – Doktor puścił jej oko.

– Teraz to się nazywa „osobowe źródło informacji”, Henryczku – odparła Roma. – I podobno jest nieźle opłacane z tak zwanych funduszy operacyjnych. Zatem ja bym do tej podwózki dorzuciła jeszcze dobrą kolację. Kiedyś w przyszłości. Ale dziś jedźmy już, pani Renacie kończy się czas, a mi skończyły się fajki. To nie jest dobry moment na odstawienie.

Roma zajęła miejsce obok kierowcy i odwróciła się, sprawdzając, czy Brzozowska też wsiada. Pielęgniarka usadowiła się obok swoich toreb z zakupami, a widząc spojrzenie Romy, rzuciła ze śmiechem:

– Was nie przegadam, więc nie będę się opierała.

Henryk ruszył, jechali chwilę w milczeniu, każde ze swoimi myślami. Roma sięgnęła do pasa, żeby go poluzować, ale dał się poruszyć tylko na kilka centymetrów, więc zrezygnowała.

– Nie wiem, czy pani zostaje na dłużej ani czy jeszcze będzie pani chciała coś wyjaśniać – zaczęła ostrożnie Renata – ale tam gdzie Rafik i Marcin, tam zawsze przyklejała się Julka. To córka moich sąsiadów. – Brzozowska wskazała na zielony dom na rogu ulicy. – To tam, gdzie te koralowe róże. No i ja właśnie tu wysiadam. Jeszcze raz, wszystkiego dobrego i dużo zdrowia.

– Dla pani również, aniele. Dziękuję. – Roma spojrzała na zielony dom, żeby zapamiętać numer. Henryk pomógł asystentce z torbami, pożegnali się, ale doktor nie wrócił od razu za kierownicę.

Gdzie on przepadł? Chyba nie poszedł tam na herbatkę? Za długo już jestem bez papierosów!

Wypięta pas i wysiadła. Na ulicy nie było nikogo. Odeszła kilka kroków w stronę domu z różami.

Na co ja liczę? Że ta Julka akurat opala się na leżaczku w ogrodzie i zagadam do niej przez płot?

I gdzie wcięło Flintstone'a?

Wróciła do auta i sięgnęła do torby po komórkę. Zza rogu wyłonił się Henryk z radosną miną i paczką marlboro w dłoni.

– Wiesz, że royali tu nie zdobędę, musisz się zadowolić tym erzaczem.

– Erzace są przepyszne! – Roma niemal wyrwała Henrykowi paczkę, rozerwała ją, wyjęła cieniasa i po chwili była już sobą. Nad jej głową lewitował obłok dymu, którego obfitości e-papierosy mogły tylko pozazdrościć.

– Teraz mogę myśleć. Pozwolisz, że dopalę, nie chcę ci auta zasmradzać.

– A mógłbym nie pozwolić? Samobójcą nie jestem, zresztą, pamiętam jeszcze, co to nałóg.

– No właśnie, samobójca. Dwóch chłopaków z jednego miasteczka ląduje na tamtym świecie w przeciągu dwóch lat. Przypadek? – Roma zaciągnęła się prawie do filtra.

– Znasz odpowiedź. Jest tylko jedna. Dobra, jedźmy, bo Wiesia nam łby pourywa, jak się spóźnimy na kaczkę w buraczkach.

– Zawsze się rozkraczy, jak jest potrzebna!

Tomasz postawił walizkę Romy na czystym, jak sądził, kawałku podłogi. Czystym, bo tamtędy nie prowadził żaden szlak, ani z piwnicy, ani na schody, a tylko do wózkowni, a z wózkowni w tym bloku nikt nie korzystał. Z prostego powodu: dzieci nie było, klucz zgubiony lub utajniony, rowery co lepsze ukradzione już dawno.

– Tomaszku, przecież używasz jej tylko wtedy, gdy jest potrzebna. Skąd miałbyś wiedzieć, że jest nieczynna, gdybyś siedział wygodnie w domu?

– Jak zwykle masz rację, babciu, prawie w stu procentach. Ośmielę się tylko odnotować, że twoje głośne joby na zepsutą windę słyhać by było w moim pokoju. Stąd bym wiedział, że nie działa.

Roma cmoknęła i wykonała ostentacyjny wydech przez nos.

– O, niezadowolona – rzucił. – Jak zwykle, gdy mam rację.

Ruszył w stronę schodów.

– A walizkę ja mam taszczyć? Hej! – zareagowała Roma, udając lekko skonfundowaną.

– Spoko. Idę na piąte. To tam się drzwi nie domykają.

Energicznie wbiegł na pierwsze piętro, potem drugie, zwolnił.

Ja-pieeee...! Tak się podkrada starość? Gdy na człowieka na trzecim piętrze czeka puchar z napisem „Bezdech Miesiąca”? Nie na dziewiątym, w ostateczności siódmym? Czas na abonament na basen...

Na piątym ze szczeliny w drzwiach windy sączyło się zimne jarzeniowe światło. Winkler wsiadł i ponaciskał wszystkie przyciski. Z doświadczenia wiedział, że bez takiego resetu będzie powoli, w akustycznym piekle, zwiedzał kolejne kondygnacje bloku. Potem otworzył drzwi i zamknął je mocnym szarpnięciem. Zgrzytnęło, chrumknęło, szczęknięło.

Ruszyła.

– „Naj-pierw po-wo-li jak żółw o-cię-ża-le”..

Zjechał na parter, otworzył drzwi, wpuścił Romę i młodzieńca z trzeciego, chwycił walizkę i wsiadł do kabiny.

– Dzień dobry! – rzucił wesoło do nieletniego sąsiada.

Gnojek nigdy pierwszy nie otworzył kłapaczki, żeby wykonać minimalny gest sąsiedzki.

– Mn-dobry...

A co ja się biorę do wychowywania młodzieży? Z zemsty za zadyszkę?

W przedpokoju po wejściu Romy rozpętała się „armageddon”, Kropka wyrzaskiwała pretensje na zmianę z żalonymi jękami i płaczącym rozczuleniem się nad sobą i Romą, Zgaga dołączyła, uznając, że tak w tym domu wygląda eleganckie powitanie, Tomasz przeniósł walizkę nad kłębiącymi się psami, szybko przemierzył kuchnię, walizkę wstawił do pokoju Romy i pchnął w kierunku szafy. Oczywiście wywróciła się, ale zignorował to i zamknął się u siebie. Szybko włączył radio i przełączył na pendrive’a z jakąś mieszanką starych, bardzo starych i takich do słuchania kawałków. Dwie minuty później, akurat po trałowaniu poczty, psy ucichły, co oznaczało, że Roma dotarła już do szafki

z przysmakami. Ściszył radio i poszedł robić kawę. Z livingu wyłoniła się Iwa z szeroko otwartymi oczami.

– Nigdy więcej i nigdzie nie puścimy Romy bez psów! – oświadczyła teatralnym szeptem.

– Tak? Trzeba było opiekować się zwierzętami po ludzku, to nie byłoby tego larum – powiedział z fałszywym wyrzutem, zerkając na babcię. Ta, nie odwracając się, szarpnęła ramionami, zajęta wydzieleniem kęsków. – Ale my na opiekowanie się po ludzku nie byliśmy przygotowani – ciągnął. – Na całą piekielnie długą dobę był tylko czterokilowy worek karmy. Po prostu Sybir i Guantanamo, Pasternak napisałby coś jak... – Teatralnie poszukał w pamięci pomysłu. – *Doktor Żrywago?*

– Albo *Doba-chudoba?* – z radością dołączyła Iwa.

Tomasz, lawirując między pojękującymi z rozkoszy psami, obszedł stół i dotarł do ekspresu.

– Komuś herbaty? – zapytał, przygotowując trzy pojemne filiżanki. Oczywiście na kawę. Nie patrzył na Romę, która oparła się o blat, ale nie oparła pokusie, by podjąć bój.

– Ja bym... – zaczęła.

– Porzuc nadzieję. Jest dwunasta. Nawet gentlemani wytrzymują jeszcze circa cztery godziny.

– Tomasz! Chciałam powiedzieć, że chętnie bym pączka zjadła!

– A to proszę! – Wyjął z wiszącej szafki małą paterę ze szklanym kloszem. – Nie brałem z adwokatem, bo wiem, że przed obiadem nie tykasz alko. Są z różą i budyniem.

Roma podeszła do wnuka i się przytuliła.

– Wszędzie dobrze, ale w domu...

Po chwili obłoki aromatycznej pary wyznaczyły trasę do stołu, zasiedli i chwilę napawali się pierwszymi łykami, tradycyjnie w tej rodzinie uważanymi za najlepsze.

– Coś się działo? – zapytała Roma tuż przed ugrzyzieniem ostrożnego kęsa. Kto wie, jak rozłożyło się nadzienie i gdzie zechce wylądować?

– Czy to nie ty pojechałaś na zwiady? – zapytała Iwa, przynosząc do stołu trzy ektery. Postawiła talerzyk, ale sięgnęła do pater. Ostrożnie kąsając pączka, puściła oko do Tomasza.

– Ale on mi zabronił mówić o sprawie podczas jazdy. Wspominaliśmy seriale, na których kontynuacje czekamy.

– Dobra, niech zapanuje jakiś ład i porządek. Roma? Masz głos, na długo, na ile chcesz.

Babcia odłożyła ćwiartkę pączka, ta miała kształt półksiężyca, z jasnym wnętrzem, bez nadzienia. Winkler uśmiechnął się, ale tylko w duchu. Za chwilę babcia niezręcznie upuścił ten kawałek ciasta i rozlegną się lamenty pod adresem krnąbrnej kundliczki, która zupełnie nie dba o swoją kondycję.

Roma sięgnęła do torebki, wyjęła tabletki, włączyła notes i zerknęła na zapiski.

– No to tak. Rafał przede wszystkim, trochę o innych, ale trochę. – Popatrzyła na wnuka i Iwę. – Wolicie jakąś kolejność?

– Jak ci wygodniej, o postaciach drugoplanowych, wiadomo, na ostatku.

– Okej. Rafał... Nie orientuję się, co o nim wiesz – zwróciła się do Iwy. – Powiem, co ja wiem, a ty ewentualnie uzupełnisz. To był zdolny, trochę zbuntowany chłopak, zdaniem wszystkich, którzy go znali. Jako małe dziecko zahukany i zamknięty w sobie, potem, dorastając, mocno się zmienił. W gimnazjum już lubiany, lider klasowy, choć czasem podpadał gronu nauczycielskiemu, a nawet kolegom. – Siegnęła po ogrzyzek pączka, Tomasz wewnątrznie drgnął, pomyślał nawet, że spróbuje przechwycić w locie spadający kęsek, ale ręka Romy opadła na stół. – Pojechali, na przykład, na wycieczkę na Mazury, między innymi na te słynne mosty... – Zerknęła na ekran.

– W Stańczykach? – zapytała Iwa.

– Tak, w Stańczykach. Byłaś tam?

– Ha! – wtrącił się Tomasz. Przeciął swojego pączka, demonstrując jeszcze inny sposób konsumpcji krnąbrnego ciasta. Wybrał tę połówkę, której groził wylew budyniu, i wpakował całą do ust. – Szkałała! – powiedział z pełnymi ustami, zadzierając głowę do góry. – Na bandzi szkałała!

Nie stracił ani kropli nadzienia.

– Poważnie? – zdziwiła się Roma. Potrząsnęła głową. – A niby czemu się dziwię? W każdym razie, weszli na ten wiadukt, Rafał wlaź na barierkę i poszedł po niej. Zaraz po nim na drugą barierkę wdrapał się Marcin Jankiewicz, chyba najbliższy wówczas kumpel Rafała. – Uniosła brwi i pokiwała głową, widząc zdumienie na twarzach Iwy i Tomasza. – Przeszli tak cały wiadukt, przy czym Rafał nie wiedział, że ktoś go naśladuje. Wychowawczynie zatrzymała resztę klasy i jakimś ponoć szalonym szeptem nakazała ciszę. Szkolna legenda głosi, że powiedziała: „Kurwa-cisza-bo-zabiję!”. Mogło tak być, bo nikt się nie odezwał, Rafał doszedł do końca wiaduktu, zeskoczył z barierki i błazeńsko się ukłonił. Podobno nie był zadowolony, że ktoś go naśladuje, ale nic nie powiedział na podziękowania, zrobili z Marcinem *high five*, a wychowawczynie grzmotnęła w omdlenie. Po ocuceniu nie odżywała się pół dnia, a do Rafała i Marcina – do końca wycieczki. Zostali zawieszani w prawach ucznia na dwa tygodnie. A żeby nie mogli dyskutować swojego wyczynu, Rafał dostał od dziadka tydzień aresztu domowego. Marcin nie, ale solidarnie nie wychodził z domu. To jego jeden wyczyn. Drugi nastąpił po roku – pomalował kościół... to znaczy nie pomalował, tylko wymalował na murach, w nocy, rzecz jasna, kilka dużych słów, nie jakichś specjalnie grubych, bez ewidentnych wulgaryzmów. Tam było... – Znowu zerknęła na ekran tabletu. – „Kuty as Bychała!”, tak napisał. Bychała to ówczesny proboszcz był. „Świnie w sutannie!”, „Pilnujcie się – oni czychają!”, tu z błędem. Ale, jak rozumiecie, nie to było przedmiotem zgorszenia, ortografia siehniczan nie oburzyła. A niektórych podobno treść też nie. To znaczące, prawda?

– Prawda – zgodził się Tomasz. – Proboszcz Bychała musiał mieć sporo za uszami i – co ważniejsze – wszyscy o tym wiedzieli, więc nawet nie wypadało go bronić.

Iwa pokiwała głową.

– I tak: powiedziałam, że to był wyczyn młodego Góry, ale są poważne przesłanki, by uważać to za dzieło wspólne, jego i Marcina Jankiewicza. Tak powiedziała niejaka Julka koleżance, ta koleżanka swojej matce, a matka innej matce, wiadomo. A ja się dowiedziałam od Wiesi. O powodach tego wybuchu nic nie wiadomo, i jest to o tyle dziwne, że obaj chłopcy pochodzili z bogobojnych rodzin, sami też byli praktykującymi katolikami, Rafał wiele lat ministrant, Marcin chyba rok. Daniel Góra – dziadek zabitego, był prezesem Koła Inteligencji Katolickiej. Człowiek z wielką pozycją w Siehnicach i wielkimi znajomościami w kręgach kościelnych. Nie był to dziadek, który zabierał chłopca na ryby czy budował mu szałas na drzewie. Ponoć wychowanie w tej rodzinie to zestaw typu „Bóg, honor, ojczyzna”, posłuszeństwo, wiara, zasady, przykazania.

– No tak, typowe! – uniosła się Iwa. – Tylko się buntować, uciec w narki albo alko. Z tego ziarna zbierają plony takie placówki jak moja. Rodzice, dziadkowie, wychowawcy nie rozumieją, nie potrafią uszanować, że dzieciak też ma prawo wyboru. Ci młodzi ludzie nie mają szansy wypracować własnej relacji z wiarą. Gdyby rodzice albo opiekunowie wiedzieli, ile pracy trzeba, żeby to odrobić, a czasem żeby zdążyć uratować pacjenta przed samobójem... – Iwa podniecała się każdym kolejnym wypowiedzianym zdaniem, wyjęła z kieszeni bojówek fajki, rzuciła paczkę na stół, tłumiąc „kurwajapierdołę”

– Tak, Iwuś, ty to wiesz najlepiej i akurat nas nie musisz przekonywać do swoich poglądów – powiedział Winkler. – My jesteśmy w twojej bańce.

– No właśnie, jeśli chodzi o samobójstwo... – Roma zawiesiła głos. – Dwa lata temu powiesił się w lesie ten Marcin – przyjaciel Rafała z gimnazjum. W Borach Tucholskich dokładnie mówiąc. Nie wiadomo dlaczego, powody są kompletnie nieznanne. Tak samo, jak nie wiadomo, dlaczego, po co i jak się w tych Borach znalazł. Powiedział mamie, że jedzie z kolegami ze wspólnoty oazowej nad morze na koncerty hip-hopowe. Policja podczas śledztwa ustaliła podobno, że nie było wtedy takiej imprezy, a w spotkaniach tej „oazy” Marcin nie uczestniczył już od dawna. Nie wiadomo, co robił w Krosnalinie, bo tam go widziano. Osiem dni po wyjeździe z domu znaleziono ciało. W lesie, bez śladów przemocy, sznur, gałąź. Konkluzja prosta. Uznano, że to samobójstwo i kropka.

Suczka poderwała się i z gotowością popatrzyła na panią.

– Och, Kropczka, przepraszam, to nie było zamierzone – rzuciła żałośnie Roma. Przeniosta niewinne spojrzenie na wnuka. – Co ja ci dam, przecież pączka nie wolno... Tomciu, daj im małego smaczka, co?

– Roma, ty mnie za głupka masz? – Winkler wstał od stołu i zrobił dwa kroki, otworzył szafkę i wyjął po kawałku suszonej kaczej piersi. – Z pączkiem dałaś sobie spokój, ale wymyśliłaś inny sposób?

Podał kawałki Zgadze i Kropce.

– Potrzebuję w tym domu jakiegoś sejfu na kęski dla...

– Tomuś, czy ty może zaczynasz fikać? – zapytała babcia, mrużąc oczy i smoczym spojrzeniem obdarzając wnuka.

– Coś ty? Bez kuloodpornej kamizelki?!

– No!

Iwa popukała paznokciem w stół.

– *Silence and peace!*

– No i to by było na tyle – oświadczyła Roma, rozkładając ręce. Komunikat brzmiał, jakby jechała bryczką na drewnianych kołach po kocim bruku: „jak-by-to-by-by-to-by”. – Musiałam notować wszystko, bo oni tacy przejęci sprawą, że gdybym opuściła datę komunii Rafała, toby się popłakali z goryczy! – Upiła łyczek, drugi. Winkler zrozumiał, że daje mu czas na oklaski. – Tyle.

Winkler pokiwał głową, podniósł kciuk. Odwrócił się do Romy.

– Zadałaś mi kupę roboty. Dziękuję, serio.

– Serio mówi czy serio robi sobie z babci...

– Serio. – Poklepał dłoń Romy. – Organoleptycznie stwierdzono, że takie delikatne sprawy chętniej się relacjonuje znajomym i sąsiadom niż policjantom.

– No to czuję się spełniona. I jeszcze jedno. Ta dziewczyna, Julka, nie była chyba dziewczyną Rafała ani Marcina. Taka, wiesz, kumpela, krótko obcięta, portki, ale nie podziurawione, po dwa kolczyki w uszach...

Umilkła nagle.

Winkler popatrzył na Iwę, odpowiedziała mu tym samym, właściwie – takim samym – spojrzeniem. Eksploдовали śmiechem. Roma chwyciła dłoń Iwy i Tomasza.

– Przepraszam! No stara idiotka...

– Przestań!

– Hamuj, Romcia!

– Dobra, no co ja zrobię, że mi się skojarzyła z Iwcią?!

– Nic nie rób. Każdemu słowo „kumpela” kojarzy się z Iwą i każdy by chciał taką kumpelę mieć.

Ucisnęła ich ręce i sięgnęła po filiżankę.

– No to się cieszę, że nie będzie kary.

– Ani nagrody! – wskoczył w jej oświadczenie tak szybko, że chyba zagłuszył kropkę.

Roma teatralnie westchnęła i zrobiła zrezygnowaną minę.

– Ani, ani...

Krótką chwilę w kuchni panowała cisza, Tomasz zerknął na zegarek: pierwsza z minutami, zbliżała się pora obiadu, ale jeszcze nie zaczynał gotować ryżu.

– A te Siechnice... – powiedziała Roma – ...mają dziwny rynek. To jest właściwie tylko budynek rady miasta. Komisariat i ten budynek są otoczone nowymi blokami, jakieś lokale, szalet. Kosztowało ich to trochę, ale teraz nie mają problemu z utrzymaniem czystości – zamiatarka przejedzie i po kurzu! – Potrząsnęła głową, jakby odrywała się od wspomnień. – Ale, oczywiście, nie ma to nic wspólnego z niczym.

– Tylko udowodniłeś nam, że naprawdę byłeś w Siechnicach – uśmiechnęła się Iwa.

Roma zmrużyła oczy, niemal jak Larry David, gdy szukał w rozmówcy oznak nieszczerości.

– Dłuższe przebywanie z moim wnukiem wypacza, kochanie, twój nieskazitelny dotąd charakter.

Iwa zrobiła zaskoczoną minę i popatrzyła na Tomasza, ten wzruszył ramionami.

– Wybaczysz mi, Romciu? – szepnęła.

– Tak. Musisz tylko zmienić pościel. Nie znoszę tego zaję...

– Już zmieniłam, rano.

– No to nie mam pytań – rozłożyła ręce Roma. Wstała i obiecująco zerknęła na Kropkę. W pokoju babci była niejedna paczka przysmaków, o czym wiedziały też psy. Poderwały się i ruszyły pierwsze. – Odświeżę się przed obiadem i już wracam.

Iwa też wstała i asystowała Tomaszowi przy gotowaniu ryżu.

Właściwie trochę mu przeszkadzała, ale właśnie te przeszkadzajki uwielbiał.

I nie zaszkodziło to ryżowi.

– Tak tu pusto... – Tomasz przeleciał wzrokiem cały pokój, choć nie było w nim miejsca na ukrycie człowieka. – Sezon urlopowy?

Borkońska odsunęła się od biurka, oparła kok na zagłówek i postukała długopisem po krawędziach jedynek i dwójek. Winkler odnotował, że wcześniej schowała wkład i sprawdziła, czy nie wystaje.

– Pracują, kolego, pracują. Maciej pojechał do laboratorium, myśli, że uda mu się przyspieszyć cokolwiek.

– Przyspieszyć cokolwiek czy cośkolwiek przyspieszyć?

Borkońska przestała na dwie sekundy opukiwać zęby, znieruchomiała, potem stuknęła jeszcze kilka razy i wyjęła koniec długopisu z ust. Z jej twarzy zniknął uśmiech, jeśli wcześniejszy grymas można było nazwać uśmiechem.

– Mam z tobą problem, Tomaszu – powiedziała. – Z tego, co wiem, to zdolny z ciebie typ, ale może z traumą, poczuciem krzywdy, z urazami? A to by nieco umniejszało zdolności. A może zdolny, bez uraz, ale w kategorii zaufany komendanta miejskiego? To by, z kolei, rujnowało wszystko, i zdolności, i anse, a cała komórka siedziałaby skwaśniała i nabzdyczona, czekając, kiedy pan zaufany znacznie rzucić i dzielić.

– No tak, wygląda, że masz problem. Ja, na szczęście – nie. Nie jestem zaufany, nie jestem nabzdyczony ani urażony, zwisa mi to i obija się o tyłek podczas marszu. Nie zamierzam dzielić, rzucić i wycierać kurzu na parapetach. A co najśmieszniejsze: to nie ja przyszedłem do was, tylko wy do mnie. No to czemu nie zrobiliście przedtem kolonoskopii i nie zbadaliście, co mi w trzewiach siedzi? Inspektor zaprosił mnie do współpracy i jest, jak na razie, jedynym policjantem zadowolonym z tego faktu i z rezultatów. A jeżeli się wam moja osoba nie podoba, wystarczy powiedzieć, że przepustka przestała być aktualna, i pozbędziecie się jednego kłopotu z pliku wielu innych. – Oparł się pośladkami o biurko Samolej i splótł ręce na piersi. – Ani nie zamierzam się skarżyć, ani chlipać w rękę...

– No już, dobrze, dobrze. Dobrze? – Borkońska zamachała rękami. – Nie dramatyzuj! Jesteś białym krukiem na śniegu, więc się nie dziw...

Pokręcił głową i podniósłszy z podłogi płaski plecak z łapkami, skierował się do przydzielonego mu obcego, czasowo urlopowanego biurka. Wypakował kompa, podłączył się do internetu, odwrócił do Borkońskiej i poprosił o dostęp do sieci wewnętrznej firmy.

– Chłopie, *no way!* Jeszcze nie masz żadnych papierów. Już naruszyłam procedury, zabierając cię do aresztu. – Przełożona zmarszczyła brwi i wyduła usta w dziubek. – Procek już mnie za to zjechał, na szczęście w formie przyjacielskiej rady. Chwali mu się, że do starego nie popędził.

– Szlag by to! – Tomek aż jęknął ze złości. – Medycynę pracy zaliczyłem i te wszystkie inne pierdolety. I mówiłaś, że ktoś ma to w Warszawie przyspieszyć. Trochę mi będzie trudno bez tego, nie sądzisz?

– Sądzę, że Krajewski ma dziś urodziny i w ósemce jest tort od Spychały, a ja tego nie odpuszczę. Zatem zamykam pokój na klucz i idę świętować, a ty mi tu mojego lapka popilnujesz.

Mówiąc to, wstała, poprawiła bluzkę i wygładziła spodnie. Miała naprawdę długie nogi, była wysoka i smukła jak modelka. Jej wygląd i sposób bycia przeczył wszelkim stereotypom o samotnej singielce mieszkającej z kotem. A swoją drogą, skąd Winkler wiedział, że jest samotna? Mogła mieć przecież partnerów na pęczki, nie zdziwiłby się.

– Co się tak gapisz? – Magda wyrwała go z zamyślenia. – Siadaj i korzystaj, nie będę tam kista pół dnia!

– A taaaa, jasne. – Zrobiło mu się głupio, że tak ją obcinał w myślach. – Będę tu warował, jak komisarz Rex, Szarik i Cywil razem wzięci.

– Dobry pies! – Borkońska uśmiechnęła się, sympatycznie marszcząc nos.

Po chwili wyszła, zamykając pokój na klucz i słychać było tylko oddalający się stukot obcasów. Teraz, kiedy został sam w pokoju, zdał sobie sprawę, że naprawdę tęsknił za tą robotą. Spojrzał w ekran, wszystko było już ustawione, Magda zalogowała się, gdzie trzeba, mógł penetrować kartoteki. Wyjął tablet z zapiskami i wziął się do roboty.

Zaczął od sprawdzenia danych na temat chłopaków, Sebastiana i Rafała, oraz ich najbliższej rodziny. Potem przeszedł do Marcina Jankiewicza, kolegi Rafała, który popełnił samobójstwo gdzieś w Borach Tucholskich. Niby nie miało to związku ze sprawą, ale fakt, że w krótkim czasie zginęło dwóch przyjaciół zaplątanych w różne łobuzerskie historie, wydał mu się podejrzany. W policyjnej bazie danych nie było jednak nic, czego mógłby się czepić. Wrócił do relacji Sebastiana i Rafała. Zastanawiała go postać przyrodniego brata Seby – Bogdana. Poznał ich ze sobą, ale skąd znał Rafała? Był zaangażowany w jakieś sprawy kościelne, a w mieszkaniu Sejny wisiały pocztówki z cytatami z Biblii – w obu mowa o braterstwie. Przypadek? Skąd te pocztówki... Borek Tulibor, jezioro Baba. Odpalił mapy Google'a, wpisał pierwszą nazwę i... aż go zatchnęło. Nie, nie było mowy o przypadku. Zaczął ryc dalej.

Po niespełna godzinie miał już wszystko, co na dzisiaj zaplanował. Założył ręce za szyję i rozejrzał się po biurku szefowej. Porządek jak u wzorowej pani domu. Zdjęcia ukochanej kotki w ramkach, podkładka pod mysz z wizerunkiem kici, brelok do kluczy z pluszowym sierściuchem. Nie było wątpliwości, kto jest jej *numero uno*. Zachciało mu się pić i palić jednocześnie, ale był przecież zamknięty. Na biurku Malickiego stał jakiś energetyk, postanowił pożyczyć. Otworzył puszkę i łyknął soczyście, ale skrzywił się, bo nie dość, że słodki, to i ciepły. Na tym biurku z kolei jak u chujowej pani domu: stosik magazynów samochodowych z „Top Gearami” na okładkach, z wielkozębym Clarksonem na czele, wymieszane z papierami służbowymi, trzy puste kubki po kawie, jakiś stary zegarek rozkręcony na trybiki, dwa opakowania po grzeskach XXL i selfie z żoną oraz psem oprawione w kiczowatą ramkę. *Ramka paskudna, ale gęby w niej szczęśliwe* – pomyślał i poczuł przypływ ciepłych myśli o Maćku. Przypomniało mu się, że tego psa to Malicki wziął z bidula. Strasznie pokiereszowany chudziak, wymagał leczenia i brzydki był, i agresywny, jak pies Baskerville’ów. Maliccy wydali majątek na weta i wylizali się, a nawet wyładniał. Taki w typie owczarka szkockiego, gorsza wersja Lassie bez ucha i z wielkim płatem skóry bez sierści na boku. Winkler usiłował przypomnieć sobie, jak się wabi... Nie przypominał jednak i nie polubił energetyka, ale i tak dopił ciepły napój, po czym zmiął puszkę z obrzydzeniem i wrzucił do kubka.

Klucz zgrzytnął w zamku, a w drzwiach stanęła Borkońska z kawałkiem urodzinowego tortu.

– Uratowałam! Jest faktycznie boski! Wcinaj, zanim się rozpułynie.

Magda podała mu papierowy talerzyk z okazałym, okrągłym kawałkiem.

– O! Środek zawsze w cenie. Ktoś kiedyś zważył i stwierdził, że to największa porcja tortu. I chyba to byłem ja! – Mówiąc to, wbił plastikowy widelczyk w bardzo już miękki kawałek flagowego tortu Spychały. Doniósł porcję do ust. – Uymm... Oczywiście wielkie *merci*, że pomyślałaś. Nie tylko o deserze, zresztą.

– Mam nadzieję, że owocnie tu sobie posiedziacieś. Zwykle nie wytrzymuję na służbowych imprezkach dłużej niż dwadzieścia minut, więc docień! – Usiadła przy biurku, łyknęła resztkę zimnej kawy i zakreśliła się z fotelem. – Nie masz takiego poczucia-przecucia, że coś w tej sprawie... – Omal nie włożyła długopisu do ust, w ostatniej chwili się powstrzymała. – Jakby do gara z pomidorową wpadło jajo, mieszasz i wyczuwasz je, ale wyciąć nie można, bo ciągle spada z łyżki. Jak Gustlikowi.

– Chyba rozumiem, o co chodzi. – Winkler radośnie pokiwał głową. – To taka sytuacja, w której wszystko by fajnie zagrało, gdyby zabójcą okazał się Sebastian Sejno, ale co: fajnie by było, tylko się nie składa. – Chwycił długopis i zaczął bazgrolić coś na kartce. – No bo w końcu nie można wykluczyć, że jest niewinny.

– A szkoda, nie? Bo mielibyśmy sprawę z głowy...

– I aspiranta Winklera! – podsunął Winkler.

– No, dwa w jednym! – ucieszyła się Borkońska.

Chwilę mierzyli się spojrzeniami, szacując, czyje poczucie humoru przeważyło. Pojedynkę przerwało otwarcie drzwi i energiczne wejście Macieja Malickiego.

– Cześć wszystkim! Wam też.

– Ta.

– Cześć ci.

Powiesił torbę na oparcie fotela i zwałił się w krzesło. Odpalił komputer. Niedbale odsunął kilka przedmiotów na bok, na tyle, żeby położyć rękę na biurku.

– Długo czekać? – wycedziła Borkońska.

Malicki oderwał się od ekranu i zrobił kwaśną minę.

– Umyślnie nie rzucam się z relacją, bo właściwie nie ma co relacjonować. – Podrapał się po szyi, tam gdzie nie tak dawno miał wytatuowanych kilka ideogramów. – Potwierdza się to, co mówili wstępnie: na Sebastianie nie ma nic podejrzanego, śladów krwi i tak dalej. Seriale i kryminały uczą posługiwania się wybielaczami, więc nie ma co się tym jarać. Usunięcie nie jest więc bezapelacyjnie wykluczone, ale jak na razie nie ma o co zahaczyć. – Myślał chwilę, patrząc w podłogę. – Zabity miał sporo alkoholu we krwi, na pewno był po kilku jointach i chyba jeszcze coś. Oszczędzał na jedzeniu, żołądek niemal pusty. No i to, co już wiemy – najpewniej ktoś udawał mańkuta. – Podniósł wzrok, żeby popatrzeć na szefową i Winklera. – Sejno jest praworęczny.

Borkońska prychnęła.

– Czyli to, na odwyrtekę, świadczy, że może być zabójcą.

Malicki pokiwał głową.

– Inne pomysły? – Borkońska odwróciła się całym ciałem do Winklera, jakby podkreślając, że raczej z jego strony spodziewa się eksplozji intelektu.

– A co z tym Michno? To jednak temat do sprawdzenia, ta pożyczka. Seba też wspominał o spazmatycznych przypływach gotówki u Rafała. To zdecydowanie trzeba sprawdzić.

– Wy się tym nie zajmujcie, zleciłam to Joasi. Wy mi tu macie brainstorming robić. Od drobnicy są Krajeuski i Samolej. – Borkońska wiedziała, jak zarządzać zasobami męskimi: chwalić i doceniać.

– No dobrze, to co powiesz na to: Tulibor? – rzucił Tomek, jakby wykladał na stół co najmniej karekę asów.

Malicki plasnął dłonią w biurko i ewidentnie zablęfował:

– Noszcurr... Miałem to właśnie powiedzieć!

Komisarz chwyciła długopis i zbliżyła do ust, ale się opanowała.

– Proszę mi przypomnieć, co mamy na tego Tulibora?

Winkler uśmiechnął się, ale tylko w duchu: Borkońska nie pamiętała albo nie wiedziała o pocztówkach.

– Obaj chłopcy, Rafał i Sebastian, mieli pocztówki. Takie same. Na tej w pokoju Rafała było: „Przyjaciel kocha w każdym czasie, a bratem się staje w nieszczęściu”, a na lodówce u Sebastiana: „Brat jest zrodzony na chwilę nieszczęścia.” Cytaty z Biblii.

– I dlaczego to jest interesujące?

Zanim Winkler zdążył otworzyć usta, Malickiego olśniło:

– Bogdan! Przyrodni brat Sebastiana!

Borkońska rzucała przeniesienie spojrzenia na podwładnego.

– To on poznał chłopców, byli razem na tych spotkaniach młodych... mhm... jak to się nazywa? – Magda zmrużyła oczy, szukając w pamięci nazwy. – Ci młodzi? – Pomachała palcami w powietrzu.

– Taizé. – Winkler przyszedł z odsieczą. – Europejskie Spotkania Młodych.

– Jasne, tak. Dzięki, wyleciało mi z głowy. – Borkońska zaczęła wachlować się obrzeżem dekoltu. – Gorąco strasznie, na zewnątrz ze trzydzieści stopni, a tutaj o dychę więcej.

– Spuszczę rolety. – Winkler podszedł do okna i sięgnął po sznureczek.

– Zepsute! – zatrzymał go chórek Magdy i Maćka. Malicki westchnął, a westchnienie oznaczało, że „wszystko w Firmie schodzi na dziady”.

– Pan Sławek od tygodnia nie może do nas trafić z nowym mechanizmem.

– To chodźcie na fajkę, na zewnątrz. Ja już prawie dwie godziny nie jarałem. – Tomek sam się zdziwił, że tyle wytrzymał.

– Czekaj – zatrzymała go gestem Magda. – Tulibor – co to?

Malicki przeniósł wzrok na Winklera. Ten spokojnie, pewien swojej wiedzy zdobytej przy pomocy Google’a, wydał wargi i wydmuchał powietrze z płuc.

– Stamtąd pochodziły pocztówki. Borek Tulibor, Bory Tucholskie, powiat Krosnalin. Jest tam jezioro Ostrowickie, w Borach, i drugie tak samo nazywane, obok wsi Ostrowia. Na brzegu tego drugiego znajduje się spory obiekt... – miną pokazał, że niewiele o nim wie – ...hotelowo-sakralny. Budowano klasztor, skończyło się na ośrodku wakacyjnym dla prominentów Kościoła. Nazywa się jak las: Tulibor. Poza tym na jeziorze jest wyspa z jakimiś ruinami. Albo runami.

– Coś więcej o tym obiekcie? – spytała Borkońska.

– Nic. Google niewiele tu pomógł. Zmitrzążyłem sporo czasu, bo tam są dwa tak samo nazywane jeziora i niewiele wiado...

– OK – ucięła Borkońska. Najwyraźniej nie lubiła usprawiedliwiających się podwładnych. – Ale ten Tulibor? Wypłynął jakoś w sprawie?

– Nie wprost, ale jest coś ciekawego. Tam niedaleko dwa lata wcześniej znaleźli powieszzonego kolegę Rafała, niejakiemu Marcina z Siechnic.

– Pieprzys! – Malicki wytrzeszczył oczy. – Druga śmierć? Też zabójstwo?

– Niby nie. Uznany za samobójcę i chronologicznie pierwszy, ale zbieg okoliczności jest podejrzany.

– No raczej!

– Tego Marcina ostatni raz widziano żywego w Krosnalinie. Nie sprawdziłem, głupek ze mnie, stempla pocztowego na pocztówkach... – wyszarpnął smartfon z kieszeni – ...ale to można w każdej chwili zrobić. – Przez moment penetrował swoją galerię, znalazł fotkę od Iwy, szczypał i przekręcał obraz. – Tak, Krosnalin. Nawet urząd pocztowy jest, numer dwa. – Nagle przypomniał sobie urząd pocztowy w Polanicy i sklepik z pamiątkami oraz setką pocztówek. Wtedy, podczas tamtej sprawy, dziwił się, że ludzie jeszcze używają odkrytek do pozdrawiania i wzbudzania zawiści w adresatach.

Borkońska zadumała się tak głęboko, że zapomniała o samokontroli i zaczęła obstukiwać końcówką długopisu krawędzie jedynek, górnych i dolnych.

– Dobra, wychodzimy, bo zaraz się rozpląnę.

Magda rozpuściła włosy, tylko po to, żeby poprawić kok i żeby żaden kosmyk nie leżał jej na szyi w ten upał. Błyszczące ciemne włosy, gęste i sięgające za pupę, zamiatały linoleum komisariatu, gdy się pochyliła, żeby je związać.

Tomek i Maciek gapili się na nią jak chłopcy podglądający dziewczyny w przebieralni. Po chwili jednak, jak na komendę, ruszyli w kierunku drzwi, żeby szefowa ich nie przytapała. W drodze przekonywali się wzajemnie, że dobrze by było pojechać do tego Tulibora. Obaj nie cierpieli siedzieć na komendzie, lubili robotę w terenie. Winkler wyjął telefon i pokazywał Malickiemu trasę, a Magda szła za nimi i już wiedziała, co się kroi. Poświęciła trzy sekundy na namysł.

– No dobra, prujcie tam! – rzuciła tonem matki, która zgadza się na kolejną porcję lodów.
– Bo, jak rozumiem, chcecie razem.

Niekoniecznie...

– Sam też bym sobie poradził... – mruknął Malicki.

– Delegacje na trzy dni. A! Tomasz, pobierz broń. Dzwonił stary i masz pozwolenie.

– Czyli wszystkie procedury wyprocedowane?

– Nie do końca, więc nie muszę ci napomykać, że twoja sytuacja jest... taka...

– Nie musisz.

– ...taka zwiśla.

– Tak, rozumiem. Będę strzelał tak, żeby potem nie miał kto zeznawać. Postaram się. – I do Malickiego: – To idziemy się pakować?

– A jak! – Maciek schował papierosy i zatarł dłonie. – Ja załatwię delegi, a ty hotel. Centrum miasta... – Pokazał kciuk i ruszył do auta.

– Lecę po kławkę i po lapka na górę. – Tomasz zatrzymał się i pokazał kciukiem, że wraca, ale szefowa sprawdzała coś w smartfonie i tylko machnęła dłonią, że słyszy i że w porządku.

Django! Pies Malickiego to Django!, przypomniał sobie wreszcie, skacząc po dwa schody do pokoju. *Maciek uwielbia Tarantino. I tu się nasze proste równoległe mogłyby przeciąć, na seansie filmów Quentina!* A potem zdał sobie sprawę, że jednak się cieszy, że to właśnie z Malickim jedzie w teren.

Malicki zjechał po Winklera granatową beemą X3. Na propozycję jazdy nissanem Tomasz odpowiedział kategorycznym ruchem ręki.

– Z kilometra widać to auto ...

– No to clio? – zaproponował Winkler. Nie żeby chciał się tłuc czterysta kilometrów małą renówką, ale nie zamierzał poddać się po pierwszym ruchu ręki kolegi.

– Przestań! Wrzuć gdzieś bambetel i jedziemy.

Winkler cisnął niedopałek do kratki ściekowej, wpakował torbę do bagażnika. Dwie dobrze już powycierane kevlarowe kamizelki z napisami POLICJA walały się na podłodze zaskakująco czystego bagażnika. Pudełko chusteczek, stojak z dwiema małymi mineralnymi.

– Ty będziesz prowadził? – zapytał, już tylko drażniąc się z Malickim, którego entuzjastyczny stosunek do motoryzacji pamiętał z zamierzcztych czasów.

– Jak chcesz, możesz ty. – Maciek wzruszył ramionami.

– W połowie trasy, gdzieś po Gnieźnie? Może tam coś przekąsimy?

Malicki skinął głową, wsiedli, zapięli pasy, Maciej trącił ekran GPS-a i ruszył, nie interesując się wskazówkami. Trasa nie była skomplikowana, na dobrą sprawę cały czas S5. Wyjechali na Grabiszyńską i pomknęli w kierunku Klecińskiej.

– Unikam jak ognia jedzenia w trasie – rzucił kierowca. – Większość knajpiarzy oferuje żarcie z przedwczoraj, są przekonani, że przecież nie wrócisz do nich z obsranymi portkami. – Chwilę milczał. – Możemy zaryzykować coś gdzieś na wysokości Poznania. Pyry mają uczciwszy stosunek do klienta.

– Okej. Mi pasuje. – Tomasz ziewnął, zasłaniając usta dłonią.

– Wczoraj, jak rozmawialiśmy z Magdą, zapomniałem cię spytać – rzucił Malicki, patrząc na drogę – skąd wiedziałeś o śmierci tego Jankiewicza?

– Otóż... – Winkler chwilę myślał, czy zdradzać się z miniśledztwem babci, ale uznał, że przecież ostatecznie są już tymi partnerami. – Otóż Roma była z wizytą u przyjaciółki w Siechnicach... – zaczął obojętnym tonem.

– Aaa, całkiem przypadkiem pani Wiśniowiecka odwiedza kumpelę w Siechnicach, chwilę po zabójstwie siechniczana? – Malicki spojrzał na Tomka z głupkowatym uśmiechem.

– Na drogę patrz!

– No to dawaj, czego się dowiedziała nasza panna Marple? Co z tym denatem w lasku?

– Jankiewicz był ponoć przyjacielem Góry w czasach gimnazjum. Marcin był gorliwym aktywnym katolickim chłopcem, ministrantował nawet przez lata, a potem niespodziewanie razem z Rafałem wymalowali na kościele komunikaty wskazujące na jakieś świństwa ówczesnego proboszcza. Chłopcy odpekali zawieszenie w prawach ucznia, a proboszcz wyparował z Siechnic. Jankiewicz, który często jeździł na jakieś oazowe tułaczki, powiedział rodzicom, że ma kolejną wyznaniowo-koncertową wyprawę, i pojechał niby nad morze. Ale

nie dojechał, znaleziono ciało niedaleko Krosnalina właśnie. Sprawdziłem to wczoraj w bazie. Opisane jako samobójstwo przez powieszenie.

Wjechali na S5 i przekraczając dozwoloną prędkość jak wszyscy, pomknęli w stronę Mostu Milenijnego.

– No to żeś mnie zaintrygował – przyznał Malicki. Zerknął na zadowolonego Winklera. – Z premedytacją nie powiedziałaś Magdzie, że babcia robi ci research?

– No skąd! Zapomniałem. – Myślał chwilę i uznał, że musi jakoś ocieplać stosunki ze starym kolegą z Fabryki. – Ona mnie trochę tremuje, powiem szczerze. Nie miałem nigdy szefowej, poza Romcią.

– Ha! O takim jak Roma szefie marzy każdy! Magda... A powiedz, przecież nie jesteś typem piecucha, który wisi na emeryturze babci czy rencie matki... – Rzucił znowu szybkie spojrzenie na Winklera. – I ciągle z babcią? To nie nudne? Nie macie ochoty odkręcić kurka z gazem?

– Romcia jest oszczędna, szkoda by jej było gazu. – Poprawił kaburę na prawym biodrze, odsunął fotel. – Wiesz, dlaczego mamy z Romą taki wspaniały układ? Dlatego, że szanujemy się wzajemnie i uważamy, żeby nie urazić drugiego. Jeśli Roma mówi: „Na parapecie zostawiasz popiół”, to ja nie myślę, że konfabuluje, bo ja nigdy przy tym oknie nie palę. Ja myślę: „Przecież ją znam, nie wymyśliłaby sobie tego!”, potulnie kiwam głową i obiecuję poprawę. A potem pilnuję się, żeby nie zostawiać popiołu na żadnym parapecie. Zakładam, że ona wie, co mówi. A ona ma takie same założenia w stosunku do mnie. I mamy najświętszy możliwy spokój.

– Ja pierdołę! Takie proste? Ciekawe, jakbym zaproponował to swojej małży...

Winkler powstrzymał się od komentarza, kosztowało go to sporo wewnętrznej mocy. Malicki przecież mógł doprowadzić do szału każdego. Fakt, z przestępcami były to zdolności niebywale pożądane, ale Malicki jakby nie potrafił wyhamować i traktował wszystkich z niezwykłe skuteczną wkurwą.

Nagle od irytującego Malickiego myśli Winklera przeskoczyły na zupełnie inną osobę.

– Cholera... Wiesz co, od dwóch czy trzech dni łązi mi po łbie, że coś powinienem zrobić i właśnie wreszcie to złapałem: powinienem zadzwonić do Kosy. Do prokurator Rainy Kalwy-Kosińskiej z Kłodzka, niesamowita po prostu. Ma tytuł znajomych i to takich, że powinna być Prokuratorem Generalnym.

– Tak-tak! Mów to głośno, to ją wykopią na zasłużoną emeryturę albo nawet na niezasłużoną! – Malicki roześmiał się z własnej dowcipnej prognozy. – Ale czym ci tak zaimponowała? No bo nie... – urwał i machnął ręką.

Pewnie chciał coś o cyckach powiedzieć, dupek!

– Ona może znać kogoś w Bydgoszczy czy co tam jest blisko Krosnalina?

– Nie wiem, to taka dziura, że nic tam nie ma w pobliżu. Ale działaj, zaszkozić nie zaszkoździ.

Winkler sięgnął po smartfon, wyjął przy okazji camele i zapalniczkę, włożył do skrytki, gdzie leżał już walther Malickiego. Znalazł numer do Rainy. Odczekał kilka sygnałów.

– No niech ja przytyję trzy kilo! – usłyszał radosny miętowo-cygarowy głos prokuratorki. – Sam Winkler we własnym smarciuaku?

– Pewnie, że ja. Tylko ja się nie boję do ciebie dzwonić. Tylko ja!

– Za łagodnie cię potraktowałam, młodzińcze. Co u ciebie, kochany?

– No dobrze jest, nie najgorzej, dziękuję. A dzwonię, jak się domyślasz, w interesie.

– Tego się domyślałam. Co więc?

– Szukam jakichś znajomości w Krosnalinie. Taka miejscowość to jest. Między Bydgoszczą a... no...

– Słupskiem! – wysyczał Malicki.

– Słupskiem.

– A kto tam tak syczy? – zapytała Kosa.

– A takiego tam... policjanta wziąłem na stopa. Tirówki tropi, ale mu puciekały, to się zlitowałem.

Malicki wykonał bezgłośny rechot i kilka razy uderzył równie bezgłośnie w kierownicę.

– Krosnalin... I co?

– Dwa lata temu powiesił się tam w lesie przy browarze młodzieniec z Siechnic, niejaki Marcin Jankiewicz. Rodzina wyklucza samobójstwo, bo wierzący i nie mający powodu. On się chyba wiąże z naszą inną sprawą, dlatego dzwonię.

– Krosnali-i-in... – Słyszeli w głośniku głośne myczenie, gdy przeszukiwała w myślach swoje kartoteki. – No tak! – zawołała zadowolona. – Przecież! Zostaw mnie w spokoju na kilka minut, oddzwonię.

Rozłączyła się piorunem, zanim zdążył odsunąć komórkę od ucha. Przypomniał sobie, że Kosa, ulegając informacjom o szkodliwości smartfonów, rozmawia, trzymając komórkę płasko przed ustami: „Mam-hamburgera-i-zaraz-go-zjem”. To pomagało jej migiem przejść od rozmowy do działania.

Kilka minut pomykali sto trzydzieści na liczniku, silnik szemrał ciszej nawet niż toczące się po asfalcie opony. Malicki ustawił tempomat i zdjął nogę z gazu. Z rzadka rozsiani współużytkownicy szosy połykani byli przez stabilnie sunące bmw jak *gnocchi* przez wygłodzonego Gargantuę. Winkler nagle pomyślał, że do Malickiego nie pasuje żadna inna bryka, żaden francuz czy japończyk, żaden SUV ani jeep, nawet niemal sześciometrowy, dwuipółtonowy chevrolet suburban z trzystukonnym pięciolitrowym silnikiem. Tak, tylko to, ulubione auto wszelkiego rodzaju przestępców pasowało do Malickiego. Cholera, do przestępców też najbardziej pasowało!

Odezwał się smartfon Winklera. Odebrał z głośnomową.

– Słyszemy cię, Raina!

– Aha? Dobra, witaj, nieznajomy z tiramisu!

Malicki oderwał jedną rękę i zacisnął palce w pięść.

– Dzień dobry! – zawołał raźnie.

– Dobra, panowie z policji, słuchajcie. Stryj mój, Mikołaj, od roku policyjny emeryt. To ważne, bo po długim namyśle – to też jest ważne – powiedział, że gdyby nie był na emeryturze, toby się chyba do was nie odezwał. Wyślę ci numer, jak skończymy gadać. A kończymy już, bo mam rozprawę. Jeszcze jedno: jak Mikołaj wolno mówi, to trzeba dobrze się wsłuchiwać, bo nie powtórzy, a to, co wolno mówi, jest kurewsko ważne. Dodam, że niezależnie od tego, co powie o tym żyrandolu, to istnieje jakieś drugie dno, którego mi nie zdradził. Nie należy tego lekceważyć! Pa, Tomasz! I panu też!

Rozłączyła się błyskawicznie, w połowie wykrzyknika, więc swoich pożegnań wysłuchali sami.

– Żyrandola! Prokuratorski slang czasem paskudniejszy od więziennego! – Winkler nie gustował w tych żargonowych określeniach. Jakoś mu było głupio wobec rodzin ofiar. – Kiedyś, jak gościu skoczył z trzonolinowca, to przyjechał Borkowski, kojarzysz gościa?

– Jasne, paskudny typak i słaby procek – skwitował Malicki.

– Podchodzi do Krajewskiego i pyta: no to gdzie macie tego kleksa? A obok żona stała, masakra.

Smartfon Winklera odezwał się, sygnalizując nadejście SMS-a. Tomasz zerknął na ekran. Wiadomość od Rainy.

– To co, gadać?

– A co masz lepszego do roboty? – Maciej sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów, markę zasłaniały palce, a fotografia reklamowała chyba zaoraną przez raka krtań.

– Bez filtra, nie częstuję. Chyba że...

– Nie, dzięki. – Podał Malickiemu ognia i sam zapalił. Malicki uchylił okna z tyłu, dym uciekał sprawnie, ale znacząco wzmógł się hałas. – Przy okazji: szyberdach, pierdzielony, nie otwieraj go nigdy, zwłaszcza podczas deszczu, bo ci chluśnie dwa litry wody na głowę.

– Dobra, nie zamierzam. Okna wystarczą. Wypalimy, to zadzwonię – skwitował szum Winkler. – Słyszałeś, co powiedziała Raina? – Malicki skrzywił się: fifty-fifty. – Wygląda, że pierwszy strzał i od razu nie pudło. Ten jej stryj, Mikołaj, coś ma. Ona powiedziała, że mówić wolno, a to oznacza, że każde słowo było znaczące, mamy się dobrze wsłuchiwać.

– Kuurwa, Tomasz, czasem zaczyna mi się wydawać, że dokoła sami mędrzy i tylko ja taki przygłup między nimi się kręcę. Wszystko mi trzeba wykładać jak datki na tacę?

Winkler się roześmiał.

– Całe lata zgrywasz dupka, to czemu się dziwisz, że cię mają za dupka? – Zaciągnął się mocno dwa razy, wypuszczając dym i jednocześnie kontynuując: – Dobra, kończmy, ciekaw jestem, co Mikołaj ma dla nas.

Spodziewał się, że Malicki skorzysta z okazji i zadowolipkuje, ale nie, zaciągnął się jak Winkler, zerknął w lusterka i pstryknął przez okno niedopałkiem.

– Palić wolno, ale przechowywanie kiepów niedozwolone. Sorry.

Winkler skinął głową, wyjął dwa ostatnie camele i włożył do kieszonki koszuli, do paczki wrzucił niedopałek i mocno zduślił karton, położył na dywaniku. Z ekranu samsunga wyłowił SMS-a z numerem telefonu, uruchomił wywołanie. Malicki zamknął okna.

– Słucham? – uleciało z głośnika.

Głos był dość wysoki, z lekką chrypką, może palacza.

– Dzień dobry, Tomasz Win...

– Tak, rozumiem, spodziewałem się. Powiedziała, że ma pan sprawę w Krosnalinie. Chodzi o Marcina Jankiewicza, tak?

– Tak.

Rozmówca Winklera milczał, Tomasz zrozumiał, że to on powinien dodać coś do prostego zapytania, w końcu kto potrzebował danych?

– Parę dni temu został we Wrocławiu zabity młody mężczyzna, pochodzi z Siechnic, skąd pochodził też Jankiewicz. Chodzili do jednego gimnazjum, podobno się przyjaźnili. Przeglądaliśmy życiorys zabitego i pojawił się Marcin. Też przedwczesny zgon, trochę nas to dziwi, dlatego z kolegą wybraliśmy się do was po jakieś szczegóły... Kolega prowadzi, ale słyszy wszystko, a Raina zrobiła nam pewną nadzieję na dane tego zdarzenia.

– Panie aspirancie, Raina faktycznie przekazała, że mam jakieś... – Mikołaj rzeczywiście zaczął mówić wolniej, wyraźnie emitując głoski. – Na razie umówmy się tak: jak przyjedziecie do Krosnalina i zameldujecie się w hotelu, to proszę zadzwonić. Spotkamy się, ale raczej po zmierzchu i w jakimś ustronnym miejscu. – Malicki oderwał wzrok od kierownicy i popatrzył na Winklera, okazując zdumienie. – Jestem od dziewięciu miesięcy już na emeryturze, chwala Bogu, i chcę wyglądać i zachowywać się jak emeryt. Dlatego, generalnie, nie będziecie się powoływać na mnie w żadnych okolicznościach. Spotkamy się

raz i będzie dość. Powiem, co wiem i co myślę. To powinno wystarczyć, a jeśli nie wystarczy, to znaczy, że albo sprawa nas przerosła, albo my nie dorosliśmy do niej.

– Rozumiemy. Ale to, co pan mówi, prowadzi nas do konkluzji, że pomysł z delegacją do Krosnalina nie był głupi?

– Nie – wyпалиł mocno i krótko. Zdecydowanie. Ale zaraz zaczął mówić wolno i wyraźnie:

– Proszę tylko nie myśleć, że to taka sobie wyprawa na miejsce samobójstwa młodego ćpuna. I proszę, bardzo ostrożnie. Wszędzie. Wszędzie i z każdym. Z każdym!

Policjanci wymienili zdziwione spojrzenia.

– Dobrze, dziękuję za wskazówkę. I, w takim razie, do usłyszenia wieczorem.

Rozmówca rozłączył się jak Raina – szybko i bezapelacyjnie.

– Kuurwa, Tomek? Czy my do opanowanego przez mafię Las Vegas walimy? Co on gada?

– Nieee-wieem... – Winkler umyślnie przeciągał samogłoskę, parodiując emeryta Mikołaja.

– Ale brzmiał, jakby się bał. Czegoś. Kogoś.

– Dzwonić po Czarne Anioły?

– Nie tam! Sami zgarniemy laury.

– No dobra.

Jechali chwilę w milczeniu, w głowach obracali dotąd spokojnie ułożone myśli o dwóch przedwcześnie i gwałtownie zmarłych młodych chłopakach... spokojnie... aż do rozmowy z emerytem Mikołajem. Bo po tej krótkiej wymianie informacji zaczęły się burze, jakby na leśną jesienną polanę wtargnął rozjuszony wichur i wzbili w powietrze pierzynę z liści.

Malicki sięgnął do przycisku na kierownicy, z głośnika popłynął znany każdemu nie głuchemu słuchaczowi riff.

– Tidi-di-di tada-da-da! – roznucił się Malicki, radośnie wybijając na kole kierownicy rytm *Hey Tonight*. – Znasz to?

Winkler wzruszył ramionami i prychnął:

– Żyć z babcią Romą i nie znać Creedence Clearwater Revival?

– Nie gadaj?! Ona to konsumuje?

– Przecież to jej pokolenie dostało tę muzykę w prezencie. My to już przypadkowi słuchacze, zmuszani do szanowania. – Zastanawiał się chwilę. – Elvis, Rolling Stones, Suzi Quatro, Pink Floyd, Niemen – to ich idole, nie nasi. Ale ja się na nich wychowałem. Koncerty, panie, płyty, kasety... Wiesz, ile tego mamy w domu?

– Noż kurde! To ja się wpraszam na wieczorek odsłuchowy. A rap?

– Do oporu. Twierdzi, że raperzy to ostatni rymujący poeci. Na dodatek Taco Hemingway może przez dwie godziny sypać tekstami z pamięci, a każdy inny poeta, używający wiersza białego, musi mieć kartkę, bo nie pamięta ani jednego swojego utworu.

Malicki pokręcił w podziwie głową, wyprzedził przyłączone do siebie dwa TIR-y, zmełł w ustach kilka ołowianych określeń.

– Kiedy w końcu wprowadzą obowiązkowy odstęp, jak, kurwa, w Niemczech?

Winkler też pokręcił głową, wyrażając głęboki sceptycyzm i brak wiary w skuteczność jakichkolwiek przepisów.

– Ty, stary glina, pies, wierzysz w jakieś zakazy?

Malicki otworzył usta, ale tylko przejechał tak kilkaset metrów, potem zacisnął wargi i rozciągnął je w krzywym uśmiechu.

– Roma, ty się na mnie nie gniewaj, ale wydaje mi się, że to nie był... nie jest... dobry pomysł
 – powiedziała Iwa, hamując zaraz za skrzyżowaniem. Domek, który był celem eskapady, jednym z celów wycieczki, dokładnie mówiąc, znajdował się w szeregu po prawej, czwartym z kolei. – Ani oni nie muszą być nastawieni przychylnie, a już na pewno policja dostanie szafu, jak się dowie...

– A dlaczego niby miałyby się dowiedzieć?

Iwa roześmiała się, ale śmiech trwał krótko.

– Halo? Skoro policja ma się nie dowiedzieć, to po co ta akcja?

Roma pogłaskała wierzchem dłoni odsłonięte ramię Iwy.

– Ma się dowiedzieć nasz Tomasz. A czy on będzie w policji i jak długo tam będzie, zobaczymy.

Głębokie westchnienie Iwy zakończyło się skinieniem głowy.

– Ale przejdźmy ten kawałek pieszo, co? – zaproponowała. – Jakby byli dramatycznie źle nastawieni, to nie muszą zapamiętywać blach wozu, prawda?

– A tak! Słusznie, już się gramolę.

Roma wyskoczyła z isuzu, lekko strzepnęła spódnicę i rękawy białej bluzki, nazywanej w domu „jedną z nobliwych”, używanych właściwie przy jednej specjalnej okazji: wizycie w spółdzielni Cichy Kąciak. Iwa wymknęła się zza kierownicy i łapka w łapkę ruszyły do celu. Po drodze wyjęła z plecaka dyktafon, włączyła go i włożyła z powrotem. Kieszeń była częściowo osiatkowana, w domu przetestowały, że jeśli plecak leży nieruchomo i siatka nie ociera się o mikrofon, to jakość nagrania jest za-chwy-ca-ją-ca!

Furtka była otwarta na oścież, nie straszyły tu żadne dowcipne napisy typu „Do furtki dobiegam w 5 sekund” albo „Pies zły, teściowa gorsza”, nie zwalniały więc, pokonały cztery schodki, Iwa wyciągnęła palec i wdusiła okrągły przycisk, wystający z archaicznego bakelitowego dzwonka. Za drzwiami anemicznie rozległ się sygnał, najpewniej tłumiony przez woale zakurzonych pajęczyn, wypełnionych truchłami moli i much. Iwa powtórzyła dźwiękowy anons.

Coś zaszurało, skrzypnęło, brzęknęło.

Cholera, kiedyś był taki Teatr Polskiego Radia – pomyślała Roma. Tam właśnie tak odgrywali początek wizyty policji w starym wiejskim domu.

Otworzyły się drzwi, stanął w nich rozczochrany mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, z lekką nadwagą skoncentrowaną w brzuszonym pasie tułowia. Jego T-shirt, kiedyś grafitowy, z wypłowiałym PAN TU NIE STAŁ, z lekka nie pasował do nośnika. Mężczyzna nałożył na nos zwisające na żyłce okulary i przekręcił głowę.

– Słucham? – wyprzedził Iwę i Romę.

– Dzień dobry panu. Państwa adres dała nam Wiesława Kujawska, państwa nie tak odległa sąsiadka. – Roma uśmiechnęła się promiennie i wskazała ręką ponad ramieniem

gdzieś za siebie. – Chciałybyśmy...

– Przepraszam panią, ale nie potrzebujemy niczego, w nic nie wierzymy, na nic niczego nie damy.

Kiwnął się do tyłu, zamierzając zrobić dwa kroki i zatrzasnąć im drzwi przed nosem.

Roma uśmiechnęła się jeszcze raz.

– Nie, pan mnie nie zrozumiał. Nic chcemy niczego panu wsunąć, wręcz przeciwnie – chcemy coś dostać.

Gospodarz znieruchomiał, nie wiadomo: zdumiony bezczelnością staruszki czy zaintrygowany ponad miarę.

– Rysiu? Co się dzieje?

Za plecami mężczyzny ponownie skrzypnęły drzwi, błysnęła wiązka strumieni słonecznych, od tyłu na przestrzał przesywających dom. Na ramieniu gospodarza położyła dłoń kobieta, przesunęła go nieco w prawo i bojowo wysunęła do przodu brodę.

– Słuu...

Zaczęła dość agresywnie, ale Roma zrobiła pół kroku i chwyciła kobietę za łokieć.

– Chcemy porozmawiać o pani synu, kochana. – Obdarzyła łagodnym spojrzeniem i ją, i jego. Gospodarze, zamknęli usta, nie odezwali się. – Nie jesteśmy zielonoświątkowcami, jesteśmy osobami, które wierzą, że policyjne śledztwo było wyjątkowo nieudolnie prowadzone i chcą pomóc nowym siłom w organach porządkowych w rozwikłaniu sprawy zgonu państwa syna. – Obejrzała się. – Jeśli możecie państwo poświęcić nam kwadrans choćby... Niech nas nie widzą sąsiedzi... – ściszyła głos, choć uliczka była pusta i senna. – Wyjaśnimy wszystko – obiecała.

– Ale co panie są? – zapytał mężczyzna. Ryszard. – Jakiś komitet pomocy ofiarom? Kogo...?

– Nie, nic nam nie wiadomo o jakimkolwiek Komitecie – włączyła się do rozmowy Iwa, jednocześnie robiła też ćwierć kroczku i stanęła w jednej linii z Romą.

Ryszard i jego żona – o której Iwa z Romą wiedziały, że ma na imię Krystyna – odruchowo cofnęły się do tyłu. A potem równie odruchowo zrobili jeszcze krok wstecz i nagle wszyscy byli już w wiatrołapie.

– Proszę... – bąknął Ryszard Jankiewicz.

Jego żona odwróciła się i pomknęła pierwsza do pokoju, zniknęła za zakrętem, coś brzęknęło. Gdy Roma weszła do livingu, Krystyna zniknęła właśnie w kuchni, niosąc to coś przed sobą. Roma dyskretnie wciągnęła powietrze nosem.

Stawiam na jakiś budżetowy riesling. Godzina jedenasta osiem. Taki eine kleine dry brunch?

Jankiewiczowa wróciła z kuchni, zatrzymała się na krawędzi kowarskiego dywanu i machnęła w sposób nieokreślony rękami. Poprawiła nałożony na ramiona szal z resztek wełny w kilkunastu kolorach, ni to upiorny, ni to hippisowski.

– Proszę siadać – powiedziała. – Ja coś nie rozumiem...

– Ja to nic nie rozumiem! – burknął bardziej zdecydowanie mąż. – Kto może grzebać w sprawie śmierci naszego syna? Prokuratura! Policja! A panie?

– Prokuratura i policja już raz państwa zawiodły. – Roma zrobiła krok i usiadła pierwsza. Wiedziała, że siedzącego człowieka trudniej usunąć jako tako wychowanym gospodarzom. – Marcin był dobrym dzieckiem, młodzieńcem – poprawiła się. – Przecież działał w oazach, był wiele lat ministrantem, dobre oceny w szkole.

– Prawda... – westchnęła gospodyni i przytuliła dłonie do policzków, niechętny naciągając skórę i przez chwilę wyglądała upiornie.

– Jak to się stało... – Iwa poszła w ślady Romy i usiadła obok niej na kanapie – ...że Marcin sam pojechał nad morze?

Gospodarze, jakby widząc, że nie ma na co czekać, ruszyli się i zajęli każde po jednym fotelu. Nie wiedzieli, jak bronić się przed naporem obcych kobiet, dali sobie spokój z rozpytywaniem, kim są i po co przyszły, a – w końcu – nie pytały przecież o hasła do kont ani o loginy do internetów! W ich pytaniach, jak meduzy w wodzie, powiewały kwestie, które już nie mogły zaszkodzić Marciniowi. A może mogły mu pomóc?

Tylko jak?

– Nie wiemy. My nic o tym nie wiemy – powiedział cicho ojciec Marcina. – Nic. Nawet nie byliśmy w tym przekłętym Krosnalinie! Tylko tu nas wezwali na komisariat, powiedzieli, że Marcin popełnił samobójstwo, i już.

– Oddali jego rzeczy... ubranie...

W pokoju zrobiło się cicho i zimno. Matka potarła ręce pod szalem.

– Proszę nam dokładnie, możliwie szczegółowo opowiedzieć wszystko od momentu, kiedy Marcin poinformował was, że jedzie nad morze.

– No tak... zwyczajnie – powiedział Ryszard. – Miał już przecież osiemnaście lat, złożył dokumenty na politechnikę.

– Nie chciał od nas pieniędzy, tylko na pociąg. To dlaczego mieliśmy nie dać?

– A sam jechał?

Rodzice synchronicznie pokręcili głowami.

– Ale my ich... – zaczęła Krystyna i nagle czknęła.

Błyskawicznie przyłożyła dłoń do ust. Mąż strzelił w nią piorunującym spojrzeniem, widocznie rieszling do południa w jego zwyczajach nie lokował się wysoko. Przejął inicjatywę.

– Akurat tego towarzystwa nie znaleźmy. To miała być duża grupa, ze dwanaście osób. – Żona gorączkowo potaknęła ruchem głowy. – Trochę znał z kursów przedmaturalnych, trochę z takich koncertów, jeździł na spotkania... taki tam młodzieżowy hip-hop, mówił. No i nad morzem miał być festiwal cały, nie wiem, ja szukałem nawet trochę w internecie, ale nie znalazłem. Wie pani, słaby w tym jestem. Marcin mówił, że pokaże mi ten festiwal i jak szukać, ale... tam... wakacje, głowa do czego innego.

– No tak, nie znaleźmy nikogo. Policja z Krosnalina mówiła, że nie znają nikogo z tej jego grupy, że nikt go z nikim nie widział, że nic nie wskazywało, że przyjechał z kimś. Ale jak nie z kimś, to z kim? – zapytała. – Co by tam sam robił? Od pierwszego lipca? Przecież ani rodziny tam nie mamy, ani nic.

Iwa uznała, że temat Krosnalina został wyczerpany. Popatrzyła na Romę, ta stwierdziła, że to sygnał.

– A ten incydent z kościołem? – zapytała. – Chłopcy pomalowa...

– Jakie „pomalowali”? – poderwał się nerwowo Ryszard Jankiewicz. Od początku rozmowy na każde pytanie, które mogło postawić syna w marnym świetle, reagował nerwowo, jakby sypano mu sól na rany. – Nie pomalowali, tylko napisali, i nie było tam żadnych... – Zaciął pięść i pomachał nią, jakby młotkiem wbijał gwoździe. – Bo ludzie... że napisali tam... o proboszczu, że kutas, za przeproszeniem, ale nie. Napisali „kuty as”, przecież jest powiedzenie „kuty na cztery nogi”, prawda? A proboszcz przechera jak diabli. Nie darował grosika, niech powiedzą ci, co na cmentarz parafialny chcieli się dostać! Za darmo? W życiu! Zasiłek z ZUS-u nie wystarczy! No to chłopaki napisali, że kuty, cwaniak. Rozdawał karteczki przed koleją, że każdy ma się opowiedzieć, ile na co daje. A na karteczce było... – narysował w powietrzu trzy kreski – ...ile na kościół, ile na życie parafialne, ile na ofiarę

do Watykanu. I było głupio podać, że po dziesięć złotych chciałeś, chłopie. Po dwadzieścia co najmniej! A najlepiej po pięćdziesiąt, kurwa jego gajowego!

– Ryszard! – poderwała się żona.

Chwyć się za głęstą czuprynę i szarpnął.

– Przepraszam, ale krew człowieka zalewa czasem...

– Ale proboszcza Bychały już nie ma?

– A nie ma! – Jankiewicz radośnie plasnął dłonią w kolano. – No? Jak mu w twarz rzucili, że skubie ponad miarę, to go migiem pod korcem schowali i już cicho sza! Marcin, powiem pani... – Wyciągnął wskazujący palec i niemal grożąc Romie, pomachał nim w powietrzu. – Marcin się cieszył, bo on...

– Rysiu? – jęknęła żona.

– Co „Rysiu”?! Marcin pojechał, wcześniej, przed malowaniem kościoła, na wycieczkę kościelną, z Wrocławia. Pojechali do Lichenia, do Wieruszowa, tego... – szukał w głowie – ...Gietrzwałdu czy jakoś tak, do Świętej Lipki... Wrócił jakiś nieswój, nienormalny. Jak go pytaliśmy, to się wściekał, trząsał drzwiami i wychodził. Bardzo niegrzecznie, nie jak Marcin.

– A ta dziewczyna? – włączyła się Iwa. – Julia?

– Ta, Julka Proszczyszyn. Kawalek dalej mieszka. Ona się z Marcinem od takiego znała. – Krystyna pokazała dłonią wysokość pół metra od podłogi. – Często ja ich bawiłam, czasem jej matka zajmowała się parką, żeśmy się śmiały, że chowamy narzeczeństwo... – Spochmurniała i posmutniała. – Ale oni... – Machnęła ręką.

– A co ta Julka teraz robi?

– A tu, w Lidlu, koło szklarni pracuje. – Teraz Ryszard pokazał ścianę, ale inną. – Wcześniej w pizzerii była... Po śmierci Marcina odwiedzała nas, teraz to już rzadziej. Przeżywała to bardzo, bo przecież od dzieciaka się znali. Nawet do psychologa chodziła, bo jakaś depresja ją dopadła. I już było lepiej, aż tu ta sprawa z młodym Górą. Kolejna tragedia. – Jankiewiczowa wyciągnęła chusteczkę, przetarła zażawione oczy i wydmuchała nos. – Nie chcę już o tym mówić. Nie chcę tego znów przeżywać. Jedno wam powiem! – Mówiła coraz głośniejsze, szlochając. – Mój syn się nie zabił! Marcin tego nie zrobił!

Roma i Iwa pokiwały głowami jak na komendę. Podniosły się, podziękowały za informacje i wyszły na zewnątrz.

– Biedni ludzie. Nie przeżyli jeszcze swojej żałoby. – Iwa obróciła się i spojrzała w stronę okna. Zza firanki wyglądali objęci rodzice Marcina. Zrobiło się jej wstyd za to najście. Ale jeśli ktoś przyłożył rękę do śmierci tego chłopca, to warto byłoby to wyjaśnić.

Roma zerknęła na zegarek.

– Będzie w domu?

– Pewnie nie, przed południem mają chyba pełne obłożenie? Ale możemy sprawdzić.

Podjechały kilka ulic dalej, do domu Julki Proszczyszyn, który wcześniej pokazała Romie Renata. Drzwi garażu właśnie zamykała obciążona na krótko dziewczyna.

– Przepraszam? – zawołała Iwa, obawiając się, że stojący na podjeździe volkswagen polo czeka na kierowcę, a Julka może im uciec. – Czy pani to Julia Proszczyszyn?

– Tak, ale nie mam teraz czasu na nic, za dwanaście minut...

– Dwa zdania, kochana. – Roma wysiadła, podbiegła do dziewczyny i zagroziła jej drogę do samochodu. – Nie obawiaj się, dziecko, jestem znajomą waszej sąsiadki – Reni Brzozowskiej i doktora Henryka. Mam jedno pytanie i pojedziesz do pracy. – Julka westchnęła i zatoczyła wzrokiem koło, ale nie uciekła ani nie zastopowała natrętnej babuni. – Ten incydent z malowaniem w nocy kościoła? Marcin i Sebastian oskarżyli proboszcza o nieładne rzeczy, tak?

Julka odzyskała władzę w członkach, zamknęła bramę i potrząsając brelokiem kluczyka, skinęła głową.

– Tak, byli wkurzeni na maksa. Bychała, stary wał, miał katechezę w podstawówce i naszym gimnazjum. Paskudny oblech. Zapraszał dziewczynki do ogrodu na plebanię, żeby sobie czeresni nazrywały, a jak wchodziły na drabinę, zaglądał im do gaci! Albo jak sukienki krawcowa szła liturgiczne na komunię, to nie obyło się bez wizyty Bychały na przywiarkach. – Julka kręciła warkocz wokół palca. Widać było, że jest coraz bardziej zdenerwowana. – Zbok i chciwiec, tyle powiem. A ja do starego Góry chodziłam, mówiłam, co się tam dzieje. – Dziewczyna wyrzucała teraz zdania tak szybko, że aż chwilami trudno ją było zrozumieć. – Jeszcze mnie pogonił, że mam swoje za skórą i za mało wiary. Stary cap! Niby taki mądry, a co z Rafikiem zrobił? – Teraz Julka poczerwieniała i nagle się rozptakała. – Tłamsił go, trzymał pod presją i co z tego wyszło? Teraz się modli i wyje! Za późno! – krzyknęła głośno, obracając głowę, prawdopodobnie w stronę domu Góry, i splunęła.

Roma i Iwa wymieniły ćwierćsekundowe spojrzenia. Julka wyszarpnęła z kieszeni paczuszkę chusteczek i zużyła dwie. Cisnęła je na asfalt, pociągnęła nosem.

– Przepraszam, ale ja już naprawdę muszę iść, tu, w Siechnicach, nie ma za dużo pracy, a do szklarni nie chcę, brzydzę się owadów. Przepraszam, do widzenia!

Ominęła Romę, ta potrząsnęła głową i zawołała:

– Chodziliście ze sobą? Znałaś Rafała bardzo dobrze przecież?

– Chodziliśmy? – Otworzyła szeroko oczy, to miało być zdziwienie i zaskoczenie, i zaprzeczenie. – Na pewno nie. On z nikim nie chodził – podkreśliła ostatnie dwa słowa, wskoczyła do polo i szybko odpaliwszy silnik, odjechała.

Iwa i Roma wymieniły pytające spojrzenia.

– Czy ona chciała coś powiedzieć, żeby nie powiedzieć? – zapytała Roma.

– Na pewno.

Roma pokiwała głową.

– No to co? – zapytała. – Jedziemy do tak zwanego Rynku, walniemy jakieś małomiasteczkowe ciastko ze światową kawką z włoskiego ekspresu i do domciu?

– Świetny plan!

Odwrócili się i pomaszerowały do isuzu.

– Wiesz co? – zaczęła dość szablonowo Roma. – Mieszkanie w małym mieście ma swoje uroki, myślę.

– Bo? Bo znają się wszyscy? Od takiego? – Tak jak Krystyna pokazała dłońią wysokość pół metra nad asfaltem.

– To też, ale patrz, tu młodzi ludzie wykrzyczeli to, co wiedzieli wszyscy, ale milczeli przez lata, i jaki efekt? W dużym mieście to się jakoś rozmywa, taki proboszcz poszedłby na urlop, potem do innej parafii, potem... Potem wraca i wszyscy udają, że nic się nie działo i nic się nie stało.

– No, racja.

Wsiadły do wozu, Iwa ruszyła.

Po chwili powiedziała:

– I jeszcze coś – w małym mieście wszyscy wiedzą, jakie są ciastkarnie, a cukiernicy wiedzą, że wszyscy łypią na nich okiem, więc nie ma skuchy.

– Się przekonamy. – Roma milczała chwilę. Westchnęła. – Ciekawe, co tam chłopaki robią, w tym Krosnalinie.

– No. Jak on sobie bez babci...

Roma pokiwała głową, nie odrywając wzroku od ulicy.

– Właśnie. Nie wiem, czy wziął... – Przypomniała sobie coś, uśmiechnęła się szeroko, odwróciła do Iwy. – Wiesz, że jak pojechał w podstawówce na obóz, to myśmy z Elżunią spakowały go *day by day*: na każdy dzień koszulka, majtki, skarpetki, i dzwonimy do wychowawcy po dwunastu dniach, za dwa dni powrót, a mały Tomaszek dopada do słuchawki i zamiast opowiadać o urokach życia kolonisty, syczy: „Jak policzyłyście majtki?! Zabrakło mi jednej pary!“. I tak jeden dzień chodził w samych dresach, bez majtek, a brudnych nie założył!

Iwa zjechała na pobocze i ruszyły stamtąd dopiero po kilku minutach, gdy wytarły łzy, wysiakały się w chusteczki i przestały się trzymać za bolące przepony.

Ala jeszcze przy kawie patrzyły na siebie porozumiewawczo i prychały cichym śmiechem. Niezła szarlotka zniknęła z talerzyków w dość wolnym tempie, wietrzyk dyskretnie wpadł pod obszerny parasol, nie chłodził, ale mile owiewał ciała i kawę.

Roma dokończyła swoją i zastanawiała się, czy drugie espresso nie będzie przesadą, gdy w torebce odezwał się telefon. Wyjęła smartfona i zerknęła na ekran, uniosła zdziwione brwi.

– Odżartuch? – zapytała w miejsce „halo“

– Oczywiście, że ja, Romo najukochańsza! – odpowiedział głos w słuchawce. – Jesteście może w domu?

– Oj, spudłowałeś, Piotrusiu. Jestem w Siechnicach, z Iwą, dziewczyną Tomka. Pamiętasz Iwę?

– Pewnie, G.I. Jane z survivalowych obozów. Kłaniam się. A co wy tam robicie? Kupujecie pomidory?

– My... – Roma odsunęła talerzyk z ciastem – ...robimy taki pewien research dla Tomasza.

– Zerknęła na Iwę, ta wyszczerzyła zęby i pomajtała oczami w prawo i w lewo, że niby nie wiadomo, co ani ile można powiedzieć. Roma skinęła głową, że wie i będzie czujna. – Tomasz wrócił do pracy w tak zwanej Firmie, a dokładnie to jest teraz w „terenie“ – Babcia łyknęła kawę i rozejrzała się za popielniczką, siedziały w ogródku i liczyła, że będzie mogła zapalić.

– Research powiadasz, panno Marple? No tak, bardziej by mnie zdziwiło, gdybym zastał cię w domu z szydełkiem w rękę i nad kubkiem melisy. Śledztwo dużo lepiej do ciebie pasuje. Natomiast smutek wielki, bo akurat jadę przez Wrocław i chciałem sobie dobrze w brzuszku u was zrobić. To *ragoût à brun* w wariantcie indyjskim...

– Indonezyjskim, przepraszam, że psuję apetyt, ale indonezyjskim – poprawiła go babcia.

– No, dobra, nie ma co płakać nad wylanym dzieckiem, wpadnę innym razem, z wydłużoną zapowiedzią, żeby nie dać szansy na uniki.

– Obiecuję odnowić przyprawę na świeższe i trwać w gotowości. Na razie, Odżartuchu!

– No to pa!

Rozłączył się. Roma musnęła czerwony przycisk, sięgnęła po łyżeczkę.

– Wnuk mojego przyjaciela ze studiów – wyjaśniła zdezorientowanej Iwie. – Prowadzi gastronomiczno-wycieczkowo-książkowy fanpejdz. Ma tuziny worów z kpiną i szyderą, ale najbardziej zazdroszczę mu przemiany materii. Bo gdybym ja tak kosztowała z każdego gara? – Spojrzeniem wywinęła zawijasa na spodzie parasola, potem zerknęła na resztkę ciasta, nie tak znowu małą, i machnęła łyżeczką. – Zapłacone nie kradzione, ktoś zjeść musi!

Hotel Ragtime na ulicy 31 Stycznia wyglądał jak na zdjęciach: nowy i bez natężenia w kierunku powiatowego splendoru, była więc szansa na godziwe warunki do relaksu. Dokoła roło się od obiektów oferujących pizzę, hamburgery, obiady, barowe jedzenie i picie. Z McDonaldem włącznie.

Malicki wysiadł z samochodu i się przeciągnął. Mimo zapowiedzi i planów ani nie zatrzymali się na obiad, ani nie zmienili za kierownicą. Jakoś się gadało, paliło, sikało, wypiło po dwa energetyki, i – w końcu – uznało, że lepiej dojechać, opłukać się, wyjść na kolację i skontaktować z pozbawionym nazwiska Mikołajem „Emerytem”. Winkler nawet się zastanawiał, czy nie zadzwonić do Rainy i nie zapytać o nazwisko stryja, jakoś niezręcznie było nie wiedzieć, z kim się prowadzi sekretne rozmowy. W końcu jednak uznał, że nie jest chłopczykiem, który boi się wujka.

Rozpakowali się zgrubnie, odświeżyli, spotkali w lobby i zastanawiali chwilę, co serwuje kuchnia Ragtime’u. Teoretycznie powinna serwować jakieś ryby, owoce morza i jeziora... Uznali, że nie chce im się chodzić po mieście. Zostali w lokalu hotelowym.

Winkler po zamówieniu zupy rybnej, piwa i dwóch garści muli wyciągnął telefon i wystukał numer do „Mikifora”, jak zapisał dla niepoznaki stryja Kalwy-Kosińskiej.

– Halo?

– Jesteśmy w hotelu Ragtime, dokładnie w restauracji. Nie chce pan dołączyć do tak zwanego deseru?

– Ooo... Nie. Wie pan, jak się spotkamy, to pan zrozumie dlaczego. Ustalmy, że o dwudziestej pod barem Pumba, na Starogardzkiej. Znajdziecie bez trudu, Raina bardzo pana reklamowała, cha-cha... – Mikołaj Bez Nazwiska roześmiał się na zakończenie jak to on: wolno i wyraźnie.

– Dobrze. Pan tu karty rozdaje, panie...

– Bez danych! Proszę!

Winkler ośłupiał.

– Dob... rze... – wykrztusił w końcu. – A jak pana poznam?

– Ja pana poznam. Do zobaczenia.

Rozłęczając się, rzucił bezradne spojrzenie na Macieja.

– Dość prymitywne, ale utajnienie. Bez nazwisk, adresów. Mamy być pod barem Pumba o ósmej. – Spojrzał na zegarek, mieli trzy godziny. – Możemy spróbować odwiedzić na komisariacie...

– Tomek, daj se siana, co? Zjedzmy, napijmy się piwa, nawodnijmy, pogadamy z Mikim, pomyślimy wieczorkiem ze szklaneczką tysego i jutro zabierzemy się do poważnej roboty. Okej?

– Kej o...

Po godzinie konsumpcji oddalili się do swoich pokoi. Winkler wystukał numer lwy, nie odpowiedziała, Roma również nie, zaniepokoił się lekko, ale po SMS-ie od lwy: „Będę dzwoniła, wy3maj!” położył się, uznając, że pozycja pozioma bardziej sprzyja wyczekiwaniu.

I zasnął.

Najpierw zapadł w ciemną studnię, bez czasu i punktów orientacyjnych, potem wynurzył się i zrozumiał, że wciąż śni. Leżąc na swoim tapczanie, nie czując obok siebie ciała lwy, uznał, że to sen z gatunku scen z przeszłości.

Miał wyschnięte gardło i zastanawiał się, czy krzyczał, ale chyba nie, bo ani Roma nie przydreptała zaniepokojona odgłosami, ani nie szczeakała Kropka, która bardzo nie lubiła, gdy się ją w ten sposób wyrywało z drzemki.

To była jedna warstwa snu, ta normalniejsza: śpi w swoim pokoju. Dobra.

Ale jednocześnie śni mu się inny pokój. W tym pokoju rzuca się w oczy atrakcyjna naga kobieta, siedząca w dużym fotelu typu uszak, z ogromną koniakówką w dłoni. Właściwie kielich zakrywał całą jej nagość, deformując przesłonięte szkłem piersi. Winkler nigdy nie mógł zrozumieć, czemu służy takie kieliszki, poza tym, że efektywnie wyglądają na zdjęciach. No ale trudno, kobieta trzyma taki kieliszek, nawet unosi go do ust i sączy trunk. Tomasz przypomniał sobie, skąd ją zna, gdzie ją widział, w jakiej sytuacji! To była... Boże! Nina Mierska...? Polanicka kochanka Jaromira Vlka, czeskiego, a w zasadzie rosyjskiego gangstera, z którym miał przeprawę pół roku wcześniej. Tomasz nakrył go w domu Mierskiej, w sytuacji bardzo intymnej, i postąpił obrzydliwie, trzaskając Vlka pogrzebaczem w plecy. Gdyby Jaromir wciąż żył, na pewno nie wybaczyłby tego Winklerowi.

Dlatego był tu, we śnie, tym razem ubrany, z pogrzebaczem w ręku, ale chyba nie chciał go użyć do bicia: pokazał tylko Winklerowi, zrobił dwa kroki do tyłu i włożył końcówkę w żar pod dwiema płonącymi kłodami.

– Ty chyba lubisz takie zabawy, co, Vlk?

Teraz Winkler nawet nie odwracając oczu, jakimś bocznym spojrzeniem widzi, że obok nagej miłośniczki koniaku siedzi ten szczupły i starający się wyglądać na dystyngowanego Rosjanin, Szef Vlka, który w Polanicy darował Tomaszowi życie chyba tylko po to, żeby Winkler mógł się głowić, dlaczego tak postąpił.

Szef przejeżdża wierzchami palców po kancie spodni, otrzępuje dłonie, spleta je na prawym kolanie. Ma te same co wtedy buty ze strusiej czy wężowej skóry, kiwa stopą założoną na lewe kolano, a podeszwa buta jest żółciutka, nietknięta, jakby nie chodził, tylko był noszony. Albo wożony na wózku. Ale wózka nigdzie nie było.

Byli już jedynie oni: Szef, Vlk, Mierska i Winkler. Vlk poruszył pogrzebaczem, wyjął go z żaru, ale końcówka nie zdążyła jeszcze rozgrzać się do czerwoności.

– Panie Winkler – zaczął Szef – myśmy się już spotkali. Same szkody...

Przeciągał samogłoski, dodawał też inne, dlatego nie wymawiał „spotkali” tylko „spu-otkali”!

Vlk powtórnie wyjął pogrzebacz, przyjrzał się zagiętej i już czerwonej końcówce, rzucił Szwefowi pytające spojrzenie, ten wolno przymknął powieki, jednocześnie potakując głową.

Kobieta energicznie uniosła kielich do ust, ulewając alkohol, koniak popłynął na brode, szyję, piersi.

Winkler poczuł mocny kwiatowy aromat, szarpnął rękami, ale jakby ich nie było... jakby ścierpły straszliwie. Vlk podniósł pogrzebacz i potrząsnął nim lekko, kilka iskier oderwało się od rozżarzonego metalu i spadło na podłogę.

Winkler szarpnął się z całej siły, ale mógł już poruszać tylko głową. Otworzył usta, zamierzał wrzasnąć, ale przypomniał sobie, że to sen. Sen!

Wysunął język i przygryzł go, mocniej. Zabolało. Przed oczami przeleciała wykreślona pogrzebaczem karminowa krecha.

Wypadł ze snu, tego drugiego, poczuł, że się spocił jak mysz stajenna, szarpnął się znów, teraz skutecznie, i wyrwał ze snu pierwszego.

Był w hotelowym pokoju, przygniótł sobie ręce, przekręciwszy się we śnie na brzuch, majtnął teraz nogami i usiadł na łóżku. Zaczął poruszać rękami, które cholernie mrowiły, i nagle znieruchomiał.

Na korytarzu, chyba dokładnie pod jego drzwiami, ktoś zaśmiał się krótko, a potem powiedziała:

– Nu, to jeszcze się zobaczy. Jesteśmy dwa tygodnie przed terminem. Grafiki pracują na nas!

Tomasz poczuł na karku zimny okład, zaczął majtać rękami na wszystkie strony. Wiedział, że przy tym ich niedowładzie nie otworzy drzwi, a już na pewno nie obezwładni czającego się tam człowieka.

„Nu, tuo si jeszcze zuobaczy?.. Tak mówił SzeF. Ten z Polanicy i ten ze snu!

– Nie bój się! – perorował mężczyzna na korytarzu, nie widząc groteskowego tańca Winklera. – Podtrzymamy drużynę, tylko niech chłopaki coś pokażą, tak? Ja mogę ściągnąć kilku młodych wilków z Armenii, niech będzie konkuren... Co? Czemu ty mi przerywasz? – podniósł głos. Potem rozległ się odgłos uderzenia dłonią w ścianę. – Ja bendy w biurze za piętnaście minut, dogadamy...

Winkler usłyszał kroki, podskoczył do drzwi, ale nie był w stanie przekręcić klucza. Szamotał się z nim pół minuty, potem zaklął szpetnie i zaniechał walki. Mężczyzny na pewno nie było już na korytarzu, a bieganie po hotelu mogło SzeFa tylko spłoszyć. O ile to był on. Zimnokrwisty gangster, poruszający się z wystudiowaną elegancją w towarzystwie dwóch zestawów mięsa do strzelania i dziurawienia dłoni ekspolicjantom i nieudacznym prywatnym detektywom. Winkler odruchowo dotknął blizny na środku dłoni.

Podskoczył do okna i przez gładką firanek wpatrywał się w widoczny skrawek ulicy. Nie widział tam nikogo, ale miał przecież, bo tak sam zaordynował, pokój w głębi budynku i teraz wściekał się na siebie.

Ręce powoli wracały do normy i formy, kłuło jak cholera, ale w tej chwili Winklerowi doskwierało przede wszystkim pytanie, co się właściwie wydarzyło?

Widocznie on tu stał pod drzwiami i pierdolił tą swoją polską mową, a ja to podprogowo przełożyłem na sen? Ale czy to był ten skurwiel, szef Vlka? A jeśli tak – to co on tu robi? Proste – kręci swoje czarne interesy. Ale może to po prostu zwyczajny rosyjski biznesmien z pomysłami na geszefty?

Zaczął rozmasowywać ręce, żeby móc w końcu postużyć się telefonem.

I co – dać znać Maćkowi? Powie, że mam pierdolca albo zwidy... Przyjechałem do nieznanego sobie miasta i pierwsze co, to spotykam starego wroga? Zajob jakiś...

Odzyskał do końca władzę w rękach, poszedł do łazienki, stanął przed lustrem, opłukał twarz i popatrzył sobie uważnie w oczy. Poklepał się po policzkach, posłał odbiciu uśmiech.

Jutro trzeba będzie się udać do Urzędu Miasta i zrobić kipisz w Wydziale Książ Wieczystych. Sprawdzimy Tuli...

Planowanie działań przerwało mu pukanie do drzwi. Rozejrzał się nerwowo po pokoju. Pukanie się powtórzyło.

Winkler podskoczył do łóżka, szarpnął narzutę, nadając jej z grubsza wygląd nieużywanej.

– Proszę! – zawołał w stronę drzwi.

Ktoś posłusznie nacisnął klamkę, Winkler zbeształ się w duchu, wrzasnął „Już-już!” i przekręcił klucz.

Zdziwił się, widząc w progu nie Malickiego, ale mężczyznę o rumianej twarzy, sumiastym wąsie i siwych, gęstych włosach uczesanych z przedziałką. W sumie facet kojarzył się ze Świętym Mikołajem.

Podszedł do Winklera i wyciągnął rękę.

– Mikołaj Sandecki, stryj Rainy.

– Tomasz Winkler. Dzień dobry. Zaskoczył mnie pan. Mieliśmy się spotkać wieczorem w barze na Starogardzkiej. – Ucisnęli sobie dłonie. Winkler wskazał fotel, sam ruszył do dwuosobowej sofy. Usiedli. Obaj sięgnęli do kieszeni po papierosy i jednocześnie roześmiali się krótko i z żalem. – Rozumiem, że chce pan uniknąć afiszowania się z nami, a w hotelu nie mogli założyć pluskiew?

– Dlaczego? Od naszej rozmowy upłynęło dość czasu, nie mówiąc o tym, że mogli od razu przy budowie zabezpieczyć sobie takie opcje. Ja bym obstawił taką, bo tu się ostatnimi laty nie dzieje nic dobrego, nic normalnego. – Rozejrzał się po pokoju, podszedł do miniwieży i włączył ją, po dwóch sekundach odezwała się jakaś muzyczka z popiskującą wokalistką, coś, co zawsze leciało w taksówkach w Warszawie, Petersburgu, Pekinie, Dallas. Podgłośnił.

Winkler zmarszczył czoło.

– Cholernie groźnie to brzmi. Niepokojąco.

Sandecki pokiwał głową.

– Tak. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zwykłą kopertę listową, dość pękata. Postukiwał kantem koperty w kolano i nie wypuszczał jej z ręki, jakby chciał się najpierw upewnić, czy Winkler zasługuje na prezent. – Chłopak zmarł jedenastego lipca dwa lata temu. Pozornie powiesił się w lasku przy Browarze Krosnalińskim, sznur chyba gdzieś znalazł, może w lesie, stary, używany, zawilgocony i zakurzony do tego. Właściwie, według mnie, to sam sznur się zgadza, nic podejrzanego, ale już znalezienie w lesie takiej dwunastometrowej buchtę? Każdy by zabrał do domu, Polak gospodarny jest i łasy na takie prezenta, no ale kij z tym!

– Przepraszam, ale mógłbym zawołać kolegę, może...

– Panie Tomaszu, załatwmy to szybko i zmywam się. Bo... – zawahał się i wrócił do relacji. – Sznur, jak mówię, chyba przypadkowy. To już wygląda głupio, no bo co: szedł sobie nocą po lasku, potknął się o zbuchtowaną linę i pomyślał: „A co, może bym się powiesił?” – Prychnął przez nos i wzruszył ramionami. – Owszem, był nawet pieniek, na który denat wszedł. – Pokazał palcami cudzysłów. Winkler zastanawiał się dwie sekundy, czego dotyczy: pieńka, denata, wejścia? – Ma pan tu kopie najważniejszych dokumentów, mniej istotne pokaże panu komendant Brzezina. O ile pokaże. Ale może się zdarzyć, że otrzyma pan zaskakujący *gift*, nie ode mnie, więc nie mam pewności. – Widząc, że Winkler zamierza sprecyzować informację, pomachał przecząco-stopująco kopertą. – Proszę poczekać i tak nic więcej nie powiem. Tylko tyle: to chore miasto. Zdruzgotane, zmięte przez przestępczość zorganizowaną. Skorumpowane do cna, przeżarte łapownictwem, snuje się po nim od lat robactwo z drogi dwadzieścia dwa. – Odnotował zbliżenie brwi Winklera. – Tak! Droga dwadzieścia dwa, z Kaliningradu, a na dodatek z ŁEL-u. Łotwy, Estonii, Litwy – sprecyzował. – Same oficjalne tylko obroty bankowe powinny zastanowić kogo trzeba, że coś

tu jest nie tak. Oficjalnie! A inne? Niemal zero przemysłu, trochę turystyki, ale nie na taką skalę. Tylko że pewnie oni też mają tu konta – dokończył z goryczą. – W każdym razie, zrobienie tego nieboraka to mizerna betka. Może pan uważać, że ten sznur i to, że dzieciak nie miał powodu – to za mało, ale dla mnie wystarczy. Na dodatek przez chwilę byłem blisko tej sprawy i już sama atmosfera powinna wystarczyć do wszczęcia bardzo wnikliwego postępowania. Ale nie wszczęto. – Położył kopertę na stoliku. – Dla mnie jest tu bagno, jest tu szambo, jest zgnilizna i grozą wieje. Tyle. – Plasnął dłońmi w kolana, jakby zamierzał poderwać się i wyjść. – A w ramach wymiany usług prosiłbym o info, dlaczego wrocławska policja zbłądziła pod te strzechy?

– My mamy też bardzo wątłe podstawy do spenetrowania... Zginął zadżgany nożem chłopak z Siechnic. Przyjaźnił się z waszym wisielcem. Z Siechnic też...

– Przyjechał Marcin Jankiewicz – wskoczył mu w słowo Sandecki.

– Tak jest. Na dodatek zabity we Wrocławiu chłopak miał w mieszkaniu pocztówki z Krosnalina, takie standardowe do bólu kartki z kilkoma tak zwanymi miętymi słowami. Wie pan: jezioro, Tulibor, czapla, woda... No i, w sumie, jak pobierałem te wszystkie wątłe pajęcze nitki, to się okazało, że większość z nich prowadzi tutaj. To jak miałem nie przyjechać?

Milczeli obaj chwilę.

– A najważniejsze pytanie: nawet jeśli Krosnalin jest polskim siedliskiem zła, jakimś cholernym Las Vegas, to co mógł nawyczyniać osiemnastoletni Marcin z Siechnic, że go tu zamordowano? – rzucił Winkler, patrząc w okno, w nadziei, że zobaczy na ulicy cholernego rosyjskiego gada.

– Zgoda, to jedno z ważniejszych pytań. Ale odpowiedź może być wstrząsająca i niezrozumiała. Bandyctwo, jak się gdzieś rozsiądzie, to się rządzi swoimi prawami. Może chłopak uśmiechnął się do jakiejś laluni, może nie ustąpił miejsca w kinie czy kolejce po hamburgierzy? Niech pan zerknie, ale z daleka, na taki lokal, Ricco, tam nikt normalny nie wejdzie. A jak wejdzie, to normalnie nie wyjdzie. Chodzą słuchy, że tam się w ogóle nie płaci za nic. Jak w prawdziwym komunizmie: każdemu wedle potrzeb i chęci, a podatki dla Urzędu Skarbowego są brane z sufitu. Tylko niech to panów nie skusi! – Ostrzegawczo podniósł palec i potrząsnął nim lekko.

Wstał i odetchnął głąboko.

– Jestem bardzo, ale to bardzo zadowolony z waszego przyjazdu i trzymam kciuki za powodzenie. Niech mi pan wierzy, ciężko się żyje normalnemu gliniarzowi w takiej okolicy. Przymierzamy się z żoną do zakupu jakiegoś domu nieco oddalonego od Krosnalina. W sumie powinienem był dawno się wynieść i tak się ustawić: pijany rowerzysta, spalony stóg siana, wybita szyba w Żabce... Tym bym się zajmował, a nie ciągle wkurwiony, bo bezsilny, niepewny, kto bierze, a kto jest za uczciwy i za głupi...

Prawie splunął, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Mocno uściśnął dłoń Winklera.

– Do widzenia. Staram się wierzyć, że w lepszych okolicznościach.

Trochę mało wiary w tym pożegnaniu, pomyślał Tomasz.

Sandecki wyszedł. Tomasz podszedł do okna, minęło kilka minut, a Sandecki nie pojawiał się na widocznym skrawku ulicy. Pewnie i tak wyszedł przez parking. Winkler wzruszył ramionami. Wrócił do stolika, zgarnął kopertę, wystukał numer do Malickiego.

– Słucha?

– Jesteś gdzieś w pobliżu?

– No tak, w barze hotelowym. Piwo Krosnalin daje radę!

– Dobra, to już schodzę.

Schowwał kopertę do kieszeni bluzy, tej, jak mawiała Roma, „dobrze ukieszeniowanej”, sprawdził, czy ma telefon, a smartfon natychmiast odwdzieczył się sygnałem od lwy.

No tak, miała dzwonić dawno temu.

– Hej?

– Cześć. Jak się pewnie domyśliłeś, to ja. Czy może się nie domyśliłeś?

– To ty? No wiesz?! W życiu...

– Fajnie. No to mam ci coś do przekazania. Sam jesteś?

– Tak, właśnie się wybierałem do Malickiego, czeka na mnie w barze, a nie wie, że miałem zaskakującą wizytę emerytowanego gliny, stryja... – Uprzytomnił sobie, że jeśli Sandecki nie przesadzał z tym przestępczym opętaniem miasta, to za chwilę podłoży ogromną świnię Mikołajowi. – Nieważne, podała mi kilka interesujących faktów, szedłem się podzielić z Maciejem.

– A ze mną?

– Z tobą podzielę się troszkę później, dobrze?

Zastanawiała się chwilę.

– Dobrze... – powiedziała po chwili. – A ja mogę?

– Oczywiście! – *Przecież nie założyli nam podsłuchu, do licha!* Szybko wyszedł z pokoju, sprawdził drzwi i pomaszzerował do palarni pod oknem na końcu korytarza. Nawet jeśli jakieś mikrofony na korytarzu zbierały dźwięki z głośnika smartfona, to jednostajny i wystarczająco głośny szum wentylatorów na pewno blokował podsłuch. – Mów.

– Myśmy z Romcią pojechały do Siechnic... – Dała mu pięć sekund na reakcję, ale Winkler, pamiętając o hipotetycznym podsłuchu, przemilczał całą pauzę. – Rozmawialiśmy z rodzicami Marcina. Normalni, załamani śmiercią jedynaka ludzie. Ona chyba uderzyła w kieliszek, on nie radzi sobie ani z jej rieszlingami, ani ze swoimi uczuciami. Jest najeżony i oczekuje od losu kolejnego ataku, nie zdaje sobie sprawy, że jak czegoś nie zrobi, nie wyrwie ich z tego dołu rozpaczy, to doczeka się kolejnego kopniaka od losu.

– Rozumiem...

– Chłopak nie miał powodu do odbierania sobie życia. Rodzice powtarzali jak mantrę, że był wierzący, a to wyklucza taki czyn.

– A to... ozdabianie kościoła? – zapytał ostrożnie Winkler.

– Słucham?

Zrobił konchę z dłoni i powtórzył:

– Ozdobił z Sebą kościół. Dlaczego?

– A tak! Rodzice wiedzą tylko, że był na wycieczce do kilku sanktuariów, zaraz ci powiem... Wieruszów, Licheń, Gietrzwałd, Święta Lipka... Wrócił jakiś nieswój, nienormalny, tak powiedział ojciec. Marcin pytania ucinął i to bardzo niegrzecznie, nie jak zwykle. Z Sebą wymalowali na murach teksty, z których wynikało, że proboszcz Bychała ma jakieś tyły u tych chłopaków. Proboszcz po jakimś czasie sam się usunął czy został usunięty, zniknął w Polsce. Na wszelki wypadek poszukam go, tak?

– Dobrze, pewnie. Tak.

– No i jeszcze przepytaliśmy tę ich kumpelę – Julkę. Według niej Bychała to zbok podglądający małe dziewczuszki i naciągacz. Niezły majątek z tacy zbił, a co nasuwa się samo: nie żyje dwóch chłopców, którzy mu uprzykrzyli fajne życie, prawdaż?

Nieźle tam działają te moje Aniołki Charliego!

Rozśmieszyla go ta myśl, prychnął do mikrofonu.

– Ha... halo? Co jest? Tomek?

– Ja... chę... pomyślałem sobie o was „Aniołki Charliego” i mnie to...

W słuchawce rozległ się serdeczny śmiech Romy, do której dołączyła Iwa. Tomasz też pozwolił sobie na pół minuty chichotu.

– Ale już dobrze! – usłyszał Romę. Smartfon leżał widocznie na stole, psy, zaniepokojone śmiechem swoich opiekunek, szczeknęły po dwa–trzy razy. – Tomaszku? Nie wiem, po co ci to mówię, ale jak to mawiał Kwiczol: co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem. Marcin został na tej wycieczce skrzywdzony! Zgadzasz się?

– Bezapelacyjnie. Doszło do jakiegoś ekscesu, a jakiego – nie musimy sobie mówić. Chłopaka wykorzystali, może nawet nie tak dosłownie, wystarczy, że ktoś chciał czegoś, czego on się od sługi bożego nie spodziewał. Nie musiał to być gwałt, wystarczy, że mu złamali kręgosłup moralny i zostawili bez tego odzienia, w którym żył przez kilkanaście lat.

– Bardzo słusznie! Tak jest! – rzuciła energicznie Roma.

– Tak, też tak uważamy – dołączyła do niej Iwa. – Obracaliśmy tę rozmowę przez całą drogę do domu i w domu... Nic innego nam nie wychodzi.

– I nie może wyjść. To pewne. – *I kto wie, czy nie ciągnęło się to za chłopakiem do czasu, aż znalazła się lina, a co potem – jeszcze nie wiadomo. Tylko dlaczego w Krosnalinie? No fakt, jest po drodze nad morze, ale powiedział, że nie jedzie sam. Gdzie ci towarzysze podróży. Kłamał? Może, inaczej rodzice stawaliby okoniem. A czy...*

– Tomasz? Jesteś tam? – spytała Roma.

– Tak-tak, tylko myślę... Czy coś wiadomo o tych kolegach, z którymi jakoby miał jechać nad morze? Czym jechać? Pociągiem? Samochodem? A! Najważniejsze: jak to się zgrało w czasie? Od wyjazd...

– Jedenaście dni! – wypaliła Roma. – Policzyliśmy. Co ty myślisz, że dostały ci się jakieś wybrakowane Aniołki?

Winkler ośupiał.

– No to gdzie on był te jedenaście dni? Zrobił sobie pieszą pielgrzymkę do Krosnalina?

– A myślisz, że to wykluczone? – wróciła do rozmowy Iwa. – To nie jest takie nierealne. Chłopak jest wierzący, od zawsze wie, jak żyć, po co i dla kogo. Nagle to się wali, nieważne jak i dlaczego. Wali się. On się wyrzywa z tego, w czym tkwił przez osiemnaście lat życia. Ale! Może nagle odczuć straszliwy dyskomfort z powodu swojej „zdrady”, czuje się winny, że zerwał z kościołem. Może przepracowuje to i wychodzi mu, że winien jest jeden proboszcz Bychała, może inny ksiądz? I myśli sobie: nie jestem godzien! Kto mi pozwolił tak osądzać całą Kościół? Karą i zadośćuczynieniem ma być piesza wędrówka choćby do sanktuarium w Gietrzwałdzie.

Zamilkła. Winkler przetwarzał jej słowa i widział oczyma duszy, jak Roma i Iwa bezgłośnie wymieniają spojrzenia. Ale jakie – pytające? Aprobujące? Niespokojne?

– Nie powiem, żeby nie kiwał w tym momencie głową – wyjaśnił. Kątem oka zauważył ruch na korytarzu. Odwrócił się, zobaczył maszerującego ku niemu Malickiego. Inspektor szedł z rozłożonymi szeroko ramionami.

Kurczę, jak papież. Czy po prostu po tej rozmowie wszystko będzie mi się kojarzyło z Kościołem?

– No co jest? – zapytał Malicki, nie ukrywając irytacji. – Musiałem zostawić piwo na stole, boby nam miejsce zabrali, i nie wiem, czy ktoś nam z zemsty nie napluje do szklanek.

Winkler uniośł rękę z telefonem.

– Zaraz kończę... Halo? Przyszedł Maciej, zły, że musi na mnie czekać. – Położył palec na wargach, Malicki opuścił ręce i zmarszczywszy czoło, oddał się analizie sytuacji: on czeka

w barze, przy stoliku, a kompan na korytarzu, pod wyciągiem, pod którym zapomniał zapalić? W co się gra? – Halo? No to co macie jeszcze?

– Niewiele – przejęła stery konwersacji Roma. – Ale gdy zapytałam ją, tę Julkę, czy była dziewczyną Rafała, to rzuciła jakąś taką kunsztowną aluzją i odjechała. – Głośnik przez chwilę milczał. – I co ty na to?

– Najprostsze, ale może złudne skojarzenie, to takie, że Rafała nie interesowały dziewczyny.

– No! Tak i nam wyszło. – Starszy z Aniołków triumfalnie klasnął. – Czyli pochwała?

– I miła odmiana, nie? – zakpiła Iwa.

Postanowił nie podważać paznokciem strupa, za świeży.

– Przed frontem plutonu! – zapewnił je. Zerknął na bliskiego wybuchu Malickiego. – Dziewczyny, zadzwonię później, pójdę na spacer i zadzwonię. Pa!

Rozłączył się i pokazał Malickiemu windę.

W barze zamówili świeże piwa i wyszli na taras, a potem zeszli na parking i tam zapalili, co miało wytłumaczyć, dlaczego nie piją starego piwa przy stoliku.

Winkler streścił rozmowę z Sandeckim. Malicki dziwnie spokojnie wchłonął informacje i zgodził się, że muszą potem oddać się do jakiegoś ustronnego miejsca, gdzie będą mogli zapoznać się z przekazaną dokumentacją. Zgodził się też, że powinni poharcować w Wydziale Ksiąg Wieczystych, może dlatego bez oporu, że Winkler nie przyznał się, co zainspirowało go do takiego działania. Ale nie musiał, Maciek też uważał, że dobrze by było wiedzieć, kto trzyma łapę na Tuliborze, a może i kto wyłożył kasę na to przedsięwzięcie.

Potem chwilę trawili informacje o przestępczym profilu spokojnego na pozór miasteczka.

– Potwierdzam, że ruch drogowy jest podobno piekielny – powiedział Malicki. – Barman powiedział, że w nocy nie da się przejść na drugą stronę ulicy, jeśli nie ma sygnalizacji świetlnej. Jest tu obwodnica, ale i tak część ruchu wali przez miasto. Na szczęście wszyscy to wiedzą, więc światła na noc nie są wyłączone. Całodobowo działa kupa firm przed Krosnalinem i za Krosnalinem – rozładunek, przeładunek, a wiadomo, co to oznacza. Rzuciłem okiem na mapy, ładnie się nazywają: Szlachetna Cerkiew, Garłówko, Chojnarze, Bychnowy. I hotele, parkingi, burdele – do wyboru!

– No to ładnie. I my dwaj przeciwko skorodowanej miejscinie?

– Ta.

Malicki zaciągnął się widowiskowo: dym wypłynął mu z ust do nosa, dopiero potem trafił do płuc.

– Na razie odłóżmy to Rio Bravo, moja babcia z Iwą rozmawiały z rodzicami Marcina. Niewiele nowego, chłopak bardzo religijny, nie powinien skończyć w cementarnych chaszczach. – Winkler streścił wnioski z siechnickiego dochodzenia i zaciągnął się, ale zwyczajnie, bez filmowych sztuczek. – Wracamy do piwa?

– Yhy...

Malicki zgasił niedopałek na podeszwie adidasa, ale niósł go kilka metrów i dopiero nad kratką ściekową pozbył się peta, i jeszcze poprawił butem, żeby spadł, bo kiep zatrzymał się złośliwie na prętach. Rzucił znaczące spojrzenie na Winklera. Tomasz zrozumiał, że Malicki pokazuje mu: „Jesteśmy na wrażej ziemi, nie zostawiamy niczego, co oni mogliby wykorzystać na naszą niekorzyść, na przykład podrzucić pety w okolice jakiegoś denata albo okradzonego kantoru”. Tomasz zaciągnął się szybko i też wrzucił skończonego fajka w kanalizację.

Miejscowe piwo rzeczywiście spełniało pokładane w nim nadzieje. Pociągnęli tęgie łyki. Maciej otarł usta i pochylił się do Winklera:

- Tak sobie wyobrażam, o ile ten Mikołaj nie jest jakimś arcykonfabulatorem, że do naczelnego browarmistrza przychodzą niegrzeczni chłopcy i mówią: „Jeśli piwo nie będzie dobre, to zmusimy odpowiedzialnych za to do wypicia całej tygodniowej produkcji, a fiuty owiniemy drutem kolczastym!”

- Zaczynij ty pisać kryminały albo przynajmniej podsuwaj dialogi komuś piszącemu.

- Kryminał to ja mam na co dzień w robocie. Pisać mogę erotyki.

Udało mu się rozśmieszyć Winklera. Ucieszył się.

- Ten uśmiech będzie cię kosztował następną kolejkę. Jak mają jakieś inne piwo, to weź, byle nie pszeniczne czy marcowe z miodowym!

Winkler dopił swoje, poczekał na Malickiego, chwycił oba pokale i zaniósł do baru.

- To samo – zaordynował.

Gdyby mi ktoś dwa lata temu powiedział, że z Malickim będę piwo pił i heheszkował...

Park Tysiąclecia nie irytował nadmiarem ławek, ale nieliczni lokalsi, a były to w większości matki z dziećmi, zmierzały do zbiorników wodnych i pomnika Piotra Dunina, kimkolwiek był. Malicki z Winklerem zeszli z alejki i rozsiedli się pod drzewami. Winkler wyjął kopertę i papierosy, zapalił, rzucił zapalniczkę Maciejowi. Ten zapalił i chwycił za komórkę.

– Cześć, to ja, twój słodki sen... – powiedział do słuchawki. – No, tam jesteśmy, za Bydgoszczą, dojazd do Wrocławia co najmniej cztery godziny, nie musisz się spieszyć ze sprzątaniami... – Popatrzył na Winklera i nie puścił oka. Zapatrzył się w niebo, potem zwałił na plecy. – Nie, nic niezwykłego, bieżączka. Tak, nie sam, dać ci ją do telefonu? Ma bardzo miły głos... No tak, idiota, a co myślałaś, że zmadrzeję przez ten jeden dzień bez ciebie? Proces detoksykacji jest długotrwa... Ojej, przepraszam! Jutro wracamy... Ja też, cześć!

Przewrócił się na bok, ziewnął. Winkler popatrzył na niego zdumiony.

– Jutro?

– No co? Statystyki głoszą, że mężczyźni, którzy wracają z delegacji punktualnie, są dwa razy rzadziej zdradzani niż ci, co wracają dwa dni wcześniej! – Wyciągnął rękę i sięgnął do teczek, chwycił pierwszą z góry kartkę i zaczął czytać, ale zaraz odłożył. – Pieprzona rozmowa, minutowa, a humor spieprzony na dwanaście godzin.

Tomasz uniósł brwi, posyłając mimicznego mema o treści: „Cóż, bywa, jakoś się upakuje...”, ale Malicki nie przejął się ani memem, ani jego treścią.

– Moje życie, bracie...

Bracie? Byliśmy wrogami, do niedawna nieprzyjaciółmi, a od kilku dni jesteście kolegami z pracy. Przechodzimy do silniejszego zacieśniania więzów? Macius ma coś na celu, czy to szczerze?

Malicki kontynuował:

– ...moje życie przypomina jako żywo i jako zdechło tubkę pasty do zębów: najpierw gdzie nie naciśniesz, wypływa dobro, im bardziej zużyta, tym więcej trzeba się namęczyć, żeby uzyskać jakiś pożytek z tubki. I kiedy się wydaje, że tubka już jest do wyrzucenia – okazuje się, że w końcówce jest jeszcze od cholery pasty. I czyścisz nią zęby, i czyścisz, i czyścisz, i ciągle nie możesz kupić nowej, bo po co? Dokładnie tak jak ze mną: tryskałem sobą, energią, zapałem, nawet rozumem, gdzie tylko się dało, a teraz? Żeby coś ze mnie wyszło, musisz dusić i dusić, i w końcu coś wydusisz, ale to może być końcówka, a może wcale nie. Nikt nie wie. Ja też nie. Moja żona tęskni za Maciusiem, jakiego poznała dwadzieścia lat temu. A córka unika mojego spojrzenia, ostatni raz widziałem jej wzrok jakieś cztery lata temu. Przez WhatsAppa. Tylko Django kocha bezwarunkowo.

Może za dobrze wcieliłeś się w swoje policyjne role – omal nie palnął Winkler, ale od razu zrozumiał, że gdyby się źle wcielił, to pewnie portret Malickiego wisiłby w Izbie Pamięci. Zresztą Maciej nie czekał na jego opinię czy rady, chwycił znowu tę samą pierwszą stronę i oddał się jej studiowaniu. Albo symulacji studiowania.

Tomasz popatrzył na swoją pierwszą stronę, to był wykaz dokumentów, przeleciał go pobieźnie, zabrał się za ciekawsze informacje.

Emerytowany i niepokodzony z szambem w policji Sandecki, przewidując potrzebę, chociaż nie wiadomo na jakiej podstawie, dopadł kiedyś teczkę sprawy Marcina Jankiewicza i zrobił ksero z jej zawartości, a na spisie treści ołówkiem wykreślił kilka nieistotnych protokołów, opatrząc komentarzami: „zezn. portiera browaru – gównu widział, spał”, „kier. taxi, nie wiadomo, po co zeznaw.”, „robotnicy drogowi x 2 – gównu widzieli, po co? zwyczajny wypełniacz teczki”, „kelner – co miał, kurwa, widzieć, jak był między salą a kuchnią???”

Przeglądał kartki spokojnie, nie było tu nic ciekawego, poza protokołem z sekcji. Marcin zjadł dwa posiłki w niewielkim odstępie, jakby na zapas albo został poczęstowany. Organizm nie wykazywał spożycia alkoholu ani innych środków odurzających. Miał dwa stare otarcia skóry, na prawym łokciu i prawym kolanie. Konkluzja – upadł na szorstką powierzchnię typu asfalt. Złamana krawędź paznokcia palca serdecznego lewej ręki, pod paznokciem brak materiału obcego pochodzenia, pod innymi paznokciami również. Paznokcie zaniedbane, częściowo obgryzione. Na głowie nad lewym uchem guz, powstały po kontakcie z twardą powierzchnią, guz czysty. Na szyi pod żuchwą również z lewej strony dość głębokie zadrapanie. Zdaniem lekarza uderzył głową o pień drzewa lub nisko rosnący konar podczas ostatniej przechadzki od ulicy Igły na wysokości Browaru Krosnalin przez lasek między ulicą Igły i Zakładami Mięsnymi.

Śmierć nastąpiła wskutek uciśnięcia tętnic szyjnych z kręgowymi. Denat wypróżnił się po zgonie, a ten nastąpił po uszkodzeniu rdzenia kręgowego w wyniku działania ciężaru ciała, siedemdziesiąt osiem kilogramów. Pod pniem drzewa leżący na ziemi kawałek pnia. Denat przerzucił sznur przez gałąź zlokalizowaną na wysokości trzy metry dwadzieścia centymetrów i owinał go na pniu, następnie wszedł na pniak, nałożył pętlę i zsunął się z pniaka.

Bez słowa podał kartkę z obdukcją Malickiemu i poprawił oparcie, palił, nie wyjmując papierosa z ust, z zamkniętymi oczami. Myślał, myślał i myślał, że będzie to trwało długo, ale usłyszał szelest trawy z prawej strony. Otworzył oczy i odwrócił głowę.

Zbliżali się do nich dwaj policjanci, posterunkowy i starszy posterunkowy. Młodszy stopniem zasalutował tak niedbale, że można było w ogóle nie traktować tego jak salutowanie.

– Dzień dobrrry – powiedział, przeciągając głoski i patrząc w niebo. Może nie w niebo – w horyzont. Bezczelny policyjny luz. – Panowie okażą dokumenty.

Starszy posterunkowy odsunął się lekko, jakby chciał mieć więcej przestrzeni do wyjęcia broni lub zamachnięcia się pałką.

– Po co? – zapytał Malicki, odkładając dwie kartki na kupkę. – Lub: dlaczego?

– Nie robimy niczego zabronionego, nie pijemy alkoholu, po trawnikach wolno chodzić – wsparł go Winkler.

– Dokumenty proszę! – Policjant cofnął głowę jak kobra przed uderzeniem, przycisnął brodę do korpusu, oczy rozbłyły mu gniewnie.

Malicki podniósł się bez pośpiechu, ale z gracją. Zrobił dwa kroki w kierunku policjantów, ujął się pod boki, odchylając poły bluzy. Policjanci wytrzeszczyli gały, widząc kaburę z ciemnozielonej skóry.

– Wypieerrrrdalać, chujki! – wycedził Malicki. – Co wam słońce na puste dekle uderzyło? Potrzebujecie dychy na piwko? – Popatrzył na identyfikatory. – Roślik i Męczyński – przeczynał na głos i zerknął na Winklera. Ten skinął głową na znak, że zapamiętał. – Spadać!

Krawężniki odwróciły się synchronicznie jak na paradzie i energicznie ruszyły przed siebie.

– Widziałeś? – zapytał Maciej, patrząc na ich plecy. – Nawet nie chcieli blach, dam głowę, twoją oczywiście, że nawet im przez myśl nie przeszło, że jesteśmy z Firmy, tylko z innej paki! Gnoje... Bandziorów boją się bardziej niż pożaru w fabryce amunicji!

– Sandecki rzekł – skwitował Winkler.

Malicki wrócił na swoje legowisko. Pozbierał kartki, postukał, wyrównał i włożył do koperty.

– Coś cię zastanowiło? – zapytał, wracając do tematu.

– Brak kory i drzazg w guzie na głowie. Jak mógł walnąć o drzewo i nie zebrać materiału drzewnego?

– W punkt! – Wprawiona w wirowy ruch koperta przeleciała trzy metry i została przechwycona przez Winklera. – Założę się też, że nikt nie sprawdził skaleczenia na szyi.

– Ze mną się nie założysz. Ja też czytałem o takim maskowaniu śladu po ułkuciu.

Malicki westchnął i popatrzył na Winklera.

– Co tak sapiesz? Powiedz, że chcesz fajkę.

– No, chcę.

Zapalili. Winkler sprawdził, czy nie podkrada się do nich od tyłu jakiś zdemoralizowany patrol, i położył się na plecach z camelem w ustach.

– Patrz, kurde, jak żeśmy zdryfowali – rzucił Maciej. – Zaczęliśmy wyjaśniać jedno zabójstwo, a podsunęło nam się inne. – Winkler milczał, czekając na ciąg dalszy, bo się nań zanościło. – A w sumie, kto wie, czy nie znaleźliśmy się na jednym polu, może z cienką miedzą?

– Maciek, co cię tak na poezję znosi? – zapytał Tomasz, nie otwierając oczu.

– Chciałem do twojego poziomu, panie magistrze, dociągnąć jakoś.

– Nie ma po co – burknął Winkler. – Nic ciekawego na tym poziomie.

Milczeli chwilę.

– To jaki nam się rysuje plan działania na jutro? – usłyszał po chwili.

– Na pewno komenda miejska, urząd miasta... – Nie widział za bardzo innego punktu do zrealizowania. – A teraz drugie piwo, bo po jednym cholernie chce mi się spać.

– Co ty? Serio?

– No. Kiedyś... kiedyś wzięłem na spacer z Kropką puszkę i zasnąłem po niej na łące. Od tego momentu albo piję dwa, albo wcale.

Usłyszał stęknęcie Malickiego, zrozumiał, że Maciek podnosi się z trawnika.

– Walimy na drugie? Właściwie trzecie?

Otworzył oczy, Malicki pochylał się nad nim i wyciągał rękę, żeby pomóc mu wstać. Winkler błyskawicznie rozważył za i przeciw i wyszło mu, że katalog dowcipów Macieja chyba nie obejmuje wywracania uzbrojonych funkcjonariuszy. Podał mu dłoń.

– Może gdzieś w mieście? – zaproponował Tomek, otrzepując spodnie. – Najlepiej jakaś mordernia, w której nie opłaca się zakładać monitoringu. – Malicki zgodnie pokiwał głową.

– Mam jakieś takie... głupie, ale silne wrażenie, że coś mi wisi nad plecami i jak gołąb zaraz nasra na głowę. Taka franca, że jak się odwracam, to nikogo nie ma...

Ruszył w kierunku alejki, Malicki zebrał ich niedopałki i po chwili do niego dołączył.

– Co, jasna dupa, mają wspólnego dwaj oazowi młodzieńcy z opanowanym przez jakąś mafię, w domyśle chyba wschodnią, miastem? – rozważał dalej Winkler.

– Mafia wschodnia, bo trasa z Kaliningradu?

– *Kanieszno!*

– No to nie damy rady. – Malicki pokręcił głową. Nagle się roześmiał. Przy najbliższym śmietniku wyrzucił pety, otrzepał ręce i chichotał dalej. – Ja przez rosyjski omal nie

wyleciałem z AWF-u. Nic nie kumam.

– Weźmiemy Romę na tłumacza.

Malicki wybuchnął jeszcze głośniejszym rechotem.

– Kurrwwa... Nie mogę. Z policjantami dwoma działa babcia Roma!

Winkler nie wytrzymał i też parsknął.

Zbliżał się do ulicy, Malicki zobaczył z prawej jakieś stado parasoli, pokazał je palcem Winklerowi, ten skinął głową. Pod parasolem, w ulicznym gwarze mogli rozmawiać bez obaw.

Przeszli w milczeniu dwieście metrów, a gdy do baru Ostro Witka zostało już kilka kroków, Maciej zapytał:

– A może do tego Ricco?

Winkler pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się to dobrym pomysłem na dziś.

Malicki, choć dzień był ciepły, a nawet upalny, zapiął bluzę. Winkler rozumiał, że robi to, by przypadkiem nie rozchyliły się poły i nie odsłoniły pistoletu na lewym biodrze. Zapiął też swoją. W tłumie rozgrzanych miłośników piwa byli jedynymi w zapiętych bluzach, nie było nawet nikogo w rozpiętej. Gdy usiedli przy fartowni wolnym stoliku, na dodatek w cieniu, Winkler pociągnął Malickiego i zapytał:

– Z jakiegoś szczególnego powodu... – ściszył głos do szmeru – ...nosisz broń na lewym biodrze?

– Lepiej mi się wyciąga z kabury – powiedział równie cicho Maciek. – Poza tym na prawym... Wiesz, że z walthera dość łatwo wypada magazynek?

– No, niby wiem, ale jeszcze mi nie wypadł.

– Jeszcze się zdarzył! – obiecał mu Malicki. – Mi z prawej strony wypadł dwa razy, uznałem, że trzeci raz może być decydujący, i przeniosłem na lewą stronę. – Wchłonął połowę kuffla. – Teraz czuję się pewniej.

– Od dawna?

– Co „od dawna”?

– Od kiedy nosisz po lewej? Pytam, bo może też przełożę.

– Od przedwczoraj.

Winkler uniósł ręce, wzywając niebiosy na świadka albo wykonawcę wyroku. Ale powstrzymał się, wypił kilka łyków piwa. Unikał kpiącego wzroku Malickiego. Po drugiej stronie ulicy na frontonie willi z tak małymi oknami, że mogłaby służyć za więzienie, safandułowata para mocowała baner: „BankNowość dla Ciebie!”. Baner odcepiął się z haków, a przy byle powiewie dostojnie falował i opadał na krzewy pod ścianą budynku. Za każdym razem odsłaniał przy tym obsceniczne tagi, napisy i graffiti, część miejskiego skrzeku protestujących totalnie przeciwko.

Sandecki powiedział, że z powodu przepływających przez miasto pieniędzy, nawet jeśli to tylko część kryminalnego obrotu, banki mają tu ogromne preroby.

– Poszedłem przedwczoraj na strzelnicę – powiedział i zdziwił się, że to mówi, ale było już za późno. – Pogadałem chwilę z Danielem, facetem z obsługi, były gliniarz. Pokazał mi to i owo i zaproponował, po kilku seriach, żebym sprawdził, jak się będzie strzelało bez przygotowania. Położył walthera w moim boksie, uruchomił stoper, „Start!”. Ja, głupi, złapałem spluwę, wałę, pach-pach-pach, a ten nagle zaczyna się drzeć na całe gardło: „Idą, Tomek, idą! Strzelaj, wał, Tomek!”. Mało się nie zlałem w portki i oczywiście cztery pociski poszły!

– Ha, znam go. Z War Zone?

– Tak.

– Wszystkim to robi. Ale mi się podoba, daje do myślenia.

– Zgoda. Mnie dało. Muszę zostawić tam trochę kasy. Ile jest teraz obowiązkowych strzelań?

Malicki popatrzył na Winklera z politowaniem, podnosząc kufel do ust. Prychnięcie przez nos zburzyło powierzchnię trunku.

– Strzelania? Nie wiem, czy jedno było. Limity i cięcia. Ja w tym roku już dwa razy przynosiłem swój papier do drukarki, mniej nerwów i zmitrężonego czasu w Carrefourze niż w naszym zaopatrzeniu. – Stuknął swoim kuflem w kufel partnera. – Na szczęście wiem, że nie przyszedłeś do Firmy dla kasy...

W kieszeni Winklera rozbrzmiał motyw z serialu *Pohamuj entuzjizm*, pompatyczno-drwiący, hałaśliwy, radosny, cyrkowo-głupawy. Wyjął smartfona i popatrzył na ekran, numer nieznany – lekko irytujące, ale też intrygujące.

Włączył głośnik i delikatnie położył komórkę na blacie.

– Słucham?

– Po pierwsze, proszę wyłączyć głośnik. Za dużo słyszę i za dużo ludzi może mnie słyszeć. – Głos był niski, fałszowany albo niezbyt skutecznym programem, albo przy pomocy słoika. Ale był. Winkler stuknął w głośnik i przyłożył smarciaka do ucha. Ustawił na ukos w stosunku do głowy i pochylił się do Malickiego. – Teraz dobrze – usłyszał. – Proszę pana, ja noszę się z pewnym sekretem już dwa lata, mogę się z panem podzielić, może panu się uda coś z tym zrobić, ale warunek: ja panu opowiem, co wiem, i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. To coś, co pana powinno zainteresować, tak twierdzi pewien mój miejscowy znajomy.

– Sądzę, że ten znajomy ma rację. Jestem zainteresowany. Proszę tylko powiedzieć, jak możemy się spotkać, bo przecież nie przez telefon?

– Nie. Za godzinę dokładnie proszę być na ulicy Okrężnej, zjedzie pan z niej w kierunku liceum ogólnokształcącego, ścieżka wiedzie wzdłuż stadionu. Tam pana powitam. Do zobaczenia.

Rozłączył się.

– Kurwa, znowu stadion? – zapytał Malicki. – Co to, podziemna organizacja kibolska?

Winkler wykrzywił usta, demonstrując niewiedzę.

Starając się nie okazać podniecenia, wypili po drugim piwie, rzucili kilka przychylnych ocen, ale telefon i zapowiedź spotkania podbiły trochę tętno.

– Idziemy? – zapytał Winkler po kwadransie.

Przez Park Tysiąclecia i wybrukowany kilkoma rodzajami płyt i kostek Stary Rynek dotarli do Okrężnej. Sprawdzili czas, Malicki zapalił i został na ulicy. Winkler przemaszerował kilkadziesiąt kroków, skręcił w lewo i ruszył deptakiem wzdłuż stadionowego płotu. Po chwili z prawej pojawiły się zadaszenia jakichś pomieszczeń gospodarczych. Zwolnił, miejsce wydało mu się sprzyjać tajnym spotkaniom. I miał rację.

W zasiatkowanym oknie pojawiła się głowa w czarnej kominiarce.

– Jest pan sam? – zagaił mężczyzna.

– Tu tak. Kolega czeka na ulicy.

– Dobrze. To tak: jakoś tak w lipcu, dwa lata temu, w nocy wracałem do domu, jechałem Gdańską i skręcałem w Księcia Witolda. Jak już skręciłem, nagle zrozumiałem, co widziałem, tuż przed skrętem. Stał tam duży ciemny wóz, chyba kombi, z otwartą klapą, i dwaj mężczyźni wkładali do bagażnika... innego. Czerwona koszulka i jasne wytarte dżinsy. Ten był nawalony jak stodoła, w każdym razie nieprzytomny, głowa mu zwisała do ziemi. Oni go

dość bezceremonialnie włożyli czy wrzucili, a ja już straciłem ich z oczu, bo skręciłem. I wie pan, przypominałem sobie, że ten nawalony nie miał jednego buta. Kurwa, nie wiem którego, jeden z daleka widoczny, bo czerwony. I biała skarpetka na drugiej nodze.

Stopie, nie nodze!

– Zapaliłem i zacząłem się bać – ciągnął facet – bo wie pan, ja lubię kryminały, oglądam seriale, programy w telewizji i widziałem policjanta, który powiedział, że jak ofiara wypadku nie ma butów, to zwykle trup! – Mężczyzna podrapał się po głowie, w wełnianej kominiarce musiało być mu upiornie gorąco. – Cały się trząsałem, ale zawróciłem i pojechałem na skrzyżowanie. To była pierwsza w nocy, pusto. Podjechałem, dałem kierunkowskaz w prawo, nie w stronę tego kombi, ale gapiłem się w lewo. A tam już nic nie było! Znaczą nikogo. Ani wozu, ani ludzi. Musieli od razu w Modrzewskiego skręcić albo... nie wiem.

– Ile było metrów od zakrętu do tych ludzi?

– Czy ja wiem?... Sto? Sto dwadzieścia? Ale tam jest dobre światło, jakiś bar czy coś, nawet pomyślałem, że zgarnęli kolegę, który przesadził, ale tak go taszczyli, że nie chciałem być ratowany z opresji w ten sposób.

– Rozumiem.

– Jeszcze pan nie rozumie. Bo to dopiero przygrywka. Rano miejscowe radio podało, że znaleźli w lasu koło Brouaru wisielca, młodziaka, nieznanego, czyli en-en. Dziennikarz powiedział, że miał czerwone polo i modnie poprzecierane jeansy. Dwa dni później w gazecie pojawiło się nawet zdjęcie, twarz, wiadomo, wystraszona, ale polo i portki poznałem. To był, moim zdaniem, ten chłopak. – Mężczyzna przyłożył ręce do uszu i potarł kominiarkę. – Kurwa, swędzi jak piorun! – burknął. – Dobra, kończę i spadam. Opowiedziałem wszystko jednemu znajomemu, a on mi poradził, żebym zapomniał, a przynajmniej kłapaczkę przyknał i nikomu ani słowa. A dzisiaj zadzwonił i powiedział, że przyjechała para glin z województwa i przyda im się moja historia. Więc wyrzuciłem z sumienia ten incydent. Opowiedziałem i spadam.

– Proszę... – Winkler gorączkowo szukał w głowie pytań. Świadek za chwilę zniknie w ciemnej wiacie, a potem na ogrodzonym stadionie i już się nie pojawi, ani na komisariacie, ani tym bardziej na sali sądowej. Nie w Krosnalinie. Należało wyciągnąć z niego, co się dało.
– Ci mężczyźni? Coś o nich?

Mężczyzna pokręcił głową, kominiarka pokazała dwa półprofile.

– Byki, proszę pana. Karki, napompowane bicepsy, ze stu metrów widać było, że kawałek gołej skóry by nie uświadczył. Czerepy wygolone i nawet chyba wytatuowane z tyłu jak, kurwa, numery rejestracyjne z jakiegoś sajens fikszyn!

– A samochód? Jakiś szczegół, numer? Kolor? Ciekawe światła?

Kominiarka znowu poruszyła się w poziomie.

– Obstawiałbym passata. Ciemny, może granat, żadnych specjalnych świateł, wie pan, jak flaga brytyjska, wewnątrz też ciemne... – Milczał chwilę. – Nie, nie było żadnego punktu zaczepienia... Przykro mi.

– Wie pan co? Ma pan mój telefon. Jakby... Albo inaczej: pan się boi, rozumiem. Czego?

– Panie, niech mnie pan nie... – Majtnął głową nieznanemu w kominiarce. – Numer mam, ale niech pan nie liczy na coś więcej, wszystko powiedziałem. Chociaż się, kurwa, boję! – W jego głosie zabrzmiała uraza, miał żal i Winkler przyznał w duchu, że nieładnie postąpił: gość naraża się, działa na jego korzyść, a on mu zarzuca tchórzostwo. Otworzył usta, żeby załagodzić sprawę, użyć jakiejś skutecznej perswazji, ale nie zdążył: – Do widzenia!

Gość zniknął z otworu okna.

– Dziękuję! – zawołał Winkler, ale nie odpowiedziało mu nawet echo, może przesadnie rozgrzane pod blaszanym dachem wiaty.

Tomasz zapalił szybko i ruszył przez trawnik do czekającego gdzieś tam Malickiego. Streszczenie nie zajęło Winklerowi więcej niż trzy minuty.

– Idziemy na to skrzyżowanie? – zaproponował Malicki.

Winkler pokręcił głową.

– Nie, wiesz... Po tych piwach...

– Wiem, mi też się chce! – Malicki się roześmiał. – Ale tam jest, jak mówił, jakaś knajpa?

– Chyba do hotelu bliżej. Jutro się tamtędy przejedziemy. Tak na rzut okiem, co?

– Bez wahania!

Ruszyli w stronę hotelu.

– A znasz taki dowcip, jak dwaj uwaleni goście siedzą w barze i jeden mówi: „Noo, muszę zadzwonić do żony, powiedzieć, gdzie jestem!”. Wyjmuje komórkę, wybiera numer z Ulubionych: „Halo? Kochanie? Gdzie jestem”!

Malicki zerknął na Winklera, żeby zobaczyć, jaki stopień rozśmieszenia osiągnął. Winkler pokręcił głową z dobroliwym uśmiechem: „Co za dzieciak z tego Malickiego!”. Ale po kilku krokach roześmiał się głośno.

– Dobre-e-e... Ch-cha!

Szóstka, tak? Sześć piw to jednak sporo...

Tomasz uznał, że mocne śniadanie powinno zmusić organizm do czegoś innego niż produkowanie kaca. Zaordynował sadzone z czterech – sadzone, bo łatwiej wchodzi – pumpernikiel z maselkiem i miodem, bo cukier i energia, oraz doppio. Po chwili pojawił się Malicki. Nieludzko wesoły i świeży. Winklerowi z trudem udało się zwalić hańdę racjonalnych usprawiedliwień na niecną myśl: „Niedawno skończył. Chwilę temu zaklinował?”

Nie, po prostu ma łeb jak hipopotam. Hipopotama nikt nie widział pijanego!

– Widzę, że obudziło cię chrapanie białych myszy? – zagał Maciej. – Chcesz wsadem załatwić problem?

Odpowiedziała mu kilkusekundowa pantomimika: i tak, i nie, może, dobrze by było, musi się udać...

– Kawę i jakiegoś rogala – zaordynował Malicki kelnerowi. Ten zaczął się tłumaczyć z braku rogali, poszli więc na kompromis: jagodzianka!

Pół godziny później upakowali się do beemy Maćka i ruszyli na Warszawską. Miejscowy komisariat.

– Musieli dla komendy wybrać numer trzynaście? – rzucił Malicki, parkując przed budynkiem w pastelowych barwach, który śmiało mógł grać rolę zaadaptowanego pensjonatu. Wyjął klucz i zacisnął w garści. – Ja jestem dobry policjant, a ty... ty policjant.

Wysiadł pierwszy i pierwszy wkroczył do budynku, od razu zaatakował dyżurnego. Wylegitymował się.

– My do komendanta. Pilne, ważne. Z Wrocławia.

Odsunął się od okienka, dając dyżurnemu swobodę zaanonsowania petentów z Firmy. Zrobił to sprawnie i efektywnie.

– Pokój cztery! – Funkcjonariusz otworzył elektryczny zamek i zagiętym palcem wskazał drogę: prosto i w prawo.

Nie było daleko, a drzwi uchylone zapraszająco.

Chyba że chce widzieć, kto się szwenda bez zajęcia? – pomyślał Malicki i puścił oko do Winklera.

Ten zrozumiał tylko, że Maciej ma dobry humor. Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Dzień dobry, podkomisarz Malicki i aspirant Winkler. – Położył na biurku blachę. Winkler udał, że sięga do kieszeni. Komendant, wysoki jak drugoligowy podkoszowy, poderwał się i przez biurko ucisnął dłoń jednego i drugiego. Ręce miał długie, bez trudu pokonujące szerokość biurka. Do tego sportowy jeź na głowie, szczeciniasty wąż z wydłużonymi końcówkami. Bładoniebieskie oczy, przygaszone albo wypłukane z energii

przez życie. – Mamy zabójstwo we Wrocławiu, panie komendancie. I pewien ślad prowadzący na pański teren.

Brzezina – głośno tabliczka na biurku – sięgnął do węża i pogłaskał palcem jego prawy koniec. Potem tym samym palcem wskazał krzesła.

– A ten ślad to co? – zapytał.

O ile imponował wzrostem, to głosem już zupełnie nie. Niby nie dyszkan, ale blisko. Winkler pomyślał, że już rozumie, dlaczego komendant nie witał się, nie zapraszał do siadania – komendantowi nie podobał się jego własny głos i jeśli nie musiał, nie korzystał z niego.

– Dwa lata temu mieliście tu żyrandola. Marcin Jankiewicz. Powiesił się w jakimś lasku.

Brzezina chwilę się zastanawiał. Jego umiejętności aktorskie były tak niskie, jak wysoki był jego głos. W miejscowości takiej jak Krosnalin, w powiatowym mieście, samobójca w lesie zdarzał się nie za często. *Po co on udaje, że szuka w pamięci niezwykłego i rzadkiego denata? Potrzebuje sztachet do obrony?*

– No był taki, tak. Jeśli pamiętam, to uciekł z domu i wędrował nad morze. A tu, u nas, coś mu do końca odbiło. – Niespodziewanie rozłożył ręce jak opat wzywający zakonników na oficjum brewiarzowe. – W nocy – dokończył nader skondensowaną relację.

– Tak. No, trochę wiemy... – zaczął Malicki, ale Winkler, przypomniawszy sobie opinie Sandeckiego o stróżach prawa, włączył się nagle do rozmowy:

– Nie uciekł z domu. Poinformował rodziców, że jedzie nad morze, to się zgadza. Religijny bardzo chłopak. Rodzice wykluczają samobójstwo.

Malicki błyskawicznie sięgnął do umysłu kolegi:

– Mamy zabójstwo, które łatwo połączyć z tym samobójstwem, i to wydaje nam się za dużo: zabójstwo i samobójstwo związane z jednym człowiekiem – Marcinem Jankiewiczem.

Brzezina drgnął, jakby czknął bezgłośnie. Coś to znaczyło, ale Winkler odłożył na później analizę jego zachowania, zaczynało być ciekawie tu i teraz. Komendant uśmiechnął się krótko i krzywo, gwałtownie cofnął głowę, jakby chciał zarechotać, ale w ostatniej chwili pojął, że to niestosowne, i stłumił niewczesną wesołość. Zaprezentował wszystkie książkowe przykłady mowy ciała kłamcy.

– Sekta? – zapytał. – Grupa ćpunów?

– A co, naćpany był? – wystartował Winkler.

Komendant zaczął buszować w myślach i robił to bardzo nieudolnie. Zrozumiał, że pleść byle co nie ma sensu, koledzy przyjechali aż z Wrocławia, nie wrócą po miłej krótkiej rozmowie, można się wpieprzyć w jakąś szambonadę...

– Kurczę... Nie pamiętam.

– Aleteczka nam pomoże! – ucieszył się Malicki. Popatrzył na Winklera radośnie: „Komendant zaraz da nam papiery i tam wszystko będzie!” – My sobie przez godzinkę poczytamy i przestaniemy dupę, za przeproszeniem, zawracać.

Winkler również radośnie pokiwał głową.

Brzezina nagle eksplodował jazgotliwym, skrzekliwym śmiechem.

– Godzinkę? Tam są cztery papierki na krzyż!

– Na krzyż? – podchwycił Malicki. – To się panu udało: denatowi to i na krzyż! – Znowu poszukał wsparcia u Winklera i ten mu to wsparcie dał.

Może przesadzili, bo Brzezina nagle przestał się radośnie uśmiechać, obciągnął rękawy marynarki, które miały chyba po półtora metra, i poderwał słuchawkę interkomu.

– Pasolik niech mi przyniesie teczkę tego samobójcy sprzed dwóch lat... – Rozmówca musiał wykazać się głuchotą albo słabym refleksem. – A ilu, kurwa, ich było? Tabun? – zapiął Brzezina. – Do świetlicy, migiem!

Sam udawał, że nie pamięta o samobójcy! Co za zadupie umysłowe i moralne.

Cisnął słuchawkę i od razu nakrył jedną dłoń drugą.

– Już niosą. Zaraz. Moment.

Malicki wykonał promiennego idiotę, Winkler uznał, że nie może w takim układzie odbiegać od scenariusza Macieja, uśmiechnął się też szeroko. Dwa wrocławskie uśmiechy wisiały długo w przestrzeni gabinetu, ale już nie działały na komendanta pozytywnie. Tomasz nagle zrozumiał pantomimę Brzeziny: prawa dłoń mu drżała, dlatego migiem nakrył ją lewą i docisnął do biurka. Po plecach przeleciały dwie czy trzy eskadry kłujących zimnem ciarek. Zachowanie Brzeziny niemal z łoskotem ostrzegało i zapowiadało.

Nie było dobrze.

– To gdzie mamy tę świetlicę, panie komendancie? – zapytał.

Pomyślał, że w serialu Brzezina powinien teraz poderwać się, wyszarpnąć z szuflady glocka i wymierzyć do policjantów z Wrocławia. Których podejrzewał o to, że się maskują, że są kontrolerami, audytorami, łapiduszami!

– Idźcie w drugą stronę – powiedział Brzezina.

We wsi Moskał stoi – pomyślał Malicki. Uśmiechnął się szeroko, wstał i zaszalował niemal serio.

Komendant wykrzeszał z siebie krzywy uśmiech, ale biurko nadal przyciskał dłońmi do podłogi, jakby się bał, że uleci pod sufit.

Winkler wstał i bez żadnych min i gestów, a tym bardziej dźwięków, skierował się do drzwi. Uznał, że atmosfera w gabinecie jest przesycona takim gremialnym fałszem, że wystarczy jeszcze jeden atom czy piksel, by cały gabinet wyleciał w powietrze.

Malicki grzecznie i cicho zamknął drzwi gabinetu, pozostawiając komendanta w bezruchu, jak generał Jaruzelski po zakończeniu słynnego przemówienia. Winkler, przekonany, że Malicki zaraz pokaże wała albo fucka, ostrzegawczo kiwnął palcem na sufit, Maciej przytaknął głową i skierował się w przeciwną do gabinetu stronę. Na końcu korytarza były drzwi na wprost, nieopisane, i po prawej – świetlica.

Weszli, rozejrzeli się, ale nie zdążyli wykipić wystroju: pojawił się trzydziestolatek w błękitnym T-shircie, na lewej piersi pysznił się mały krokodyl. Policjant mruknął coś, co można było uznać za powitanie albo pytanie, gdzie położyć teczkę. Malicki wyciągnął rękę i przejął dokumenty. Goniec natychmiast okręcił się na pięcie i zniknął za drzwiami. Maciej powachlował powietrze teczką, skrzywił się.

– Dużo nam nie zajmie – oszacował.

Winkler wzruszył ramionami, cofnął się i zamknął drzwi.

– Dawaj! – powiedział.

Malicki otworzył teczkę, rzucił okiem na wykaz dokumentów i prychnął przez nos. Popatrzył na Winklera. Ten wyjął samsunga, wyszukał skaner i zaczął po kolei przenosić na smartfona zawartość poszczególnych kartek. Malicki odbierał zdigitalizowane dokumenty i przeglądał je pobieżnie. Cała operacja trwała nie dłużej niż pięć minut, potem zabrali się obaj do dokładnego zapoznawania z treścią akt. Zajęło im to kwadrans, Malicki skończył wcześniej. Dwie minuty później, omijając gabinet komendanta, oddali dokumenty dyżurnemu i wyszli przed budynek.

Zapalili.

– Mogli nam coś podłożyć... – powiedział z zadumą w głosie Winkler.

– Ano, mogli. Tylko czy mieliby co? W takim Zadupcy miu, myślisz, mają składnicę nowoczesnych lokalizatorów?

– W każdym mieście są już sklepy z podsłuchami i innymi szpejami.

– A kto za to zapłaci?

– Ten, co chce wiedzieć więcej i lepiej. A ponieważ wiem, że ty do takich należysz, to zaraz obejrzymy sobie na twoim wyświetlaczu, czy i kto się zbliżał do beemy, prawda? – Winkler uśmiechnął się szeroko.

– Pewnie!

Nie zbliżał się nikt, nikt nie podłożył niczego, nie podczepił na magnesie do karoserii. Wyglądało, że naprawdę takim sprzętem nie dysponowali albo się nie przygotowali, albo informacje struja Kosy były przekłamane.

Wszedli, Winkler znalazł w googlach adres Wydziału Ksiąg Wieczystych i prowadził nawigację. Potem było już gorzej: naczelniczka, odstawiona jak na wesele córki przełożonego, zaparła się i szybko wzniosła wokół siebie mur z przepisów, zakazów i nakazów. Malicki westchnął teatralnie, przewracając oczami, wyjął komórkę i wduśił kilka przycisków. Winkler poczuł wibrację w kieszeni bluzy. Szybko odrzucił połączenie, pozwalając Maciejowi spokojnie rozmawiać z wyłączonym samsungiem.

– Teresa? Sprawdź mi, kto jest komendantem w Bydgoszczy? Tak, poczekam... Aha, i burmistrz Krosnalina?

Winkler pochylił się nad biurkiem i powiedział półgłosem:

– To świetny glina, ma chwyt i nie popuści! Jak on przyciągnie tu ludzi z wojewódzkiej, to będzie się na was mówiło „Wydział Ksiąg Nieczystych”, bo on i koledzy wyciągną tu wszystko, od gospodarki papierem toaletowym do czasu załatwienia sprawy za dwa miliony w porównaniu do sprawy za dwanaście tysięcy. A najgorsze jest chyba to...

Naczelniczka nie chciała wiedzieć. Pomachała rękami, burknęła: „Pokój osiem, już dzwonię!”. Malicki odsunął komórkę od ucha i za plecami kobiety puścił oko do Winklera.

– Piotrowską Zosię dajcie... – Odczekała kilka sekund i powiedziała: – Idą do ciebie dwaj panowie z policji, pomóż im znaleźć to, czego szukają. Dobra, tyle.

Podniosła pełen złości wzrok na Tomasza, na Malickiego już nie popatrzyła.

Kiedy pożegnali się i wyszli, wyjęła z szuflady aerosol i długo odświeżała powietrze w gabinecie. Robiłaby to i dłużej, ale aerosol neutralizująco-odświeżający zacharczał pożegnalnie i wypluł ostatnie krople esencji. Mruknęła pod nosem i cisnęła opakowanie do kubła na śmieci.

– Cześć, Magda.

– Cześć, Maciuha. Co tam?

Siedzieli na murku, a w zasadzie niedokończonym murze czegoś tam na obrzeżu placu z multiplexem. Tędy nie prowadziła żadna komunikacyjna ścieżka, parking, aż za duży, znajdował się o sto metrów dalej.

– Mogę ci streścić werbalnie wizyty na komendzie i w Wydziale Ksiąg Wieczystych.

– Komendę już przejrzałam, łyknęłam też wasze podsumowanie i sugestie. Zgadzam się.

Malicki otworzył szeroko usta i powiedział coś bezgłośnie. Powtórzył i wtedy Winkler załapał: „Wileda”! To była chyba ksywka Borkońskiej, która nie odpuści żadnemu „kotu” pod kanapą i żadnemu truchłu muchy na parapecie.

– W księgach coś wygrzebaliście? – spytała.

– A jak!

– Wysłałem ci skany potwierdzające to, co zaraz opowiemy – uzupełnił Winkler.

– No to słucham.

– Kilka godzin się miętoliłiśmy z papierami, może dałoby się szybciej, ale nie chcieliśmy pomocy tak zwanych miłych pań z urzędu. Mogłyby przekazać komuś nieciekawemu nasze ciekawe spostrzeżenia. Nawet więcej: umyślnie braliśmy sterty teczek zmyłkowych...

– Kurwa, tak dużo, że sam się zmyliłem. – Malicki pochylił się do leżącego między nimi smarciaka i wyrzucił z siebie skargę, którą już cztery razy dzielił się z Winklerem.

– No tak, Maciuha, ty masz umysł na jedną czynność, nie?

Malicki zrobił minę japońskiego demona.

Z głośnika dobiegł ich śmiech Wiledy.

– Szczęśliwie Maciej wziął ze sobą lapka – ciągnął Winkler – pakowaliśmy do niego dane, bardzo zgrabnie wygrzebał nam dziewiętnaście osób występujących w różnych konfiguracjach w zakresie nas interesującym. Szefują jedenastu firmom, w tym naprawdę dużym, a jak naprawdę dużym, wiedzą tylko ich kreatywni księgowi. Te firmy powstały w ciągu ostatnich dwunastu lat, jest kilka, które może mają dłuższy staż i zostały „diskretną” przejęte i zaadaptowane-przystosowane do potrzeb nowych właścicieli. Nie mieliśmy dużo czasu, więc losowo sprawdziliśmy tylko paru tych pierwotnych właścicieli, mają jedną wspólną cechę – rozpułnęli się w powietrzu, a ponieważ krasnoliński atmosfer jest wyjątkowo szambiasty, to sądzimy, że nie rozpułnęli się w nim z przyjemnością. Albo ktoś ich rozpułnął, albo zwiali na Zanzibar.

Zerknął na Malickiego, wyjął papierosy, zapalił dwa, oderwał jeden filtr, podał Malickiemu, ten chwycił go łapczywie i od razu pociągnął ostro.

– I, szefowo... – Malicki wypuścił chmurę dymu. – Widzimy, jak dwanaście lat temu zaczęła się tu chocholi tan: te firmy przeplatają się, wymieniają, wchłaniają i wydalają,

zmieniają nazwy i siedziby. Naprawdę dobrze, że wysłałaś tu swoich najlepszych ludzi, bo inni by się...

– Nie pierdol, tylko gadaj, bo już jestem zaintrygowana!

– Magdo kochana, browar z hurtownią chmielu i wytwórnią wody mineralnej, którą i ty czasem pijasz. Hotele dwa, w jednym z nich mieszkamy. Trzy centra handlowe i coś koło tuzina firm obsługujących TIR-y: garaże, warsztaty, motele z gibaniem na rurze i tak dalej. Bo już skumałaś, że to jest *crème de la crème* tego przedsięwzięcia. Tu się wyładowuje, przeładowuje, plombuje, dodaje banderole, zmienia etykiety, co tylko sobie wymarzysz. I cała fura okolicznych pomagierów, płotki-uklejki, ale przydatne! Masz test: wymyśl coś obrzydliwego, a my ci powiemy, kto się tym tu zajmu...

– Przekupstwo stróżów prawa?

– Magda! Miało być coś obrzydliwego, a nie przedszkolnego!

– Kurwa? Naprawdę? Aż tak?

Winkler strzelił dużym niedopałkiem w bok.

– Niejaki Bogdan Kalinowski...

– Przyrodni brat Seby?

– Tak, właśnie ten. Kalinowski jest w trzech zarządach, a prezesuje tylko w Tuliborze. Przynajmniej oficjalnie. Bo tu niczego nie możemy wykluczyć, nawet bezczelnego fałszowania dokumentów, nie mówię o fakturach, rzecz jasna. – Wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. – Jest też niejaki Roman Malanin, występujący w siedmiu firmach, prezesuje w trzech. Pozostali z tej dziewiętnastki są znacząco mniej ważni, ale bardzo, ale to bardzo potrzebni, niezbędni. Nie mieliśmy czasu sprawdzić ich doszczętnie, możesz to dać Joannie, jednak czterech udało się zinfiltrować, że tak powiem, i co? Żona prokuratora, syn sędziego, żona szefa Urzędu Skarbowego i jego zięć.

– To... to... – Borkońskiej zabrakło słów.

– To się w pale nie wieści, wiem. Ale może mamy za małe pały?

Milczeli chwilę, Winkler nagle zorientował się, że ma kilka sekund, zapalił i łapczywie się zaciągnął.

– I jeszcze jedno, to rzecz, której jestem pewien, ale na teraz dowodów nie mam. Otóż gdy zeszłej zimy biegałem po Polanicy w pogoni za enigmatycznym czeskim biznesmenem, pojawił się tam jeszcze bardziej enigmatyczny biznesmen, ale rosyjski. Naprawdę – kobra przy nim to sznurówka przy węźu strażackim. I uwierz mi – ciarki po plecach, bo słyszałem wczoraj kogoś, kto mówi dokładnie jak ten skurwiel. Wiem, wielu Rosjan ma podobny akcent, ale ten gość śmiertelnie mnie przestraszył, a to coś znaczy...

Zapadła cisza, trzasnęły jakieś drzwi na parkingu. Na ekranie smartfona Malickiego pojawiła się na sekundę ikona Messengera. Głośnik wiernie przekazał westchnienie Borkońskiej.

– Dobra, chłopaki. Macie wolne ręce i – jak widzę – szybkie głowy. Działajcie. Ja się tu rzucę jutro z rana do odpowiednich szarż. Działajcie, ale, Maciek, kurwa, bardzo ostrożnie. Dobrze wiecie, że przez co najmniej kilka godzin będziecie jeszcze sami. A ja was potrzebuję żywych i całych na bankiecie z okazji awansów. Czółko!

Rozłączyła się.

– Piwo?

Magda zdziwiłaby się, gdyby słyszała, że zaproponował to Winkler, nie Malicki, ale ona już działała.

Zamyślony Maciej pokiwał odruchowo głową.

- Ale ja po dwóch spadam do wyra, bo - coś czuję - będziemy mieli jutro kupę głównianej roboty.

- Ta...

- No to zapraszam na kufelek złocistego napoju z miejscowego, tfu!, browaru.

- Ta...

Winkler zrozumiał, że musi odczekać trochę, nie wiadomo ile, żeby partner znowu wszedł na wspólną falę.

Ale tego wieczoru to nie nastąpiło.

Najnudniejsze piwo świata, stwierdził pod prysznicem.

I zasnął tak szybko, że pozazdrościłyby mu okoliczne kamienie.

Wsiedli do wozu, zapalili.

– Pół nocy grzebałem się w papierach – powiedział Malicki. Winkler poczuł ukłucie sumienia, nawet nie ukłucie – chłaiście po duszy: on wygniał pościel, a szaławiła Malicki płał się w dokumentacji, która miała zaprowadzić na ławę oskarżonych wiele prominentnych person. – Podsumowałbym tak: epikryza po kolonoskopii. Potwierdzenie diagnozy, rozległy nowotwór, szans na leczenie zero. Ale trzeba się w tym organizmie babrać. – Malicki zaciągnął się swoim widowiskowym sposobem: usta-nos-płuca, wypuścił dym. – Odpierdolewo stuprocentowe. O czymś takim czytałem w amerykańskich thrillerach, Grishama, na przykład. Ale Polska, myślałem, wsi spokojna, wsi wesoła...

Wyciągnął do stacyjki dłoń z kluczykiem i znieruchomiał.

– Co robimy, gdzie jedziemy, komu wpierdolimy?

– Wiesz co? Jedźmy na Gdańską, tam gdzie ktoś zgarniał ciało, być może ciało Marcina.

– Dobry pomysł. Tu zaraz w lewo zaczyna się Drzymały, która prowadzi do Gdańskiej, po przekroczeniu której... – zapalił silnik, zerknął w lusterko i wyjechał z zatoczki na senną ulicę – ...zmienia się w ulicę, kurna, Księcia Witolda, w którą skręcał twój informator, gdy zobaczył ładowanie ciała do bagażnika. – Winkler milczał, oszołomiony wiedzą Malickiego.

– Okej?

Szybkie spojrzenie Malickiego na Winklera.

– Już. Tyle. Więcej nie wkuwałem.

– Ale plan miasta tak?

– Pewnie. Lubię wiedzieć, dokąd jadę i gdzie jestem. – Znowu szybkie spojrzenie na partnera. – Zaimponowało ci, że odróżniam „gdzie” i „dokąd”?

– Pewnie. Ja nie odróżniam.

– Akurat...

Zbliżali się już do Gdańskiej. Jeszcze chwila i skręcili w prawo. Kilkadziesiąt metrów dalej po lewej stronie ujawnił się Bar Gruziński, a po prawej jakieś narzędzia, warsztat i fryzjer damski.

– Tu stań. – Winkler pokazał palcem zatoczkę na dwa samochody.

Malicki zrealizował pomysł, wyłączył silnik. Wsiedli.

– Ja do fryzjera – powiedział Winkler.

– Cwaniak! Gdzie po plotki i informacje, jak nie tam? – Malicki ruszył z powrotem w stronę skrzyżowania, machnąwszy ręką jak człowiek, który stracił nadzieję.

Tomasz wszedł do zakładu fryzjerskiego, w krainę kwiatowych zapachów i radia nastawionego na Złote Przeboje. Na progu siedziała dziewczyna, mniej więcej dwudziestopięcioletnia. Oparta plecami o ościeżnicę, ze stopami zapartymi w przeciwległą belkę futryny wyglądała jak wmontowana w kadr filmowy. Odłożyła przypominającego archaiczną olejarkę, ogromnego elektronicznego papierosa, właściwie postawiła go

na podłodze, i rzuciła Winklerowi pytające spojrzenie. Specjalizacja damska wykluczała klienta, nie podrywała się więc, bo nie było po co. Tomasz sięgnął po legitymację i zaprezentował ją krótko dziewczynie.

– Dzień dobry, aspirant Winkler, komenda policji Wrocław. – Uprościł nieco formułkę, w zasadzie nie naruszając jej prawdziwości. – Mam pytanie, a może kilka. – Dziewczyna pokiwała głową, sięgnęła po papierosa, zaciągnęła się. – Dwa lata temu, w połowie lipca, dokładnie mówiąc koło jedenastego, widziano tutaj w nocy dwóch mężczyzn, pakujących do samochodu chyba pijanego kolegę. Temu koledze brakowało jednego buta, czerwonego. To było po północy, na pewno nie było pani tutaj, ale czy następnego dnia ktoś pani o tym nie wspominał? Nie widziała pani tu czegoś... niezwykłego?

Kobieta zastanawiała się chwilę, pyknęła z puszki, na moment zanurzyła się w ogromnym oparzu, potem wypuściła długą strugę dymu.

– Bez buta? Czerwonego? A wie pan, że tak?

Winkler zdziwił się tak bardzo, że nie zdołał tego ukryć.

– Dziwi się pan? To było... – Przeszła do siadu po turecku i z godną pozazdroszczenia zręcznością od razu poderwała się na równe nogi. Może miała też salon jogi albo aerobiku? – Pamiętam ten dzień, bo prawie zniszczyłam klientce włosy! – Zassała tyle dymu, że wypuściwszy go z powrotem, na chwilę niemal zniknęła Winklerowi z oczu. – Wie pan, ten trawniczek przed zakładem... Tydzień go robiłam, wygrzebałam starą glinę, nawiozłam dwanaście worów ziemi, posiałam trawę, ubiłam, podlewałam. – Pokręciła głową. – Rano miałam trzy klientki, więc zajęte były oba stanowiska na parkingu. – Wskazała ustnikiem e-papierosa zatoczkę przed zakładem. – A tu wjeżdża jakieś chamisko na trawnik, trawka młoda, dopiero wzeszła, świeżo wysiana, nie zdążyłam jeszcze ogrodzić... No a ten dzban wjeżdża na trawę, wysiada, rozgląda się, jakby kupował działnicę, to wyskoczyłam z mordą do niego, a on spod samochodu klientki wyciąga czerwonego adidasa i idzie do swojego wozu. Ja za nim i wrzeszczę do niej, że jej but z samochodu wypadł, a ten przystanął, popatrzył na mnie tak, że mi zaparło oddech, warknął „policja” i odjechał. – Wrzuciła papierosa do kieszeni i chwyciła się pod boki, ale od razu opuściła ręce, przeszła obok Winklera i wyszła przed zakład, na Gdańską. Wskazała mikry trawniczek obok dwumiejscowej zatoczki. – Jak odzyskałam oddech, wróciłam i pytam klientki, czy na pewno to nie jej, a ona mówi, że ten adidas już był na parkingu, ona go ominęła, żeby nie przejechać i już. A ten policjant jakby specjalnie po niego przyjechał. Ale czy to naprawdę był policjant, to nie wiem, chamowaty mocno. Przepraszam, że tak mówię, ale do policji to ja bym go nie wzięła za żadne skarby świata.

– Pamięta pani, o której to było?

Tomasz miał na końcu języka jakieś ważniejsze pytanie, ale zadał pierwsze lepsze, byle tylko nie tracić kontaktu z kobietą.

– Rano. Dziewiąta z minutami, może w pół do dziesiątej, ledwo co otworzyłam, jedną tylko rozczesalam, druga czekała na swoją kolej, klientki, znaczy. Trzecia też czekała...

– A.... ten adidas? – przypomniał sobie, o co chciał zapytać. – Jak wyglądał?

– Czerwony. Czerwona skóra, chyba z zamszowymi wstawkami i... – Potrząsnęła głową. – Po kolei. To nie był adidas, tylko reebok. Wiem, bo miałam stragan z butami na targowisku, dwa lata. Reebok, wietnamski, taka seria, że można było za cztery dychy kazać sobie dopisać coś na butcie. Imię, na przykład. Oczywiście nie u mnie na straganie, tylko w firmowym sklepie, ludzie się pieklili, bo chcieli mieć „Jurek” czy coś tam, ale posyłałam ich na drzewo, stówę taniej niż w sklepie i napisów się zachciewa?! – Wrzuciła ramionami, jednocześnie kręcąc głową. – Na tym butcie nie wiem, co było, ale coś było, bo to zobaczyłam.

– O cholerka! – wyrwało się Tomaszowi. – No, ma pani oko! I pamięć! Tylko moja babcia ma lepszą!

Dziewczyna zassała pół litra dymu i wypuściła po dwóch sekundach.

– Rozmiaru nie zobaczyłam – powiedziała i puściła oko. – Ale ponad czterdzieści na pewno, obstawiałabym dziewiątkę amerykańską, czyli ósemkę z jukej. Po naszymu czterdzieści dwa.

Zmrużyła oczy i patrzyła uśmiechnięta, z miną: „Tak-tak, panie glino! Panu się wydaje, że jestem odstawioną lalunią, co? Główka, kurwa, pracuje!”

Winkler uśmiechnął się życzliwie.

– Dziękuję.

– Głupi skurwiel rozjechał mi trawnik, który sama skopałam, wygrabiłam, obsiałam, ganiałam gołębie... – powtórzyła zestaw prac ogrodowych – ...a ten fiut zajechał...

– A właśnie – czym?

– Jak czym? Beemą czarną, jak pańska! Nawet zapamiętałam numer, ale to było dawno temu, nie? Na końcu miała dziewięćdziesiąt trzy, to pamiętam.

– Rok urodzenia? – Winkler się roześmiał.

– Szkurna, jaki bystry? – pochwaliła go. – Tak. – Buchnęła dymem niczym naczelna kotłowa w piekło. I jednocześnie zadzwoniła jej komórka. Nie, nie zadzwoniła – rozjazgotała się jakimiś harlemowymi rapowymi rytmami i dźwięcznym basem. Dziewczyna machnęła ręką i pobiegła do wnętrza.

Za budynku obok wyszedł zde gustowany Malicki i ruchem brody zapytał Tomasz o wynik. Zobaczywszy uniesiony kciuk, przekręcił lekko głowę i wysunął dolną wargę: „No, ciekawe”

Wsiedli i włączyli się do ruchu.

– Co masz, Tomasz?

– Następnego dnia po sprzątaniu ciała ktoś rano przyjechał po but i znalazł go. Udawał policjanta albo był wkurwionym policjantem. I teraz najciekawsze... – Wyciągnął samsunga i szybko dopadł pliku ze skanami, przeszukał, powiększył jeden. – Protokół wydania ubrania denata: koszulka polo... spodnie... bielizna... o! para butów sportowych marki Reebok, czerwona skóra, wstawki z czerwonego zamszu, na zewnętrznych bokach wykonane firmowo napisy „Marcin”

Zamknął dokument, folder, wsunął smartfona do kieszeni, wszystko to patrząc na Malickiego, który tylko pokiwał głową.

– Też sobie przypominam: w protokole z miejsca zdarzenia stało jak byk: jeden but marki Reebok czerwony z napisem! Przez te napisy musieli poszukać drugiego buta, żeby przypadkiem nie wypłynął o kilka kilometrów od pierwszego. Kto by uwierzył, że samobójca maszerował przez całe miasto w jednym bucie. A skarpety czyste! – podsumował i wyjął papierosy. Wyciągnął paczkę w stronę Winklera, ten skorzystał, choć nie lubił pall malli.

Malicki zręcznie odgryzł filtr, wypluł przez okno i zapalił. Zobaczył kątem oka, że Winkler przygląda się jego manipulacjom, pokazał fajki i schował.

– Najszczęśliwszy dzień w moim życiu – dwa lata temu znalazłem w tapczanie nieboszczyka wuja jedenaście sztang ekstra mocnych.

– Fuj? Suche, spleśniałe, zakurzone! – Winkler się skrzywił.

– A gówno! W szczelnym worku, prawie rok miałem fantastyczne palenie, ale się skończyło. No i teraz palemale!

Winkler wzruszył brwiami i zapalił papierosa.

– Czarne chmury... – mruknął.

Malicki rzucił mu pytające spojrzenie.

– Się zbierają – uzupełnił Tomasz. – Kalinowski, Tulibor, pocztówki, wisielec, gangi, zdegenerowana policja.

Malicki zaciągnął się i wypuścił kłąb dymu niemal tak samo duży, jak chmura, którą z e-papierosa wypuściła fryzjerka.

– To co robimy?

– Nie wiem, myślę.

– To ja proponuję bar Ricco. Jak dobrze pójdzie, to poszerzymy swoją wiedzę.

Zapadła cisza, przed maską bmw przemknęła para na elektrycznej hulajnodze.

Winkler pomyślał, że już kilka razy usiłował przejechać się na tym wielkomiejskim wynalazku, ale albo coś się działo z aplikacją, albo hulajnoga uszkodzona, albo za dużo ludzi w okolicy, żeby wygłupiać się na gówniarskim sprzęcie. A w końcu, przekonany, że nie będzie to problemem, zainwestował stówę w apkę i przejazdy. Teraz głupio mu było porzucić tę kasę tylko dlatego, że okazał się nieudolnym... boomerem?

– Dobra, jedźmy tam. Ale nie parkuj pod samym barem.

– Okej. Zamaskuję wóz gałęziami.

Tomasz zastanawiał się chwilę.

– Jasne. Przepraszam. Zagaduję jak do instruktora tańca, nie policjanta. Przepraszam.

Malicki wytrzymał i nie zerknął na niego, choć jakieś takie specyficzne napięcie mięśni, zwłaszcza w okolicach oczu, sugerowało, że powstrzymał się wysiłkiem woli i w ostatniej chwili.

– Idzie nam dobrze – powiedział, zamiast patrzeć na partnera. – A jeśli uwzględnić, że nie byliśmy... – Zbliżali się do przejścia, starsza pani, z kraciastym zakupowym wózkiem, bez wahania wkroczyła na pasy, nawet nie patrząc w lewo. Malicki wbił stopę w pedał hamulca, nie było jakiegos specjalnego zagrożenia, ale jego opanowanie zaimponowało Winklerowi. – Kurwa... Trafi na daewoo czy golfa w wieku jej syna, to skosi ten kwiat życia w dwie sekundy. – Sapnął dwa razy. Ruszył. – Co to ja mówiłem?

– Chciałeś mi wyznać...

– Pewnie! – Prowadził chwilę w milczeniu. – Ja, chłopie, jestem siedliskiem opanowania, błyskotliwości i refleksu.

– Roma mówi, że z czasem dysponujemy nie refleksem, tylko refluksem.

– Dobrze mówi...

Zdążyli wypalić swoje papierosy i wyrzucić niedopałki. Zgodnie z instrukcjami GPS-a zjechali w prawo, w Widną, zaparkowali na chodniku przy posesji czekającej na kupca. Od wielu lat, sądząc po wysokości drzew i owocujących już krzewów czarnego bzu.

Pomaszerowali z powrotem, sto metrów, dwa zakręty, zaczęli przemierzać obszerny parking.

– Kurwa, jak to dla bandyterki, to dziękuję! – powiedział Winkler. – Na dwadzieścia fur, jak nic.

– Nawet bym dołożył dziesięć... – mruknął Malicki. – Dla skurwionych gliniarzy.

Budynek był piętrowy i solidny, betonowy.

Może była tu kiedyś jakaś mleczarnia, ma z boku rampę, wcale nie zaniedbaną, w końcu gdzieś trzeba wyładowywać i załadowywać kegi, skrzynki, paki i torby z kasą. Ktoś się, trzeba przyznać, wysadził na adaptację, bo mu pewnie pasowała lokalizacja: w centrum, a na uboczu. I solidny jak Fort Apache! Bez panzerfausta nawet nasze czarne misie nie wbiją na imprezę!

Podeszli do drzwi. Nie było żadnej tabliczki informującej o godzinach otwarcia ani tym bardziej zamknięcia. Tylko pięć czarnych liter nad drzwiami. I to takiej wielkości, że z najbliższej przejezdnej ulicy nie dałoby się odczytać nazwy lokalu. Obok na podjeździe stał wypasiony road king. Maciek aż się obliżał.

- Czyj to motor? – rzucił do Winklera, ciekawy, czy ten załapie dowcip.
- To nie motor, to chopper.
- Czyj to chopper? – ciągnął Malicki, zadowolony, że Tomek podchwycił.
- Zeda.
- Kto to jest Zed?
- Zed zszedł, kochanie, Zed zszedł...

Chwilę później Malicki burknął „Ja prowadzę tango!” i pociągnął drzwi. Weszli do czystego, przewietrzonego i przyzwoicie umeblowanego wnętrza, nie tego oczekiwali, ale nie dali po sobie poznać rozczarowania.

W kącie przy czteroosobowym stoliku siedzieli trójka osobników: dwóch dobrze napakowanych, trzeci albo się lenił na siłce, albo dopiero zaliczał podstawy życia poza granicą prawa. Mieli po pół piwa do wypicia i najwyraźniej nic innego do roboty.

Barman gorliwie pucował pokal, co cztery sekundy trałując wzrokiem szkło na tle jasnego okna. Winkler pomyślał, że gdzieś na zewnątrz peunie jest monitoring, ostrzegający przed mało pożądanymi klientami. A może mieli to w nosie?

Podeszli do baru.

- Ricco, to ty? – rzucił Malicki, opierając się obiema rękami o ladę. – Ty jesteś Ricco? Czyli szef, bo mam...

- Tu psy nic nie mają. Nic nie dostają, nawet... – chuchnięcie w szklankę – ...zaschniętego haftu.

Chuch!

Cztery metry od niego kelnerka, której zawinięte, grube jak zapałki rzęsy plątały się z brwiami, bawiła się telefonem.

- Poproszę książkę życzeń i zażaleń – spokojnie powiedział Malicki. – I dwa piwa... – omiół wzrokiem osiem kranów z metkami piw – ...może ciemne krosnalińskie?

- Lokal zamknięty. Jest renowacja, nie widzisz?

- Dwa piwa, mówię. I gdzie tu jest kibel? – Rozejrzył się. – Chyba że tu szczy się na podłogę?

- Nie ma piwa. Psów nie obsługujemy. Psy to u nas szczą pod drzewkami na zew...

Winkler odbił się od podłogi, podciągnął ciało lewą ręką, chwyciwszy się nią za wewnętrzną krawędź baru, a prawą wystrzelił przed siebie, bezbłędnie trafiając pięścią w nos barmana. Facet runął na podłogę i znieruchomiał. Kelnerka powiedziała „kur...” i zamilkła w pół słowa.

Stolik pod ścianą przeciwnie: rozległy się dwie pełne kurwy i jeszcze coś, a poza tym cała trójka poderwała się z krzesel.

Malicki zagarnął stojącą na barze butelkę piwa i wykonawszy półobrót, z piekielną siłą cisnął nią w stronę trójcy przedpołudniowej. Butelka roztrząsała się nad ich głowami z taką siłą, że ze szkła został ledwie pył, tylko szyjka z kapslem opadła na stół, a piana – na wygolone łby skulonych osiłków.

Kiedy się wyprostowali, zobaczyli dwóch facetów mierzących do nich z identycznych pistoletów.

- Dajcie mi, kurwa, jakiś pretekst, co? Marzę o tym, żeby odstawić kogoś do pierdła. Tego barowego futa nie będę nosił, a wy byście mi pasowali. – Malicki uśmiechnął się

złowieszczo. – Do wyboru: w Bydgoszczy mają świeżo wyremontowany spacerniak, a we Wrocławiu za to większy.

Mołojcy, chwilę temu trzymający ręce na głowach, teraz lekko je wyprostowali. Malicki płynnym ruchem schował walthera do kabury i odwrócił się do baru. Winkler opuścił broń, ale nie chował. On i trójka nieapetycznych gnojków trwali w bezruchu, podczas gdy Maciej podszedł do końca baru, zerknął na nieruchomego barmana i skamieniałą kelnerkę, po czym ruszył wzdłuż kontuaru, podśpiewując i podnosząc kolejne kurki.

– Ricco... – Poszedł w górę kurek krosnalińskiego pszenicznego. Popłynęła jasna spieniona struga.

– Ricco... – Krosnalińskie jasne.

– ...czemu... – Bydgoski full.

– ...dajesz... – Radegast.

– ...im za... – Trzy kolejne: żywiec, żywiec porter, carlsberg.

– ...frik-ko? – Energicznie podbił do góry kurek lecha.

Osiem strumieni piwa, sycząc, mlaszcząc i chlupocząc, spływało na kratki ściekowe, stamtąd częściowo na podłogę, a barman i może jednocześnie właściciel nurzał się w spienionych różnokolorowych nurtach.

Malicki sięgnął po pokal, podstawił pod lecha, nadoił połowę naczynia i wypił.

– Za ciepłe – orzekł i ruszył do drzwi.

Winkler podniósł rękę i poprawił lufą p99 nieistniejący kapelus, schował broń i podążył za partnerem.

Na parkingu skręcili w lewo i niespiesznie, choć czujnie, ruszyli do samochodu. Zza rogu, jakby na spotkanie czy ostrzeżenie, wypadła chmura kurzu, papierów i foliaków w kilku rozmiarach. Gwałtownie ściemniało, ale tylko na kilka sekund. Obaj zerknęli w górę. Zapowiadała się koniec pogodnego lipcowego dnia.

– Wiesz co? – powiedział Winkler tonem zgoła niepytającym, przeczekawszy śmieciowy szturm. – Jak powiedziałeś, że chcesz tu przyjść i się dogadać, to ci nie uwierzyłem, ale przekonafeś mnie: umiesz się dogadywać z ludźmi.

– No.

Skręcili za róg, zwolnili, a potem się zatrzymali. Winkler cofnął się o krok i wyjrzał. Z baru nikt nie wychodził, nie wybiegał i nie wyciekało piwo.

– To co teraz?

– Odjedziemy stąd i złożę Magdzie meldunek. Jest czuła na punkcie etykiety służbowej. A ty się będziesz zastanawiał nad kolejnymi ruchami.

– Dobra. Może przypomnę sobie, z kim jeszcze moglibyśmy tu pogadać?

Malicki zaciągnął się aż do kostek i dobrotliwie szturchnął Winklera w biceps.

– Jeszcze będą z ciebie ludzie – obiecał.

Trochę protekcyjnie.

Jeden z monitorów, ten z lewej, zazwyczaj wyświetlał logo obiektu na przemian z jego najważniejszymi częściami: dwoma apartamentami ExtraLux i Lux, przez załogę i szczęśliwych lokatorów nazywanych odpowiednio Papieskim i Kardynalskim. Kardynalski nosił też tajną ksywkę służbową „Co-Się-Dziwisz”. Poza tym ekran pokazywał kilka innych pokoi, SPA, bilardziarnię, salę kinową, dwie sale telewizyjne, obiekty na zewnątrz: przystań ze stadem skuterów wodnych, łodzi i dwóch katamaranów, rzecz jasna ekologicznych i cichych, elektrycznych.

Tak naprawdę jednak monitor służył do czegoś innego. W razie potrzeby wyświetlał ewangeliarz na trumnie Jana Pawła II, zamknięty definitywnie przez silny wiatr. Było to symboliczne, wzruszające i niespodziewane tak bardzo, że niektórzy widzieli w tym działanie Ducha Świętego.

A gospodarzowi służyło do demonstracji znakomitej piarowej roboty.

– Takich numerów od was wymagam! – mówił po demonstracji, a podwładni rozumieli, że żądany poziom znajduje się wysoko i doskoczyć łatwo nie będzie. Zwłaszcza że nikt nie wiedział, jaka to firma załatwiła tak widowiskowy event.

Dzisiaj monitor z lewej demonstrował wyłącznie zalety Hotelowo-Sakralnego Ośrodka Tulibor, diamentu w koronie Bractwa Kapłańskiego Świętego Stanisława Kostki, wiele lat planowanego, wybudowanego potem z niezwykłą szybkością i mocą, często przez hierarchów tłumaczonych łaską papieską, w najgorszym razie – boską.

Monitor centralny zaś dzielił się na dwadzieścia cztery prostokątne kadry z obiektu. Oczywiście nie było na nim widać pokoi, nie znaczyło to jednak, że po zamknięciu drzwi na klucz i włączeniu zagłuszacza wibroakustycznego, nie dało się zaglądać gościom pod kołdry. Zresztą gospodarz uważał, że w pokojach nie dzieje się nic specjalnie ekscytującego, interesujące były dlań dwie sprawy: personalia i jakość nagrania. Tak żeby główni aktorzy nie mogli się wyprzeć udziału w sesji.

Seksji.

Po prawej na biurku lokował się najczęściej laptop, lekko przerobiony – z zablokowaną kartą sieciową i wyszarpanymi z systemu przeglądarkami, aplikacjami sieciowymi, społecznościowymi. Głuchy i niemy. Zapasiony za to danymi, jakimi żaden inny komputer na świecie nie dysponował. Można je było zgrać wyłącznie przez USB – na dysk zewnętrzny.

I to też nie na każdy, tylko na kilka urządzeń „dedykowanych”. Które znajdowały się nieopodal, co nie znaczy, że na wierzchu.

Trzy komórki, też na biurku. Właściwie – jedna na biurku, dwie na karty w szufladzie.

Właśnie rozbrzęczała się jedna z nich, gospodarz rozpoznał nawet, która dzwoni, nie po wibracji, tylko po lokalizacji w szufladzie. *Ta kurwa z prawej!* – pomyślał.

Nie lubił jej, była to już zresztą czwarta komórka przeznaczona do kontaktu z pewnym numerem. Trzy poprzedniczki kończyły zmiażdżone pięścią albo obcasem.

– Tak? – odezwał się do słuchawki rześkim, pogodnym tonem.

– Witaj, druhu.

A kij ci w ryj, druhu!

– Cześć. Co tam?

– Tam, czyli tu, jest mały problem. Przyjechała do miasta para szeryfów z Wrocławia. Jakoś zastanawiająco trafnie działają.

– Trafnie? Dlaczego? Byli na policji?

Skoro byli na policji, to jak niby mieli działać trafnie? Jakim cudem?

– Na szczęście – tak. Byli. Brzezina oczywiście spuścił ich na drzewo, ale na wszelki wypadek zanotował numery fury. Widziano ich też w parku, raczyli się piwkiem, odwiedzili okolice Baru Gruzińskiego. Wiesz po co, prawda?

Zbył milczeniem oczywistą oczywistość.

– Rozmawiali z fryzjerką. Coś musiała wiedzieć, bo długo gadali.

– Może ją dmuchnęli po prostu?

– Ty głupi taki jesteś? Czy jeszcze głupszy, niż myślę? – wycedził rozmówca.

– Myślę, że nie należy wpadać w panikę z powodu dwóch ambitnych psów, któ...

– Byli też na piwie u Rysia. Trochę się posprzecjali, Rysiovi nos przestawili, rozlało się piwo, kelnerka się posikała... Wszystko na weso... A! Ściana do malowania! Tak więc – jak mówię – na wesoło, ale mi się, kurwa mać, czemuś śmiać nie chce!

– Ja pierdołę! Co to za jedni? Van przyjechał i Damm? Co to za rozpierducha? Może jeszcze burmistrza nam zmienia? – W głosie mówiącego było mało, za mało, wesołości, a sporo niepokoju. – Komu to powierzysz...

– Jadą do ciebie – wyskandował dzwoniący.

– Do mnie? A po chuj?

– Pewnie i tobie chcą ryj porastować? Zgódź się, to tańsze niż operacja plastyczna.

– Nie, no zaraz, spokojnie. Ja się nie boję, ich wizyty się nie boję, ale... – Chciał przytrzymać komórkę barkiem, sięgnąć po papierosa, ale wymsknęła się i spadła z łaskotem na biurko. Szybko poderwał ją i przyłożył do ucha. – ...Chodzi mi o to, że za bardzo im się wszystko układa.

– Tak. Właśnie chciałem ci powiedzieć, że dziwnie ładnie komponują wszystko, ale tobie już się dupa trzęsie, sprzęt z rąk wypada, więc...

– Poczekaj, to nie o mnie chodzi. Raz, że gładko im idzie, za gładko. Pomyślałbym, że mają wtykę, nie sądzisz? – Zrobił pauzę, wykorzystał ją na zapalenie papierosa. Rozmówca cmoknęła. – A po drugie, wiesz, pełna chata u mnie. I to naprawdę pełna. Nie chciałem, żeby spotkali tu kogoś, kto by nie chciał... żeby go spotkali, jak go spotkają... – Zaciągnął się i zatrzymał dym w płucach.

– Więc ich nie wpuszczaj na teren, dumniu!

– A jak mam nie wypuścić glińiarzy?

– Normalnie, nie wpuść, posprzątaj, a potem wpuść jutro albo pojutrze i przeproś. Najwyżej ci wpierdołą albo podadzą do sądu. Przeżyjesz i jedno, i drugie.

– Dobrze, kumam. Coś jeszcze?

– Posłuchaj... – Ton głosu w słuchawce nagle radykalnie się zmienił. Gospodarz skrzywił się, jakby wlał bosą stopą w pokrzywy, a żądny krwi brytan tylko czekał na jakikolwiek sygnał, żeby go zlokalizować i pożreć. – Niech ci się nie wydaje, że jesteś dobrym pasterzem miłych owieczek. Gówna prawda, to nie są owieczki, to brudne wieprze, przy tym leniwe, od zawsze durne i obrzydliwe w swoim brudzie. To nasza kasa została wtopiona

w fundamenty i mury tego burdelu. Nie pozwolimy wam niczego spierdolić w dobrze funkcjonującej maszynie. Rozumiesz?

Na centralnym monitorze w prostokątku pokazującym bramę pojawiło się ciemne bmw z wrocławską rejestracją. Zimny pot zwilżył gospodarzowi cienką koszulkę na plecach.

– Czekaj... – wychrypiał. Odkaslnął. – Muszę kończyć, te chuje właśnie wjeżdżają na podwórko.

Nerwowo przesunął czerwoną słuchawkę, cisnął komórkę do szuflady i wduśli interkom.

– Natalia? Natalia!! Zaraz wejdzie policjant i będzie pytał. Nic nie wiesz, mnie do jutra nie ma, żadnych danych, nie wpuszczać na obiekt. Żądaj papierów z prokuratury, jak nie mają, a nie mają, to won! – Z beemy, zaparkowanej niezbyt elegancko, wysiedli dwaj mężczyźni w podobnych cienkich bluzach, jednemu odwinęła się poła, odstawiając kaburę. Nie było wątpliwości. – Właśnie wchodzą, pamiętaj!

Rozłączył się, nerwowo dopadł myszki, powiększył podgląd recepcji, podgłośnił i widząc, że poprzedni papieros sam wypalił się prawie do filtra, zapalił nowego.

Policjanci podeszli do lady recepcji, Natalia uśmiechnęła się, nieco nerwowo, ale przecież nie wiedzieli, jak wygląda jej służbowy uśmiech.

– Dzień dobry – powiedziała. – Czym mogę służyć?

– Dobry...

– Dzień...

Pokazali legitymacje, jeden zaczął się rozglądać po wnętrzu, drugi pochylił lekko i oparł o ladę.

– Mamy kilka pytań do pana Kalinowskiego.

– Oj, pana dyrektora nie ma. – Podglądający ich mężczyzna z aprobatą pokiwał głową. – Wyjechał służbowo, ale już jutro będzie.

Policjanci wymienili spojrzenia. Nie maskowali przekazu: „Lecą z nami w gumę!”

Jeden spokojnie ruszył w stronę wyjścia na taras, natomiast drugi powiedział:

– Wiemy, że samochód pana dyrektora jest na terenie. Proszę zadzwonić do niego i przekazać mi słuchawkę.

Winkler ruszył w odnogę lobby skąpaną w jasnym słonecznym blasku. Na ścianie lśniła upiornie chromowana tablica z wygrawerowanym napisem wypełnionym złotem. „Złote a skromne” – przypomniał sobie Winkler, zwolnił, a potem się zatrzymał.

„Arcybiskup Waszyngtonu Kardynał Prezbiter Woodrow S. Hollenrich po pobycie w niniejszym ośrodku powiedział: *Król i cały lud przy nim będący przybył wreszcie znużony i tam odpoczął (2 Sm 16, 14). Miejsce to jest Anielską Przystanią dla każdego znużonego i spragnionego, zarówno Monarchy, jak i sług Jego. Wspaniałe powietrze, które pucharami pić można, myśli oczyszczające i motywujące do dalszej pracy z młodymi i starymi. Da Pan i wróć tu jak najchętniej!*”

Winkler pokręcił głową, nie dbając o to, że ktoś może tę recenzję zobaczyć.

Wyszedł na taras i rozejrzał się po soczystej lipcowej zieleni. Na wprost, na tle tafli jeziora stał pomnik Jana Pawła II, umieszczonego na jakimś długim, przypominającym deskę surfingową podeście.

Trochę jakby w konwencji, jezioro, wiatr, fale...

Patrząc w prawo, na północy dostrzegł ciemny mur zieleni nad wodą, na zachodzie – jezioro z wyspą okraszoną kępą niskiej zieleni i jednym uschniętym drzewem w centrum. Pokazywały się tam białe plamy jakichś porostów, ale nagle jedna oderwała się od gałęzi i pofrunęła. Czapla! – zrozumiał Winkler. Przeciągając spojrzeniem dalej w prawo, zobaczył drewniany, gęsty parkan, a za nim infrastrukturę może nie ogródka jordanowskiego, ale ogrodu dla dzieciaków: ogromna trampolina, pajęczyna wysokości drugiego piętra z asekuracyjną siatką nad ziemią. Jeszcze bardziej na prawo z trawnika wyłaniała się wielka antena, do odbioru czy nadawania... czegoś? Winkler wyjął komórkę, zrobił zbliżenie, cyknął fotkę.

Patostreaming? Chyba każdy streaming wymaga dobrych parametrów. Ten talerz raczej je zapewnia?

Jeszcze odruchowo popatrzył na dach, żadnych więcej anten nie było.

Tu aniołki się bawią czy aniołkami się zabawiają? Co, do kurwy biedy? Kto tu spija czyste powietrze? Młodzi alumni, czy jak ich tam zwać, spędzają tu półkolonie? Czy inni skautowie Pana?

Myśl ta wydała mu się tak śmieszna, że prychnął na głos. Młodzieńcy z podkasanymi sutankami wspinają się na liny, pokonują przestrzenie między słupami.

Niektórzy spadają... I od razu przestało być śmiesznie.

Nie kryjąc się, zrobił smarciakiem ostentacyjną panoramę terenu, a potem jeszcze kilka pojedynczych zdjęć parku linowego. Wydawało mu się, że za drzewami może być więcej hecnych detali: grille, wędzarnie, basen, prysznice, altanki? Zrobił krok w lewo, otworzył się widok na przystań, kilka jachtów, nie znał się na tym, ale widział, że miały kabiny, maszty zataczały wolne, łagodne w rysunku koła, obok skutery wodne, całe stadko, zderzały się

lekkie, sielskie. I kilka łódek, cztery z założonymi silnikami. Tu nikt nie obawiał się złodzieja, nie ściągali oprzyrządowania i nie musieli nosić silników do hangaru. Którego w ogóle nie było widać. Idylla.

Za kępy szuwarów, pozostawionych chyba dla wzmocnienia krajobrazowej różnorodności, wypłynął jeszcze jeden skuter, bezgłośnie dopłynął do kei, chłopak zeskoczył na deski, niedbale zaczepił linkę o pachotek i po kilku krokach zwałił się w drewniano-płócienny leżak. Obok niego leżały dwie książki, chyba komórka, mały termobag, zielony, pewnie ze schłodzonym piwem.

Winkler, jeszcze zanim skuter przybił do kei, przesunął się i ustawił za donicą z gęstym słupem tui. Na widok chłopaka serce забиło mu mocniej, sięgnął po komórkę i papierosy. Zapalił, wybrał numer, odczekał.

– Iwuszka, mam prośbę. Muszę sprawdzić, czy młodzieniec, którego obserwuję, to Seba. Możesz do niego zadzwonić i zapytać o cokolwiek, jak się czuje, czy nie potrzebuje wsparcia, co robi. Dobrze? No to już się rozłączam.

Wypuszczał dym w drugą stronę tui, żeby od strony wody nie wydawało się, że roślina dymi i zaraz buchnie płomieniem.

Komórka na pomoście rozdzwoniła się basowo, jakiś dynamiczny riff, dołączyła na kilka uderzeń pobrzmiwająca blachą perkusja. Młodzieniec, już na pewno Sebastian Sejno, sięgnął po smartfona i odebrał.

– No tak?! – Słuchał chwilę. – Nie, dobrze. Serio. No wiesz, na ile można się czuć dobrze, jak ginie twój przyjaciel, w końcu...

Winkler zdusił połówkę papierosa w popielnicze i wrócił do recepcji. Po głowie krążyły mało cenzuralne określenia na zachowanie i obłudę Sebastiana.

Malicki rzucił na niego kontrolne spojrzenie.

– Dyrektor nie odbiera. – Pod poziomem lady wskazał kciukiem recepcjonistkę. – No to będziemy się żegnać. Tylko jeszcze gdzie macie państwo WC? – Rozejrzał się i zanim dziewczyna wymyśliła bajeczkę o remoncie, ruszył korytarzem prowadzącym, jeśli można było wierzyć tabliczce, do toalety.

– Ma pani jakiś folder? – zapytał szybko Winkler. – Widzę, że to duży obiekt, a taki schowany, bez reklamy, nawet na drodze dojazdowej żadnych znaków.

– Mamy... – Zawahała się, ale wyjęła spod lady folder i podała Winklerowi. – To nie jest taki... zwykły hotel... E-ee...

– No jak? – Winkler położył prospekt i przycisnął palec do informacji na tytułowej stronie: „Obiekt Sakralno--Hotelowy Tulibor”. – Hotel czy nie hotel?

– Hotel, ale nie przyjmujemy tu zwykłych gości... ci...

– A jak niezwykłym gościem trzeba być, żeby tu wynająć pokój?

– No trzeba... być gościem bractwa kapłańskiego, proszę pana. – Po słowach „proszę pana” nagle odzyskała kontenans, może uświadomiła sobie, w jaką stronę powinna kierować konwersację: obiekt sakralny, zakonny, kościelny, nie dla cywilów. – To jest hotel bractwa i jako taki służy gościom bractwa. Najczęściej właśnie zakonnikom, którzy też muszą mieć urlopy, księżdom, emerytom...

– Rozumiem. Czyli ja tu bym nie mógł pomieszkać? Z bractwem?

Uśmiechnęła się, sądziła, że przepraszająco, ale tak naprawdę z ulgą: gliniarz zdał sobie sprawę, że za wysokie progi.

Winkler prowokacyjnie wyjął papierosy. Dziewczyna od razu złapała wiatr w żagle.

– Tu nie wolno palić, proszę pana.

– A ja nie palę. Trzymam papierosy. Trzymać też nie wolno?

– Wolno... Tak, wolno.

– No to sobie potrzynam.

Zapytać o Sebę czy zostawić na kiedyś potem? Dobra, zostawimy, przyda się, jak nie będzie o czym gadać...

Z korytarza wyłonił się Malicki, pomachał do Natalii ręką, Winkler skinął głową i ruszył za nim. Po dwóch krokach odwrócił się i rzucił:

– Nie „księdzom”, tylko „księżom”. Tym razem nie poskarżę Bogdanowi, ale przy następnej wizycie oczekuję profesjonalizmu na wyższym poziomie!

Na parkingu beema mrugnęła powitalnie, Malicki energicznie wsiadł, od razu sięgnął do przycisków na kierownicy, włączył radio i dynamicznie wytoczył się z parkingu. Winkler nie rzucał się na niego z pytaniami, ale wiedział już, że zaraz usłyszy coś ciekawego.

Za pierwszym zakrętem Malicki zjechał na pobocze, otworzył okna, odgryzł filtr, wypluł przez okno i zapalił papierosa. Winkler dołączył.

– Pamiętasz, kurwa mać, aferę z tymi wieżowcami w stolicy? Co to miały zarabiać na działalność czołowej naszej partii? – Winkler skrzywił się i wolno pokręcił głową. – Ten numer z jakimś Munhausenem czy jakoś tak. Jego żona, tego Niemca, jakoś jest skoliigacona z szefem. Nie kojarzysz?

– Bardzo słabo...

– Był taki ksiądz Szarkiewicz, członek Rady Fundacji, bez której zgody spółka Diamant nie mogłaby rozpocząć budowy na swoim gumnie w Warszawie dwóch tych osławionych wieżowców. Nie kumasz? – Odpowiedział mu ponowny przeczący ruch głowy partnera. – Ja pierdolę, gdzie ty żyjesz? No to dalej: ten Szwajcar...

– Skąd Szwajcar?

Maciej myślał chwilę.

– Powiedziałem Szwajcar? Niemiec miał być, Niemiec. – W perspektywie szosy pojawił się furgon, przemknął obok nich. – Niemiec pożarł się z szefem i zaczął zeznawać. Między innymi, że dał worek forsę księdzu Szarkiewiczowi, a ten się potem rozplynął, zniknął z miasta i ze skanerów wszystkich mediów.

Wolno odwrócił się do Winklera i czekał.

– I ty go widziałeś w Tuliborze – stwierdził Winkler.

– Yes-yes-yes! Cały, zdrowy, prosecco sączy w cieniu na drugim, wewnętrznym tarasie. – Wykonał swój numer z dymem usta-nos-płuca. – Chłopie! Mamy tu gniazdo szerszeni! – powiedział zdumiony i z niedowierzaniem. – To przechowalnia niewygodnych i niebezpiecznych osobników, których Kościół pozbyć się nie chce lub nie może, ale których nie może też puścić samopłąs, bo narozrabiają. Mają więc tu przytulisko, raj na ziemi, elegancja Francja i dyskrekcja Grecja! Ilu tu się zmieści katabasów? Ze czterdziestu najmniej! Pewnie jak tylko zapada jakiś wyrok, czy to świecki czy kościelny, księżulo migiem dostaje przepustkę z delegacją i ląduje tu albo w innym podobnym obiekcie gdzieś w głuchej Polsce.

– I co dalej?

– I co dalej? – Malicki przygryzł dolną wargę. – Nic, kurwa. Żyją sobie wygodnie, jedzą, piją, w kulki grają. Z nami. A obsługa dzwoni na komendę i posterunkowy przywozi im radiowozem jagodzianki. I nie mam na myśli bułeczek z rabarbarem!

Patrzył w podłogę i zaciągał się tak, że pall mall miał już żar długości trzech centymetrów.

– A widziałeś małpi gaj? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

Tomasz zastanawiał się chwilę, potem zaskoczył.

– Jasne, że tak. – Zapadła znacząca cisza. – Maciek, no nie wkurwiał mnie! Fetor do horyzontu się niesie!

– Ja? Ja tu sprowadzam małeletnie wycieczki? Oazy-pierdazy, Malbork, morze... Rodzice wszystko łykają. Opieka, siostry, proboszcz kochany, organista, studenci seminarium, wikary...

– I wiozą tu dzieciaki?

Malicki cisnął niedopałek za siebie, na asfalt. Popatrzył na Tomasza, zaciskając zęby.

– A co myślałeś? – wycedził. – Dzieciaczki mają fajnie, namioty do spania, jezioro, opiekę, wyżywienie, rozrywki, może nawet nie dochodzi do ostatecznego kurestwa, a tylko chłopaki kryją się za zasłonami i się gapią na hasające aniołeczki, wyobrażają sobie, co się da, i mogą się pobawić, każdy jak umie. Samotrzeć, mawiał mój kolega na takich onanistów.

– Prześciar! Rzygać się chce.

– No myślę!

– Ja pierrrr... – Winkler poprawił kaburę. – Tam w lobby jest tablica pamiątkowa, czaisz? Arcybiskup Waszyngtonu dziękował Panu za ten przybytek, zacytował coś ze Starego Testamentu, że tu król i świta jego odpoczywa prawdziwie i zasłużenie. Nazwał Tulibor Anielską Przystanią!

Maciej wolno pokręcił głową.

– Nie ujdzie skurwielom na sucho, nie ujdzie!

Sięgnął do kieszeni w drzwiach i wyszarpnął wduszoną na siłę puszkę red bulla. Zapach ni to landrynek, ni to sklepu chemicznego wypełnił wnętrze. Malicki wypił, zdławił czkawkę.

– Co robimy? – zapytali jednocześnie.

Malicki pokręcił głową, Winkler prychnął przez nos.

– Szarkiewicz nie jest ścigany – powiedział Maciej. – Nikt kwitu na niego nie wystawi. Dzieci dzisiaj tu nie widziałem, może nie ma, a jakby i były, to jak udowodnić...

– Czekaj! – Tomasz przypomniatł sobie Sebastiana. – Tutaj wypoczywa Sebastian Sejno!

Maciej otworzył szeroko oczy.

– Kurwa, Tomek, co tu się dzieje? Śnię czy jak? Widziałeś go?

– A myślisz, że sobie wyobraziłem? Przypłynął ekologicznym skuterem, rozwalił się w leżaczku na pomoście, piwko schłodzone... Poprosiłem Iwę, żeby zadzwoniła do niego towarzysko, bo myślałem, że mnie wzrok myli. Nie, odebrał, poskarżył się na ogólne samopoczucie po utracie przyjaciela. Dalej już nie słuchałem, bo mi rzyg bulgotał w gardle.

– Ma tu brata... – Maciek potarł brodę. – Ale i tak zapisuję go po lewej stronie notatnika, do znaków zapytania.

– A masz coś po prawej stronie?

– Szarkiewicz? Marcin Jankiewicz? Komendant Policji nadający przestępcom swoich kolegów po fachu. Nas, jakbyś nie skumał! Kutas połamany! Dopadnę mendę!

– Może dajmy znać Magdzie? Choćby w ramach asekuracji. Dzieją się rzeczy ponure, sami tego nie zaszycjemy.

Malicki odwrócił się do kierownicy i włączył silnik.

– A ja, brachu, nie chcę szyć! Chcę przypierdolić komuś tak serdecznie, żeby mózg do dupy mu płynął! Jak ty temu jebańcowi w knajpie. Ja nawet nie trafiłem w tych kmiotów.

– A celowałeś w któregoś? – zdziwił się Winkler. – Myślałem, że ty tak efektownie, w ścianę, żeby piana prysnęła.

– Efektownie to by było, jakby mózg któremuś prysnął. A ja spudłowałem, kurwa mać!

Zerknął w lusterko i łagodnie, bez pisku opon i szurgotu wrócił na asfalt.

- I patrz... - rzucił po chwili. - Jak się zwykły człowiek wyszczy w lesie, to mu wlepią mandat. A jak te gnoje budują nad jeziorem burdel na dwa tysiące metrów - to wszystko wporzo! Praktycznie zagarnęli całą wodę dla siebie, nikt pewnie nie dostanie tu zezwolenia na budowę czegokolwiek! Ani w lesie, ani tym bardziej na brzegu, czyli całe jezioro sakralne się zrobiło, poświęcone, że tak powiem, relaksowi strudzonych pasterzy-pasibrzuchów i przestępczej wierchuszki.

Ruszyli gładkim, po chrześcijańsku położonym asfaltem do drogi będącej właściwie ulicą Lichnowską, gdzie nawierzchnia była łamana tyle razy, że momentami wyglądała jak kładziona kielnią.

Obaj oddychali ciężko, właściwie sapani, rozjuszeni i bezradni. Po trzystu metrach Winkler otworzył usta, chcąc zaproponować postój i złożenie raportu Borkońskiej, gdy zza łagodnego zakrętu wyłonił się ciemny wóz, audi. Samochód przed nimi nagle skręcił, zastawiając drogę, i wyhamował. Jedne i drugie drzwi się otworzyły.

Czas przeskoczył na inny tryb, wolniejszy. Malicki wduśił pedał hamulca, rzucił spojrzenie w lewo i prawo, ale nie było tu miejsca na szybki nawrót. Szarpnął dźwignię, przestawił na wsteczny i wduśił gaz niemal do dechy.

Z audi wyłonił się dwaj faceci, obaj w szarych joggerach, ciasnych koszulkach polo, bejsbolówkach.

Winkler trzasnął w klamrę pasów, odchylił się w lewo, sięgnął do kabury, wyszarpnął walthera.

Podnosząc broń, poczuł, jak z uchwytu wysuwa się magazynek. Wrzasnął w duchu, akurat teraz musiało się ziścić ostrzeżenie Maćka. Pochylił się i zaczął szukać zguby.

Malicki gnał do tyłu, od strony audi rozległ się huk pierwszego wystrzału, niecelnego, potem kilka kolejnych. Winkler kątem oka zobaczył, co się dzieje po lewej, przy kierownicy: Malicki, kierując jedną ręką, drugą sięgnął do swojej kabury, wyszarpnął zapasowy magazynek i wbił go Winklerowi w krocze.

- Masz ten, wal, ile się da!

Winkler migiem wpakował magazynek, otworzył okno, wysunął rękę z waltherem i oddał pięć szybkich strzałów. Nie łudził się, że pociski poszły w cel, więcej nadziei pokładał w tym, że w ogóle otworzył ogień. Wystrzelił jeszcze trzy razy. Teraz zrozumiał, na czym polega przewaga lokowania broni z lewej strony: mógłby lewą ręką wyjąć drugi magazynek, ale mając kaburę po prawej, skręcał się i samemu sobie utrudniał celowanie. W końcu udało mu się znaleźć zapasowy magazynek, wychylił się maksymalnie z okna i wygarnął całą resztę pocisków w stronę audi. Zobaczył, jak pryska plastik lewego reflektora, ale strzelający nie przejęli się zbytnio szkodą. Pasażer stał w rozkroku, lewą nogę wysunął do przodu, był lekko pochylony i oddawał po dwa strzały. Kierowca położył się na masce i strzelał pojedynczo, starannie mierząc.

- Kurwa, Tomek, kamizelki na bagażniku!

Malicki wbił stopę w pedał hamulca, Winkler ułamek sekundy za wcześniej otworzył drzwi, bmw wyrzuciło go na pobocze, na szczęście nie było tu rowu. Poderwał się, pognął do tyłu, wyszarpnął kamizelki i pobiegł z nimi do Malickiego. Wrzucił jedną przez okno, drugą niechlujnie przerzucił przez głowę, oparł się o karoserię i wymienił magazynek. Od razu wywalił w audi pół tuzina kul. Pasażer podskoczył, widocznie pocisk przeorał asfalt gdzieś obok jego stóp, kierowca zaś pochylił się i niemal zniknął Winklerowi z oczu.

Tomek wystrzelił znów, trafił pasażera w nogę nad kolanem. Trafiony wrzasnął, zachwiał się i zwałił na karoserię. Drugi z bandziorów przymierzył się lepiej, Tomasz usłyszał cichy trzask szyby beemy. Przynasnął się do okna, zobaczył, jak Malicki wyćwiczonym ruchem,

jedną ręką trzymając pistolet, zaczepia zamek o kierownicę i gwałtownie pchając broń do przodu, repetuje ją. Od razu potem z okna wysunęła się ręka Malickiego, wciąż ta sama, lewa, Maciek zaczął strzelać dość beładnie, na pewno niecelnie.

– Magazynek szukaj! – usłyszał Winkler.

Obiegł bmw, tyłem, żeby nie wejść w pole ostrzału, znalazł przekłuty zgubiony magazynek na gumowym dywaniku, wykończył zapasowy, włożył nowy. Napastnicy nagle się poderwali, w pośpiechu zapakowali do wozu i korzystając z tego, że droga na zakręcie była szersza, zaczęli zauracać. Pociski Tomasza i Macieja nie sięgały już karoserii ani ludzi. Pasażer oddał jeszcze trzy strzały. Drugi z tej serii trzepnął w kamizelkę Winklera. Ten jęknął i zatoczył się do tyłu, noga podwinęła się, pięta podjechała na szutrze pobocza, zaczął upadać na plecy. Wyjął przez zaciśnięte zęby, wywalił resztę magazynka w stronę oddalającego się audi i huknął tyłem głowy o asfalt. Wydawało mu się, że słyszy, jak szczęknięty zęby i zgrzytnęły obite pociskiem żebra. *Chwila – pomyślał. – Niech złapię dech...*

Niebo w korytarzu drzew wydało mu się ciemne.

Może tracę przytomność? Może ten... pierdzielony keular... nie wytrzymał...

Udało mu się podnieść głowę, popatrzył na szarą taśmę drogi, była pusta, napastnicy odjechali. Wypuścił z ręki pistolet, położył dłoni na kamizelce i zaczął szukać... czegoś... Trafił na wypukłość, nierówną, z nieprzyjemnymi brzegami.

Dobra, dostałem kopa, należał się, kurwa, za noszenie broni z prawej...

Zacerpnął więcej powietrza, drugi raz... Zabolało, ale taki ból nieraz przytrafiał się na treningu, po nieudanej obronie albo przesadzonym ciosie. Po prostu – siniec. Odetchnął jeszcze raz. Przekręcił się na prawy bok, spadek profilu jezdni pomógł, usiadł, pokręcił głową, po czym chwycił walthera i zaczął się podnosić.

– Trafili mnie... – jęknął w stronę samochodu – kamizelka... do dupy... nie bardzo pomogła... Ale żyję...

Stęknąwszy, wstał. Chciał się wyprostować, pomachać rękami, wymienić z Maciejem kilka dowcipnych uwag, może wezwać pomoc, ale gdy pochylił się do okna, napotkał dziwne, bezradne, bolesne spojrzenie Malickiego. Kamizelka leżała na jego piersi, ale po ciemnej płaszczyźnie z napisem POLICJA spływał strumyk gęstej ciemnoczerwonej krwi.

Wcisnął broń w kaburę, pokuśtykał na drugą stronę wozu, przy każdym kroku tępy szpikulec wbijał się w lewe płuco, usiłował nie zwracać na to uwagi, ale po dwóch krokach omal nie zwałił się na glebę. Wczepił się w karoserię, wyłamany paznokieć odezwał się ostrym bólem. Podpierając się i odbijając od blach bagażnika, dopadł w końcu drzwi kierowcy.

Dwa pociski przeszły szkło, jeden tuż nad narożnikiem szyby, jeszcze trzy centymetry i ugrzązłyby w blasze. Ale nie ugrzązł. Kamizelka, której Maciek nie założył, tylko przyłożył do piersi, nie spełniła zadania, bo nie zakryła tego miejsca na ciele. Drugi kilka centymetrów w prawo ugrzązł w kamizelce, jak u Tomasza.

Winkler wrócił do bagażnika, wydobył dygocącymi rękami apteczkę, zębami rozerwał opakowanie gazy, wyszarpnął płat i wrócił do Maćka. Odsłonił mu pierś, wcisnął chustę w miejsce postrzału. Odzyskiwał powoli siły. Rozpiął pas Malickiego, wsunął rękę za plecy, objął partnera i zaczął wyciągać z pojazdu. Po dłuższej szarpaninie, nie mając pewności, że postępuje właściwie, udało mu się ułożyć Macieja na kanapie, przycisnąć jak się dało ranę gazą. Wskoczył za kierownicę i ruszył z dymem opon, prawe drzwi zamknęły się same z hukiem.

Smartfon omal nie wysmyknął się z zakrwawionych palców, utrzymał go i nawet nie zjechał za bardzo z jezdni. Wywołał Borkońską i cisnął samsunga na siedzenie pasażera.

– Magda! Maciej postrzelony! – wrzasnął w stronę leżącego na siedzeniu smartfona. – Jadę z ośrodka Tulibor, jezioro Ostrowickie, do Krosnalina! Wyślij karetkę z Krosnalina. Karetkę, pilnie! Policją się nie przejmuj, nie jestem pewien, czy to nie oni. Tu jest burdel na kółkach, policja to jedno z nich!

– Rozłącz! – krzyknęła Borkońska.

Chwycił telefon i wduśił ikonę rozłączenia. Przesunął lusterko, ale twarzy Malickiego nie zobaczył.

– Maciek! Maciej, kurwa, gadaj! Słyszysz? Gadaj do mnie!

Wiedział, że nieprzytomny Malicki nie może odpowiedzieć, ale łudził się, że nastąpi cud. Że wychrypi: „Zamknij się, dupku... Nie rozwał fury...”

Ale życzenie nie chciało się spełnić.

Dotarł do Lichnowskiej, skręcił w prawo, klaksonem zmuszając nadjeżdżającą toyotę do hamowania.

– Maciej?!

Silnik beemy zawył, mignęła tablica z nazwą Lichnowy, Winkler wduśił klakson i zwalniał go tylko wtedy, gdy przekładał ręce na kierownicę.

Zaraz za tablicą z przekreśloną nazwą, gdy wrzeszczał do partnera, a z prawej przesuwała się jezioro, zobaczył błyskające z naprzeciwka niebieskie światła. Mrugnął kilkanaście razy i zaczął zwalniać. W końcu zjechał na pobocze, wyłączył silnik i wyskoczył z wozu. Szarpnął tylne drzwi, ale od razu zrozumiał, że jeśli już, to trzeba otworzyć te drugie. Obiegł tył wozu i otworzył właściwe. Malicki miał oczy zamknięte i cholernie podkrążone, kałuża krwi przelewała się po kratkach dywanika. Karetka zajechała na tył beemy i zatrzymała się. Trzasnęły drzwi, dwaj ratownicy statecznie i bez palpacji ruszyli długimi krokami w stronę Winklera.

Odsunął się od drzwi i powiedział:

– Postrzał z pistoletu. Kilka minut temu...

Odsunął się jeszcze dalej, zapalił. Oparł się łędźwiami o rozgrzaną maskę wozu. Zobaczył, że całą prawą dłoń ma zabarwioną na czerwono. Przypomniatł sobie, że po bagażniku turlają się dwie butelki mineralnej. Obszedł wóz, zlał dłonie wodą i wytarł w papierową serwetkę z paczki znalezionej w bagażniku. Wytarł też smartfon.

Zadzwoił do Borkońskiej.

– Winkler...

– Co tam masz? Co się dzieje?

– Maćka biorą do karetki, postrzał w lewy szczyt piersi, ponad kamizelką... – Nie precyzował okoliczności, na to przyjdzie czas później, w mniejszym gronie. – Za pół godziny... jak zabiorą Macieja... wszystko przekażę...

– Ile wam zajęło... Ach, kurwa, nieważne, wyślij śmigłowiec albo rozpierdolę tę lotniczą eskadrę. Bądź w hotelu. Zaraz dopadnie cię tam kontroler...

Winkler szarpnął się i niemal odbiegł kilka kroków. W płucach przy każdym ruchu odzywał się ból, jakby jakimś cudem, nie naruszając skóry, w tkance utkwiał grot.

– Kurwa, oni mnie zlinczują, tu policja jest nie wiadomo czy nie gorsza...

– Wiem! – wrzasnęła. – Mówił mi Maciek! Nie jestem, kurwa mać, idiotką! Jedzie kontroler z Bydgoszczy. Zabezpiecz broń, swoją i Maćka, broń cię panie Boże, żebyś wziął do gęby choćby piwo! Do hotelu i czekaj. Jadę do was.

Winkler, nie rozłączając się, bo zrobiła to Borkońska, schował samsunga do kieszeni. Podszedł do drzwi kierowcy, otworzył, znalazł leżącego na podłodze walthera Malickiego, pozbierał magazynki, spakował wszystko do dwóch foliaków znalezionej w skrytce. Nie

miął pojęcia, która klamka jest czyja, które magazynki jego, ale to akurat najmniej go obchodziło.

Malicki znalazł się już na noszach, maska na twarzy, dwie kroplówki, jeden z ratowników uciskał gruchę z powietrzem, nosze powędrowały do karetki. Tomasz poszedł do bagażnika, wyjął jeszcze dwie serwetki, zmoczył resztką wody, wyczyścił kierownicę z naniesionej własnymi rękami krwi Macieja. Nie starał się robić tego dokładnie, i tak fura Malickiego będzie badana, ślady powinny zgadzać się z tym, co on sam i Maciej zrelacjonują. Maciej też.

Maciej też...

Kupił w hotelowym kiosku trzy paczki cameli, połowę pierwszej wypalił przy oknie. Gdy Borkońska walnęła barkiem w drzwi i niemal wysadziła je z zawiasów, wyciągał kolejnego papierosa.

Zanim otworzyła usta, Winkler rzucił:

– Jadę do szpitala!

– Na pewno nie! – Przygryzła wargę, palce zaciskały się w pięści, prostowały, zaciskały. – Jeden pocisk trafił go w kamizelkę, pewnie dlatego się obsunęła, drugi raz... – Potrząsnęła głową. – Dlaczego nie założył?

– Jak? Nie było opcji, oni wypadli zza zakrętu, mieli nadanie na nasz wóz, od razu zaczęli strzelać, a kamizelki przecież były w bagażniku. Mieliśmy chodzić w kamizelkach? Maciek odskoczył na wstecznym, a mi wypadł magazynek...

– Kurwa mać! Ja już trzy razy gubiłam!

– Dostałem magazynek od Malickiego, zacząłem strzelać, Maciej zatrzymał wóz i krzyknął, żebym kamizelki wyjął, pewnie chciał na nich pojechać. Ja pognałem po kamizelki, przerzuciłem swoją przez łeb, jemu podałem przez okno i strzelałem do nich... Potem usłyszałem trzask szyby, włożyłem swój magazyn i trafiłem w ich reflektor, może jednego na nogę, bo jakoś się skulił. Ale Maciek już nie strzelał. Oni wsiedli, wykręcili i zwiaili...

Uswiadomił sobie, że prawa noga dygoce mu jak w parkinsonie, przydusił kolano.

– Pojadę do...

– W szpitalu jest Samolej – przerwała Borkońska – a ty jesteś tu! – Wściekła i na granicy szlachu tupnęła w pokrytą wykładziną podłogę. – Gadaj!

Streścił w kwadrans działania od przyjazdu.

– Musieli nas obserwować od Krosnalina, a z hotelu ktoś powiadomił, że właśnie wyjechaliśmy. – Wstał i przespacerował się po pokoju, prawa noga mrowiła. – Ten Tulibor to Kreml tutejszej gangsterki. Może nawet całej północnej Polski.

– Maciek podawał mi jakieś centra...

– Tak, ale to robocze ośrodki, tam się ładuje, maskuje, przerabia kwity, tam kierowcy wciągają, piją, jedzą, śpią i wyładowują stresy z kurewkami. A tu jest cicha przystań bossów, szampan, cygara i panienki z kawiozem w pępku. Pewnie było tak: Kościół skorzystał z podsuniętej okazji, wszedł w spółkę, zbudował hacjendę i skubie coś tam dla siebie, ale moim zdaniem to na sto procent... – Zatrzymał się. – Czy możesz... może już za późno, ale jakby się dało postawić zaporę na drodze z Tuliboru? Chyba nie przewidzieli pospiesznej ewakuacji i nie ma tam drugiej drogi. – Popatrzył na zegarek. – Może być za późno, ale?

– Tomek, nie wiem... To są przekonujące, ale jednak poszlaki. Zanim dostanę pozwolenie, żeby zrobić nalot na Tulibor, będzie po wszystkim. Poza tym nie wiem, czy mam dość znajomych w Bydgoszczy. Przynajmniej żeby kilku uczciwych psów patrzyło na ryje tych miejscowych.

Milczeli chwilę.

– Siedź w hotelu, mogę cię prosić? – rzuciła w końcu Magda.

– A co mogę zrobić? Nagrali godzinę spowiedzi. Klamkę mi zabrali, krew pobrali, odciski, narobili zdjęć, zabrali blachę. Mam tylko cząki do paznokci i kurewską chęć na szklankę wody.

– No to weź tę szklankę i kładź się. – Okręciła się na palcach i zrobiła krok do drzwi, ale zatrzymała się i odwróciła znowu. – Musisz być nienagannie czysty, bo i tak będą się czepiali twojej roboty w Firmie. – Wyciągnęła do Tomasza palec. – Mogę być pewna, że nie zrobisz niczego, co im pomoże, a nam zaszkodzi?

Pokiwał głową.

– Powiedz to.

– Nic nie zrobię!

Kiwnęła głową i wyszła.

Winkler podszedł do minibarku, odstał chwilę, potem wyjął cztery małe paki z czystymi wódkami i dwie kolorowe. Wszystko wylał do umywalki w łazience, cztery butelki wrzucił do kubła, dwie zostawił na umywalce, obok szklanki, którą opłukał wodą – miała robić za naczynie do popitki. Barek już pewnie zameldował o brakach na półce, doliczono do rachunku...

Wrócił do pokoju, otworzył okno i zapalił.

Nie czekał długo.

Stukanie rozległo się po minucie.

– Serwis, proszę pana, proszę otworzyć.

– Spierdalać! Spierdalać, bo postrzelę!

– Przepraszam, ale w naszych pokojach się nie pali.

– Tak, już się nie pali, zgasilem gaśnicą...

– Ale, proszę pana...

Winkler przeczochnął dłonią włosy, otworzył gwałtownie drzwi i się zachwiał. Chwytał klamkę i podniósł mętne spojrzenie na stojącego metr od progu recepcjonistę.

– Powiedziałem: zgasilem, nie? – syknął. – Jak się was wzywa, to godzinę trzeba czekać, a jak wódeczkę się weźmie, to po minucie już rachunek? – Włożył rękę do kieszeni, udając, że szuka pieniędzy. – Zarass...

– Trunki będą wliczone do rachunku, proszę pa...

– To co mi dupę zauracasz?

Odsunął się chwiejnie i trzasnął drzwiami. Zablokował je, rozejrzał się po pokoju. Żadnej broni tu nie było, nawet ozdobnej szabli na ścianie. Podszedł do okna i wyjrzał. Niebo wyraźnie ściemniało, dwie brzozy na obrzeżu parkingu energicznie trzępały gałęziami. Popatrzył na zegarek: dwadzieścia po czwartej.

Dobra. Cztery godziny światła, diabli wiedzą, ile czekania. Może zadzwonić do Iwy? Bo jak usłyszysz z innego źródła... Akurat – jakiego? A jak się wypowiadam, to nie zasnę tej nocy. Lepiej... lepiej... jak to wymyśliła Szymborska? Lepiej iść do paki, niżli zjeść tu flaki?

Podszedł do torby. Cienka kurtka, od biedy chroniąca przed drutem kolczastym. Multitool z latareczką. Wytrychy. Nóż sprężynowy. Pałka teleskopowa. Wyłączył dźwięk w telefonie.

Wystarczy.

Przyłożył ucho do drzwi.

Zapoznał się z korytarzową ciszą, wyszedł, zamknął za sobą, bez pośpiechu i bez zwłoki dotarł do klatki schodowej, prowadzącej do wyjścia awaryjnego.

Na zewnątrz przy dwóch samochodach kręcili się kierowcy. Winkler podszedł do beemy Malickiego. Bardzo dobrze, w całym zamieszaniu nikt nie zadbał o to, by odprowadzić ją na policyjny parking. Policja w Krosnalinie była pewnie bardziej zajęta zacieraniem śladów korupcji. Wsiadł więc i spokojnie wyprowadził wóz na ulicę.

Kilka minut później zaparkował obok salonu z artykułami budowlanymi, siedział długo chwilię ze wzrokiem w lusterku wstecznym, ale nikt się w nim nie pojawiał.

Dwie dziury w szybie były mało widoczne, ale jednak były. Wysiadł, przechodząc obok maski samochodu, podniósł długi, wąski liść, splunął nań i zakleił nim otwory, docisnął wycieraczką. Zadowolony z rezultatu uszedł do sklepu, stanął przy regale z wzornikiem bejc do drewna, udawał zainteresowanie towarem, ale naprawdę sprawdzał, czy ktoś zainteresuje się bmw na wrocławskiej rejestracji.

Po kilku minutach podszedł do lady, kupił trzy półlitrowe butelki denaturatu, fioletowego, i paczkę sześćdziesięciocentymetrowych trytytek. Po kolejnych pięciu minutach zaparkował przed barem Ricco, w odległym od wejścia kącie parkingu. Lekki deszcz skutecznie zakropił szybę i zamaskował siedzącego przy kierownicy Winklera. Czujnik deszczu nie zdążył uruchomić wycieraczek, dziury po pociskach nadal maskował liść. Wszystko składało się całkiem miło i sprzyjająco.

Przesiedział pięćdziesiąt minut, wpatrując się w drzwi baru i okolicę. Deszcz albo nasilał się i przechodził w ciepłą ulewę, albo siał, w każdym razie ciągle coś z nieba polewało ludzi i ich ziemski dorobek. Tomasz wymknął się z wozu i zamaskowany krzakami głogu i czarnego bzu spokojnie wypalił papierosa. Wrócił do auta i zmusił się do półgodzinnej przerwy, zanim wypalił drugiego. Odliczał pół godziny do następnego, ale zabrakło czterech minut.

Zobaczył zajeżdżającego na parking czarnego mercedesa.

Było ich dwóch, kierowca i pasażer. Gdy tylko wysiedli i ruszyli do wejścia Ricco, Winkler zauważył, że pasażer kuleje. Miał na sobie inne ciuchy, zmienił jogery na takie bez dziur po kulach i plam krwi, ale krzywił gębę wystarczająco wyraźnie i bez wątplenia był tym samym, który na drodze do Tuliboru załapał się na celny strzał Winklera.

No tak, chujki boją się pokiereszowanym audi jeździć...

Tomasz ani drgnął, tylko prawa ręka przesunęła się na fotel obok i dotknęła pałki, okrutnej metalowej broni z kulką na końcu wysuwającego się teleskopu. Oczywiście nie zamierzał w tej chwili opuszczać ciepłego i suchego wnętrza bmw, był pewien, że ci dwaj zostaną w Ricco dłużej, może wypiją kilka shotów, omówią plan działania. Na pewno podłoga została już umyta, ściana odmalowana, a policja powiadomiona, żeby im nie przeszkadzać. Czuli się tu wygodnie i bezpiecznie.

Po kilkunastu minutach dwa zaparkowane na lewo od mercedesa wozy, passat i insignia, wypełniły się rozkrzyżowanymi karkami i odjechały. Tomasz odszukał na konsoli wyłącznik świateł, uruchomił silnik i niemal bezszelestnie podjechał na miejsce postojowe sąsiadujące z mercem. Pałkę trzymał w prawej ręce.

Czas płynął i uderzał w Winklera jak nurt w wystającą z rzeki skałę. Tomasz czuł, że zaczyna tracić ciepłość, zaczyna być zły, zaczyna rozważać wejście do baru i niech się dzieje... Dla uspokojenia policzył samochody, jednaście. W Ricco musiało zatem być co najmniej tylu klientów. Do tego barman, kelner, ktoś jeszcze. Zaciśnął zęby, wytarł prawą dłoń w udo, nie pomogło, mokre palce zacisnęły się na karbowanym uchwycie pałki.

Wraz z upływem czasu z otoczenia wyciekało dzienne światło, deszcz znowu się rozpanoszył i falami przebiegał po parkingu.

Drzwi baru się otworzyły. Wyszli dwaj, bez wątplenia ci z tuliborskiego szlaku.

Winkler migiem wymknął się z wozu i pochylony potruchtął do tyłu, ominął swój bagażnik, bagażnik mercedesa, i jeszcze jeden, też czarny.

Gangsterzy szli wolno, tempo dyktował postrzelony, Winkler widział ich rozmyte sylwetki w skropionych deszczem szybach, kulawy rechotał, jakby już sam nierówny chód wprowadzał go w świetny humor. Tomasz odczekał, aż zamek szczęknął i krótki błysk kierunkowskazów oświetlił najbliższą okolicę. Kierowca otworzył drzwi i wsiadł, ten ranny kicał w wąskim przejściu między samochodami, w końcu złapał za klamkę i zaczął składać się do wsiadania.

Winkler wysunął się zza swojej osłony, zrobił dwa kroki i strzelił pochylającego się gościa pałką w czubek głowy. Kark zwałił się częściowo do samochodu, częściowo gdzieś obok. Dokładnie Tomasz nie widział, był już za bagażnikami, przyczajony, i czekał.

– Co jest, Waldi? – krzyknął kierowca. – Czego, kurwa, leżysz? Wstawaj, pojebie!

Otworzył drzwi i wyskoczył z wozu. Pochylony, jedna ręka zajęta drzwiami, druga chwyciła rynienkę na dachu, żeby mógł szybciej wygramolić się z wnętrza. Winkler zrobił krok naprzód i z przyjemnością poczęstował go pałką, kulka trafiła w wysokie czoło, Tomasz poprawił na wszelki wypadek. A gdy kierowca zwałił się na ziemię, chwycił go za rękę i bezlitośnie przeciągnął po wielkokalibrowym grysie. Złapał gościa za pasek spodni i z wysiłkiem wrzucił na tylną kanapę merca, migiem zacisnął trytytkę na jego kostkach, potem na zawiniętych do tyłu rękach posadził, szarpiąc za ubranie, drąc je i nie przejmując się tym. Powtórzył tę samą operację z pasażerem, z tą różnicą, że usadziwszy go na kanapie, oderwał mu rękawki koszulki polo i duże kawały tkaniny wcisnął jednemu i drugiemu do ust.

Wyskoczył z wozu, zamknął bmw, chwycił reklamówkę z denaturatem i wrócił do bandyckiego mercedesa. Kluczyki leżały na fotelu, kierowca nie zdążył nawet włożyć ich do stacyjki.

Gładko opuścili parking, nikt ich nie gonił, nie zatrzymywał. Trzysta metrów dalej Winkler wypatrzył mały placzyk przy dziko zarośniętym małym gaju. Można tam było wjechać ostrożnie, ale można też było nie dbać o bandycką furę. Winkler wybrał drugi wariant, mercedes szorował podwoziem po garbach i kamieniach, zanim udało się zaparkować tak, że z ulicy był całkowicie niewidoczny.

Winkler wysiadł i rozejrzał się po okolicy. Jakby się ewakuować, to można w prawo od baru, w gęstwinę, na pewno pochlastaną ścieżkami, jakie przez lata wydeptywali w krzakach amatorzy piwa. Można też było do ulicy – wariant kołowy. Znalazł lukę w gęstwinie i popatrzył na tylną ścianę Ricco. Nic ciekawego, dwa małe okratowane okienka, zamknięte. Wrócił do samochodu.

Przesunął oba przednie fotele maksymalnie do przodu, otworzył denaturat i klęcząc na fotelu kierowcy obficie polał obu bandziorem spodnie w kroku. Potem wysiadł i zebrawszy w garść wodę z karoserii, wymierzył jejcom serię plaskaczy. Zaczęli się ruszać. Na wszelki wypadek, a bardziej dla psychologicznego efektu, poświecił obu w oczy ledową latarką, sprzedał po kuksańcu w nos.

Wyjął zapalniczkę i pokazał bandziorem.

– Macie denature na portkach, zaraz zadam kilka pytań, nie za dużo, bo większość odpowiedzi już znam, ale i tak zapytam. Kontrolnie. I oczekuję szybkich i precyzyjnych wyjaśnień. Jeśli nie – podpalę ten denaturat, obiecuję wam, chujki szczerbate... – Błyskawicznie strzelił latarką w pysk kierowcy. – ...szczerbate – powtórzył. – Co, może nie? No więc sytuacja jest taka: wóz zamknięty, nikt nie usłyszy, tylko ja, a ja nie lubię wrzasków i sprzeciwów.

Wychylił się i uderzył, teraz dla odmiany pięścią, w nogę pasażera, tam gdzie powinien mieć opatrunek. Gość wytrzeszczył oczy i ryknął dziko. Winkler uciszył go uderzeniem latarką. Ciągle świeciła.

– Mówiłem, że szczerbate...

Wymacał butelkę, odkręcił kapsel i polał joggera jeńców jeszcze raz.

– Kto wam nadał robotę? Przypominajcie sobie szybko, bo jak już zapalę, to kaplica. Gaśnicę szukać nie będę.

Wyjął papierosy i zakurzył, długą chwilę nie gasił zapalniczki. Spętani jeńcy zaczęli drzeć piętami wykładzinę, usiłowali oddalić się od płomienia.

– Odpowiada jeden, drugi w tym czasie smaży jaja. Który – co?

Popatrzył w oczy kierowcy. Gangus bał się jak cholera, ale miał też w oczach opór, szlaban, którego podnieść nie mógł. Chyba był ważniejszy w tym tandemie, może też widział więcej i płonący denaturat nie był wystarczająco mocnym bodźcem, żeby zmusić go do gadania.

Tomasz walnął jeszcze raz pięścią w udo pasażera, którego udało mu się postrzelić w lesie nad jeziorem.

Bysior zawył i zatrzepotał w trytytkach tak mocno, że Winkler zaczął obawiać się zerwania pęt. Chlusnął z butelki na pierś jeńca i wysiadł. Obszedł wolno samochód, otworzył drzwi, chwycił mężczyznę za nos i przytrzymał chwilę. Facet wygiął się w pałąk, uderzył tyłem głowy w zagłówek, zwiotczał. Winkler wyszarpnął mu knebel z rozbitych ust. Pochylił się i gdy zobaczył, że bandyta wraca do przytomności, zapalił zapalniczkę i płomyk ustawił na wprost jego gęby.

– Czas start. Długo jej trzymać nie mogę, bo mam skurcze.

– Ramon! – wrzasnął pasażer. – Ramon! On cię rozjedzie walcem, skurwysynu!

– Tak-tak, już się kładę. – Tomasz się uśmiechnął. – A Bogdan?

– Co, kurwa, Bogdan? On nie ma nic do gadania. On tylko hotel...

Drugi z jeńców, twardszy, zamyczał i usiłował kopnąć gadatliwego kolesia. Winkler błyskawicznie sięgnął w jego stronę zapalniczką i dotknął nią zwilżonych spirytusem spodni. Wszystko było dobrze wymierzone: płomień zgasł pod wpływem ruchu, ale efekt był piorunujący. Kierowca podskoczył mimo pęt i upadł na bok.

– No i dobrze – skwitował omdlenie Winkler. – Tylko przeszkadza. Czyli co? Bogdan zagadał do Ramona, a ten wysłał was? – Bandyta pokiwał głową. – I?

– Mieliśmy was załatwić, brykę zabrać, trupy do wody, tam jest... – Czknął i zamilkł.

– Co jest? Miejsce na takie pochówki, co?

Bandzior milczał, Winkler uznał, że straszenie zapalniczką nie da już rezultatu, należało przejść do agresywniejszych działań – wyciągnął dłoń i podpalił spodnie bandyty.

Błękitny płomień zapełgał i wolno rozpełzł się od ud do mostka. Nie mogło jeszcze parzyć, ale bandzior już był ugotowany.

– Powiem, kurwa-a-a, powiem! Już gadam, co chcesz... Matko!!!

– Nie mam gaśniczy! Trzeba było mówić wcześniej! – wrzasnął Winkler.

– W bagażniku jest, błagam! Boże-e-e...

– Boże... – mruknął Winkler i ostentacyjnie wolno pomaszerował do bagażnika, wyszarpnął z uchwytu gaśnicę i wrócił do płonącego bandziora, trysnął proszkiem, nie dbając o celowanie. Odstawił gaśnicę. – Morda! – wrzasnął. – Twoje histerie mnie nie interesują! Gdzie znajduję Ramona? Już! Bo kończy mi się cierpliwość i mam dość tego biegania wkoło ciebie. Gadaaj!

- Ja nie wiem, przecież mi nie mówią takich... Nie-e-e! - Zobaczył, że Winkler kręci zdeglustowany głową, podnosi butelkę z fioletowym spirytusem. - Słyszałem w Ricco, że pojechali do hotelu, do Tulibora, prosz...

Winkler odsunął się trochę, przymerzył i kopnął zaszlochane bandytę w biodro.

- Zabójstwo Marcina Jankiewicza, gadaj! - wrzasnął.

- K-k-kogo?!

- Chłopak, którego żeście zabili, a potem upozorowali samobójstwo dwa lata temu. Gadaj, co wiesz!

- Ja... ja nic... ja...

Kopnął jeszcze raz.

- Ja tego nie zrobiłem - skomlał bandzior. - Tylko... tylko słyszałem, że przewozili jakieś zwłoki...

- Skąd?

- Nie wiem... chyba z hotelu... nie wiem naprawdę.

- Gdzie macie kopyta?

- W skrytce, jedno, drugie poszło do ruszni...

- Morda!

Winkler trzasnął drzwiami z całej siły, sprawdził skrytkę. Skurwysyny! Desert eagle, kabura, dwa magazynki zapasowe.

Wystarczy!

Odkręcił kapsel i wymachując butelką, wylał połowę zawartości na bandziorów, jednego nieprzytomnego i drugiego wijącego się w pętach. Ten nieprzytomny, zresztą odzyskiwał właśnie świadomość, może nawet świadomość tego, że o kilka mililitrów śmierdzącego, skażonego bitrekiem i zabarwionego spirytusu minął się ze śmiercią.

Skurwiele, mocni w gębie czterech na jednego, mocni z gnatem na bezbronnego, panowie życia, gdy mają przewagę co najmniej czterokrotną. Ale gdy kończy się przewaga, srają pod siebie jak zające, obszczywają spodnie jak niemowlęta, nie wstydzą się błagać o łaskę i wybaczenie. Tylko co, jutro będą opowiadać, jak walczyli z siedmioma napastnikami, a pojutrze połamią okulary jakiemuś chudzielcowi. A Iwa mnie pyta, dlaczego mimo wszystko chcę być policjantem...

- Kurwa, kurci mnie taka sztuczka, widziałem w jakimś hiszpańskim serialu: ścieżka stąd...

- wykropił ścieżkę od kasety podłokietnika do nogi jednego, potem drugiego bandziora, obaj patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami - ...do palącej się zapalniczki. A potem sobie idę, a wy grzecznie siedzicie i nie ruszacie się, bo jak zapalniczka się przewróci, to wiecie, będzie bolało. Tak jak mojego przyjaciela. Co? Fajnie by się wyrównało: mój przyjaciel i dwóch moich wrogów.

Winkler poczuł, że ogarnia go szal, że starając się zgnoić tę parę straconych dla społeczeństwa kretynów, nakręcił się do maksa i zaraz naprawdę zrealizuje swój pomysł. Wyrwał zza pasa pistolet, przerzucił tak, by trzymać lufę, i trzasnął w kolano bliższego, a potem drugiego bandziora. Ich ryk otrzeźwił go, rozładował napięcie. Cisnął zapalniczkę na podłogę przed fotelem kierowcy. Ta oczywiście zgasała, nie doleciawszy do podłogi, ale obaj królowie życia rozdarli się koszmarnie.

Zamknął drzwi, obszedł trzęsącego się jak podczas jazdy po muldach mercedesa i ruszył po wygniecionych w burzanie śladach opon w stronę ulicy. Nie odwracał głowy, bał się, że nie opanuje chęci natychmiastowej zemsty i wymierzenia sprawiedliwości. Że wróci i naprawdę podpali denaturat.

I odejdzie dopiero wtedy.

Zerknął w ciemne niebo, z którego chlustały niezemskie potoki wody.

Nieziemskie... a jakie mają być? Przecież z nieba, nie z ziemi... Boże, Winkler, co ty pierdolisz? O czym ty myślisz? Ty masz robotę! Zgarnij się do kupy, a jeśli nie czujesz się na siłach, wracaj do hotelu, ale nie uderzaj w filozofię, kurwa... Masz kumpla na OIOM-ie, durniu!

W marszu wyjął samsunga i sprawdził połączenia. Były dwa, od Romy i od Iwy. Napisał ogólnikowego SMS-a: żyję, pracuję, moknę w deszczu. O deszczu z premedytacją, że niby najgorsze, co go tu dotyka, to pieprzona niepogoda.

Ciekawe, czy to łykną? Iwa może, Roma za Chiny. Za długo mnie zna...

Wyszedł na ulicę prowadzącą do Ricco. Dałby wiele, żeby wejść z kopem do baru, wyciągnąć dwa peemy i pociągnąć serią po butelkach, po lampach, po suficie! Zobaczyć, jak królowie życia wałają się na mokre śmierdzące kafle, jak dygocą, jak nerwowo szukają osłony, jak usiłują przepętnać za kolegę, za nogę od krzesa choćby. W swoim policyjnym życiu raz brał udział w nalocie. Przypomnił sobie, jak było mu wstyd za starszych kolegów, którzy kopniakami okutych butów wybijali rzepki, wykręcali ręce przy skuwaniu, umyślnie, żeby bolało, i przydeptywali palce stóp przy najmniejszym domniemanym oporze. Teraz uświadomił sobie, że wobec tych gównien, które siedziały w Ricco, ma ochotę zachować się tak samo... Już nie wierzył w wymiar sprawiedliwości, trochę zdemoralizowany, trochę zobojętniały, trochę leniwy. Mało skuteczny. Całe jego zawodowe doświadczenie podpowiadało, że pouczenie, ostrzeżenie, kara, jedyne atrybuty prawa – są nieskuteczne w przypadku zdemoralizowanych gangusów.

Odetchnął głęboko, wszedł na parking i skierował się do beemy Malickiego, wsiadł, przetaił twarz i sięgnął do zapłonu.

Zanim zdecyduje, co robi, komu i jak, miał jeszcze sprawę do załatwienia.

Ładowisko dla śmigłowców powinno być blisko OIOM-u czy innych izb wrażliwych, rozumował Winkler. Zaparkował tyłem do budynku i długimi krokami pokonawszy hol szpitala, dotarł do recepcji.

– Aspirant Winkler, policja Wrocław – powiedział półgłosem, pochylając się nad blatem. Brwi młodej pielęgniarki zbliżyły się do siebie odrobinę, przekrzywiła głowę. Szykowała się do zademonstrowania, kto tu jest ważny i ważniejszy. – Czy ta młoda policjantka z końskim ogonem jest na korytarzu przed drzwiami? Ktoś jeszcze pilnuje rannego? – Odsunął się od lady i rozejrzał. – Gdzie to jest? Szybko!

Dziewczyzna odruchowo zerknęła w lewo, ale potem otworzyła usta, żeby zabronić wejścia na oddział. Winkler skinął głową, jakby dziękując jej za informację, i ruszył do przeszklonych drzwi z białymi pasami i czerwonymi krzyżami. Był przekonany, że będą zamknięte, ale gdy dzieliły go od nich dwa kroki, rozległ się brzęczyk i szcękniętą zamek.

Za drzwiami znajdował się kolejny blisko sześćdziesięcimetrowy hol. Po lewej pod oknami stały dwa łóżka, jedno wolne, drugie osłonięte parawanem. Na wprost szklana ściana, po prawej – szeroki korytarz. Winkler ruszył w tę stronę i po chwili przekonał się, że wybrał dobrze. Na krześle pod salą siedział mundurowy, na widok Winklera położył rękę na kolbie pistoletu i się wyprostował.

Ciekawe, strzeliłby, bo skorumpowany i chce zrobić kolegom z bandy dobrze, czy zadziwiająco uczciwy?

– Proszę przepuścić! – usłyszał głośny szept.

Za stojakiem z dwoma fartuchami stała Joanna Samolej, obok siedział drugi krawężnik, najmniej z całej trójki przejęty sytuacją. Na ekranie jego smartfona tańczyły jakieś pstro odziane, przy tym jednocześnie mocno rozebrane tancerki. Jednakowo dygające, jak określała je Roma. Wykonywały wyćwiczone, do perfekcji zsynchronizowane ruchy, mało taneczne, ale imponujące precyzją. Na szczęście dla policjanta dźwięk był wyłączony.

Winkler podeszedł do niego, pochylił się.

– Za ścianą walczy ze śmiercią twój kolega po fachu, a ty, chujku, zaglądasz w dekolty jakimś nadmuchiwanym lalkom? – syknął. – Wypierdalaj stąd! Jak się na... – Przeczytał nazwisko. – Szurga? Zamień się z kolegą, już!

Policjant zaczął się podnosić.

– Dlaczego... co...

– Masz w dupie swoje obowiązki. Na razie zapamiętałem twoje nazwisko, wylecisz z Firmy i wrócisz do ojca kozi gnój wywozić na pole. Ale na razie, jeśli przyjdą tu bandyci, żeby dokończyć robotę, to chciałbym, żebyś pierwszy oberwał. Możesz też próbować się zrehabilitować.

Policjant zacisnął zęby i nie odzywając się, pomaszerował na pierwsze stanowisko.

– Coś się dzieje? – Winkler szeptem zwrócił się do Samolej.

– No... biegają ciągle. Stan ciężki, rokowania niepewne...

W oczach Joanny, podkrążonych i zaczerwienionych, rozbłyśły łzy.

Położył rękę na jej ramieniu i ścisnął lekko.

– Nie widziałem, żeby Maciej się komuś kłaniał, kostucha też nie ma szans.

– Lekarz powiedział, że został trafiony dwa razy niemal w to samo miejsce. Pierwszy pocisk przesunął kamizelkę, nie była zapięta...

Winkler pokiwał głową i powiedział cicho:

– Tak było, Maciej odjechał trochę, zatrzymał auto, żeby móc wyjąć kamizelki z bagażnika, podałem mu jedną, narzucił tylko, nie miał czasu na zapięcie. Ja też miałem luźno...

Odruchowo dotknął klatki piersiowej, ból od razu przypomniał miejsce trafienia. Aśka zamrugała powiekami, opanowała się.

– A drugi pocisk trafił właśnie w to odślonięte...

Winkler rozejrzał się, nie wiedząc, co jeszcze można powiedzieć. Podeszedł policjant, siedzący dotąd na wylocie korytarza.

– Wasza policja zostanie rozpiędolona w drobny mak – powiedział do niego półgłosem Winkler. – Skończyły się złote czasy premii od gangów. – Policjant przełknął ślinę, jakby robił to pierwszy raz w życiu. – Niech się, kurwa, dowiem o najmniejszym waszym uchybieniu, Kolasa, i waszego kolegi Szurgi, to staniecie w pierwszym rzędzie na scenie. Taka sądowa rozbiegówka, bo wasze sprawy będą najprostsze. Zrozumiano?

– Tak jest!

– Dzwon do swoich przełożonych i powiedz, że zażądałem wsparcia. Bardzo prawdopodobny jest zamach na Malickiego.

Policjant skinął głową i niemal biegiem wrócił do holu, skąd zaczęły docierać półgłosem rzucane słowa meldunku.

Tomasz stał chwilę, zastanawiając się nad czymś.

– Zaraz...

Podeszedł do drzwi, uchylił je i stanął w progu. Gdyby nie wiedział, że nieruchome ciało na łóżku należy do Macieja, albo gdyby był tu jeszcze inny pacjent, nie rozpoznałby rannego. Z twarzy Malickiego jakby spłynęła cała tkanka między skórą i kością czaszki, policzki zapadły się, oczy jeszcze niżej, wystawał za to nadmiernie nos z dwoma wężykami doprowadzającymi tlen. Cały tors pokrywała skorupa opatrunku, w obu rękach zakotwiczone wenflony, przez które spływała krew i żółtawa ciecz z drugiej większej butli. Aparatura cykała i syczała, irytująco biegały po ekranach monitorów wykresy, których wartości Winkler nie rozumiał i których przebiegów się bał.

Cofnął się na korytarz, delikatnie przesunął drzwi i zrobiwszy krok, zbliżył się do Samolej. Joanna starała się nie patrzeć w stronę sali z Malickim.

Winkler uściskał jej łokieć.

– Asia, bądź czujna, tu chyba cała policja jest skorumpowana, dlatego chcę, żeby było ich w szpitalu jak najwięcej, bo w sześciu już nie będą się czuli tacy niewidoczni i bezkarni. Ale jakby się nie pojawili za kilka minut, to alarmuj Borkońską.

Skinęła głową.

– Dobra, spadam. Mam kilka spraw...

Wybiegł ze szpitala, na zewnątrz zapalił, rozejrzał się, a nie widząc nikogo podejrzanego, usiadł do bmw i odjechał.

Osiem minut później wolno i cicho wtoczył się znów na polankę przed małym gajem. Mercedesa już nie było, któryś musiał się uwolnić i sprowadzić pomoc.

Szkoda... A może i dobrze, bo tylko bym sobie ręce pobrudził.

Ustawił wóz przodem do ulicy. Zapalił i myślał.

Ważył, rozważał, szacował i planował.

W końcu otworzył okno i strzelił niedopałkiem w krzaki, pet trafił w jakąś gałąź, sygnął iskrami.

Dwie flaszki dykty nadal leżały w bagażniku, otworzył go, ukręcił kapsle, z kieszeni wyjął chusteczkę, niemodną i wyśmiewaną w młodszych środowiskach, rozerwał na połowy, wcisnął w butelki, poprzehylał obie, nasączając denaturatem knoty.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę, zapalił kilka razy, działała bezbłędnie. Przypomniał sobie, że w skrytce widział inną. Obszedł samochód i sięgnął po nią, sprawdził. Działy obie. Zrobił krok, ale wrócił do skrytki – leżała tam kominiarka.

Po co świecić własnym pyskiem?

Wziął butelki i ruszył do Ricco. Odczekał za rogiem kilka sekund, wyjrzał. Parking zatłoczony, ale bezludnie. Świetnie, nie było na co czekać. Szybko podszedł do drzwi, postawił obie butelki na betonie, migiem naciągnął kominiarkę, zapalił knoty, otworzył drzwi, zablokował stopą.

Za kontuarem, oklejonym skórzanymi kurtkami Angels, Dogs, Devils i koszulkami Legii, spotkał spojrzenie barmana. Miał siny, opuchnięty kinol i gały wypełniające się przerażeniem na widok biorącego zamach Winklera.

Cisnął potężnie, jak wcześniej Malicki. Koktajl pofrunął, furkocząc i koziołkując. Barman otworzył usta, ale nie marnował czasu na ostrzeżenia: rzucił się w bok, upuszczając mokrą ścierkę niczym pozbawiony wiary w zwycięstwo trener obijanego w ringu boksera. Mołotow wbił się w podwojony szpaler butelek z alkoholem, rozbiła się ta flacha dykty o kilka innych, dźwięk nie był silny, nie było też eksplozji, tylko rozlał się po lustrzanej ścianie błękitny i aksomitny płomień, rozpełził się po stojących i upadających butelkach, cicho i miękko jak ognista ameba wspiął się po bateriach whisky, koniaków, likierów i wódek.

Ktoś w końcu wrzasnął, brzęknęło kilka wywróconych pokali.

Druga butelka już frunęła, trafiła dokładnie tam, gdzie miała: nieco obok pierwszej, żeby rozszerzyć pole rażenia. Bardzo dobre rzuty, ocenił i pochwalił siebie Winkler. Puścił już drzwi, zerwał kominiarkę, cisnął na beton. Za kilka sekund przecwałuje po niej, przepychając się, plując, smarkając, a może rzygając, tłum opitych, poderwanych do niespodziewanego wysiłku gnojków. Nikt nie zwróci uwagi na czarny wełniany balon z trzema otworami.

Pobieglł za róg, tu zwolnił i spokojnie pomaszerował do beemy. Znow zaczął kropić, nieśmiało, narastająco, ale do samochodu było kilkanaście kroków.

Powiniennem zaklinować drzwi, niechby spieprzali przez kuchnię, jeszcze by kilka nóg się potamało!

Wiedział, że nigdy by czegoś takiego nie zrobił, ale uznał, że miło by się to oglądało. Klepnął się w kieszeń, postanowił, że zadzwoni do lwy z samochodu, jadąc. Wsiadł do wozu, zerknął w lusterko wsteczne, ale widok przez szybę przednią był ciekawszy: zza budynku z rykiem rasowanych silników wyrzywały, sztuka w sztukę, czarne beemy i audice, jakiś jeden żebraczy passat. Z okien wychylali się bejsbolery i machali wytatuowanymi girami do jadących za nimi kolegów.

Winkler uruchomił wycieraczki, deszcz już padał rześko, bez przecierki nie można było cieszyć się widokiem uciekających zakapiorów. Uśmiechnął się złośliwie i z satysfakcją. Zdjął rękę z kierownicy, chciał odpalić silnik, ale w tym momencie ktoś szarpnął drzwi pasażera i nim Winkler przypomniał sobie, gdzie włożył zdobycznego eagla, zobaczył fachowo i nieruchomo gapiące się w nasadę jego nosa oko innego produktu Made in Israel.

Znieruchomiał.

– Dobrze – powiedział wysokim głosem napastnik i zręcznie wsiadł do wozu, niemal nie zmieniając położenia pistoletu. To nie był gnojek z zaniedbanego miejskiego obszaru, obszcymur z gangsterskim rapem zamiast mózgu. To był... Brzezina, szef miejscowej policji! – Mamy do pogodania.

– Nie mamy. – Tomek starał się zachować spokój. – Wszystko już powiedziano, lawina ruszyła. Jutro, pojutrze skończą się ładunki-przeładunki, przyjadą, chcą tego czy nie, kozacy z Łodzi, Krakowa, Szczecina, pozamiatają. Wszystko szło dobrze, póki szło. Kumaszc? Pociąg jedzie, póki wszystkie wagony się trzymają. Jeden wypadła i jebut!

– Jebut to zaraz będzie z tobą, cwaniaku. Odpalaj i jedziemy. Nie próbuj numerów, bo nie lubię.

W aucie było ciemno. Winkler już wcześniej, dla kamuflażu, wyłączył wszystkie światła, i teraz widział przed sobą tylko bejsbolówkę i dwie połyskujące plamy oczu. Tych wypranych, wyblakłych oczu.

– Byłem wykładowcą w Szczytnie – powiedział Brzezina. – Kilka lat się tam bujałem, zanim zrozumiałem, że wszystkiego, czego mi trzeba, już się nauczyłem. Ale mogę być też ważnym i dobrze zarabiającym wykładowcą, ekspertem, bossem, tyle że po przeciwnej stronie. I to ja będę wysyłał jakichś durnych ciuli do takich cwanych psów jak ty.

– Gadałem trochę z tymi twoimi ciulami. Kiepskoś ich wyszkolił.

Brzezina prychnął.

– W dupie to mam. – Wykonał pistoletem ponaglający ruch. – Zapalaj i jedziemy. Wiesz gdzie.

Maciek odróżnia „gdzie” i „dokąd”...

Winkler uruchomił silnik, wycieraczki ochoczo rzuciły się do zgarniania wody z szyby, włączył też tylną, na ekranie sprawdził, czy nie ma z tyłu przeszkody, bynajmniej nie dlatego, że bał się uszkodzić furę Malickiego. Przeciwnie, szukał przeszkody! Żeby wdusić gaz do podłogi, jak Maciej na szosie, huknąć w rów albo w drzewo...

Nic nie było. Wykręcił z polanki, wyjechał na szosę i ruszył w stronę Tuliboru.

– Zapnij pasy! – polecił Brzezina. Sam też zapiął. – I jedziemy grzecznie. Przepisowo.

Deszcz zmył z ulic większość pojazdów, nie było rowerów, motocykli, pieszych, w normalnych okolicznościach jechałoby się miło i przyjemnie. Bezkolizyjnie. Jedyny kolizyjny element siedział w fotelu obok Winklera.

– Po co wam ten karnawał z katabasami? – zapytał Tomasz.

Może jak go sprowokuję, będzie gadał? Wóz podskoczy na wyboju i przygryzie sobie ożór.

Pamiętał, że asfalt był na tej trasie wyjątkowo niechlujnie łatany, nawet jak na Polskę.

– Zamknij pysk – rozkazał komendant. – Naoglądałeś się seriali, co? W ostatnim odcinku splatają się wszystkie wątki, skatowany policjant wysłuchuje spowiedzi głównego bandziora, uszysztko staje się jasne. Nadjeżdża odsiecz i uszyscy się ściskają i całują. Aż do następnego sezonu.

Winkler łagodnie przyspieszył.

Może drzewo? Może w dupę śmieciary wjechać? Może do rowu? Nie, skurwiel naprawdę wie, co trzyma i po co... Proste nie musi być skuteczne.

– Zwolnij do pięćdziesięciu i trzymaj się tego, bo rozpiardolę ci kolano – powiedział spokojnie Brzezina.

– Ty jesteś Ramon?

– Ja? Ochujales? – Roześmiał się. – Te gnojki coś ci jednak powiedziały? Ratowali skóry?

Winkler skręcił w lewo, w drogę prowadzącą do kompleksu Tulibor. Włączył długie.

Może sarna? Lepszy jeleni... Raz widziałem gościa nadzianego na rogi jelenia dwunastaka. Ale to był kierowca! Myśl, Tomaszek, myśl!

Mężczyzna milczał. Rzucił okiem na drogę, oświetloną mocnymi długimi światłami. Wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach, umysł Brzeziny najwyraźniej też. W końcu, nie tracąc Winklera z celownika, sięgnął długą jak dyszel ręką do kieszeni i wyciągnął smartfona w wielowarstwowej pancerniej obudowie. Droga skręciła w prawo, mężczyzna bujnął się lekko.

Tomasz przesunął dłoń na kierownicy, nieznacznym ruchem sięgnął do włącznika szyberdachu.

Nad ich głowami nagle zarysowała się szczelina, a potem szybko powiększyła.

„Szyberdach, pierdzielony, nie otwieraj go nigdy, zwłaszcza podczas deszczu, bo ci chluśnie dwa litry wody na głowę...” – ostrzegął Maciek.

Woda w opisany przez Malickiego sposób chlusnęła do wnętrza, dokładnie na głowę i kark pochylonego nad komórką sprzedajnego gliny. Odruchowo poderwał ją, a wtedy sprawy potoczyły się według zrodzonego kilkanaście sekund wcześniej planu: Winkler wbił stopę w pedał hamulca i jednocześnie z całej siły wyprowadził cios od kierownicy, nasadą pięści w nos Brzeziny. Nie trafił, a w każdym razie nie dokładnie tam, gdzie chciał. Pięść uderzyła w krtań. Trzasnęło, jakby ktoś łamał kurze kosteczki, pistolet poderwał się do góry, smartfon wyleciał w powietrze i uderzył Tomasza w czoło.

Bmw zatrzymało się, systemy trakcji wspaniale utrzymały wóz na śliskim asfalcie. Ulewa już bez przeszkód wlewała się do wnętrza. Tomasz wyszarpnął pistolet z mocno zaciśniętych palców mężczyzny, lewą ręką uruchomił zamykanie szyberdachu, prawą sięgnął szyi faceta i poszukał pulsu.

Nie znalazł go.

– Przekaż pozdrowienia. Masz tam kilku znajomych, a jak nie, to ci ich dostarczę – wydyszał.

Podjechał kilkadziesiąt metrów, na prostą, żeby i z przodu, i z tyłu mieć w zasięgu szosę. Kilkona szarpnięciami usadził Brzezinę w fotelu, poklepał po piersi, nie wyczuł portfela.

Wyjął papierosy i zapalił.

– Bez dokumentów? – Zaciągnął się i wypuścił dym z płuc. – „W dupie to mam”, nie?

Ruszył powoli, ostrożnie do Tuliboru. Gorączkowo obmyślał plany i pomysły. Nic się nie kleiło, nic nie dawało jakiejś takiej gwarancji powodzenia, a na fotelu obok siedział martwy, skorumpowany, ale jednak komendant miejscowej policji. Tomasz przypomniał sobie, co uderzyło go w czoło. Pochylił się i zaczął szukać obudowanego pancierzem telefonu porywacza. Znalazł go szybko, ale po włączeniu natknął się na graficzne hasło. Darował sobie mazanie palcem po ekranie, wytarł smarciaka z odcisków i włożył Brzezinie z powrotem do kieszeni. Zastanowił się chwilę nad telefonem do Borokońskiej, ale uznał, że nie usłyszy niczego poza pakietem zakazów i nakazów i będzie się czuł niezręcznie, przynajmniej, że do żadnego się nie zastosował i nie zamierza też przestrzegać ich w przyszłości. Wyjął swojego samsunga i sprawdził lokalizację. Do hotelu miał jeszcze siedemset metrów, za dużo, uznał, żeby spacerować w deszczu i w mroku. Jechał dalej, rozglądał się na boki, szukał jakiejś odnogi. Przypomniał sobie, że jeden z zakapiorów spod Ricco wspomniał coś o miejscu, w którym zamierzali utopić zwłoki policjantów. Skoro było takie miejsce, musiała doń prowadzić jakaś droga.

I prowadziła.

Gdy według GPS-a do ośrodka zostało 300 metrów, po lewej stronie ujawnił się wyłom w ścianie lasu i gruntowa droga. Winkler zahamował, wjechał w odnogę, trochę za szybko,

podwozie, a może silnik?, szurnęło o garb, koła na ułamek sekundy zabuksowały, potem beema pracowicie ruszyła dalej. Po kilkudziesięciu metrach gruntówka lekko skręciła, a Winkler uznał, że z szosy nie będzie widać samochodu. Chwilę przyglądał się denatowi, rozważając, czy dokładna rewizja może się do czegoś przydać, czy nie należałoby tylko usunąć zwłok z samochodu. Wybrał drugą opcję.

Zapałił nowego papierosa, wyskoczył z auta i osłaniając camela konchą dłoni, pomaszerował po trudnej dla pieszego drodze. Latarka bardzo się przydawała, po kilku minutach, klnąc i grzęznąc w błocie, dotarł do asfaltu, przystanął, żeby się zastanowić. Cisnął papierosa w błoto, przez ścianę lasu przebijały poruszające się w jego stronę światła samochodowych reflektorów. Tomasz się rozejrzył, długi, chociaż niezbyt gruby konar leżał na poboczu. Podskoczył i migiem wciągnął go na asfalt, rzucił w poprzek drogi i zanurzył się w ociekających wodą krzakach. Zza zakrętu wyłonił się dostawczy samochód, chwilę jeszcze jechał równym tempem, potem kierowca zdecydował, że leżący na drodze drąg jest za duży i za gruby, by go potraktować kołami. Zwolnił, a potem zatrzymał furę metr od gałęzi. Po chwili otworzyły się drzwi, wyskoczył niski pękaty facet w kamizelce i pobiegł do rozświetlonej reflektorami gałęzi. Winkler pognał w przeciwnym kierunku, na tył samochodu. Kierowca odciągnął drąg, cisnął go na pobocze i przygarbiony wrócił do szoferki. Odjechał na buksujących bezgłośnie oponach.

Na umieszczonej z tyłu kłapie hydraulicznego podnośnika wisiął zaczepiony o górną krawędź i dolne zawiasy Winkler. Pozycja nie była wygodna, ale bez trudu przejechałby tak kilka kilometrów, tu czekało go tylko kilkaset metrów. Po chwili furgon zaczął hamować, dociskając Winklera do karoserii. Stał. Kierowca uderzył w klakson kilka razy, po minucie ruszył, wjechał na teren ośrodka, skręcił w prawo. Kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymał się na dobre.

Winkler zeskoczył, wytarł dłonie i pomknął w kierunku budynku, tam postać chwilę pod daszkiem, a słysząc jakieś odgłosy w korytarzu za drzwiami, pobiegł z powrotem do ciężarówki. Kierowca już otworzył tylne drzwi i opuszczał kłapę, na której wisiął przed chwilą Tomasz.

– Cześć! – zawołał Winkler do kierowcy, robiąc z dłoni daszek nad oczami. – Co? Pomóc?

– Osiem skrzynek z badyłami! – krzyknął konus. – Dużo sałaty, są lekkie. Potem dwie paki z mięsem!

Winkler sięgnął po stos skrzynek, chwycił cztery i pognał do wejścia do kuchni. Na schodach dwaj młodzieńcy dopinali przeciwdeszczowe kurtki, Tomasz podniósł skrzynki, zasłonił nimi twarz i przemknął między chłopakami, rzucając „Kurwa, ale leje!”. Wbiegł do korytarza i pomaszerował przed siebie. Przed nim pojawiły się duże drzwi do magazynu, wszedł i postawił ładunek na regale. Nie było tu nikogo. Wybiegł z powrotem na korytarz, obawiając się, że ktoś zaraz przyniesie kolejne ładunki, i pomknął w przeciwnym do wyjścia kierunku. Za kolejnymi drzwiami, widząc, że znalazł się w części hotelowej, zrzucił kurtkę, cisnął na podłogę za drzwiami. Zdobywczy desert eagle wsunął za pasek na plecach, koszulę wyszarpnął i zasłonił nią broń. Teraz ruszył korytarzem. Zaraz po kilku krokach zobaczył na ścianie schemat ewakuacji obiektu. Po raz pierwszy w życiu ucieszył go ten przejaw troski o mieszkańców budynku. Przyglądał się chwilę. Na tym piętrze były dwa gigantyczne apartamenty, sala telewizyjna, gabinet kosmetyczny i sala masażu.

I składający się z trzech pomieszczeń nieopisany obszar. Bez wątplenia był to cel wędrówki Winklera. Spokojnym, zamasztyłym krokiem ruszył w tę stronę. Ciągłe był jedynym ruchomym obiektem na korytarzu. Minął parę podwójnych ozdobnych drzwi apartamentu numer jeden. Po kilkunastu metrach po przeciwnej stronie korytarza pojawiły

się drzwi drugiego apartamentu. A potem rozwidlenie, Tomasz skręcił w lewo i zwolnił. Na końcu tej odnogi znajdowała się część hotelu, którą w duchu nazwał gabinetem dyrektora. W kompletnej panującej na piętrze ciszy usłyszał za drzwiami stuknięcie. Po lewej znajdowała się ubikacja, pociągnął klamkę, wpadł do środka, zamknął za sobą i zaczął szukać włącznika, niepotrzebnie, bo światło włączył automat. Było za późno na przekręcanie zamka, jeśli ktoś przechodził korytarzem, to mógłby usłyszeć szcęk sprężynek czy zgrzyt rygla.

Kroków idącego czy idącej nie było słychać, ale mężczyzna, bo to jednak był on, przechodząc obok drzwi do łazienki, odkaslnął jak na zamówienie. Winkler odczekał pół minuty, otworzył drzwi i stanął w progu, masując dłonie, jak po długim myciu we wrzątku. Niepotrzebnie. Korytarz był już pusty. Pobiegnął do drzwi gabinetu dyrektora, nacisnął klamkę.

Oczywiście – zamknięte. Ale zamek był niskokosztową podróbką znanej niemieckiej firmy. Takie Winkler otwierał w dwie minuty. Tu udało się w minutę.

Wszedł do środka, obrzucił szybkim spojrzeniem sprzęty. Duże biurko, trzy monitory, różnej wielkości, wystający ze ściany dziwny sejf. *Chyba raczej pokusa niż prawdziwy skarbiec* – pomyślał. Zobaczył jeszcze dwie pary drzwi, jedno do obszernej łazienki, drugie do gabinetu... gościnnego? Skórzane fotele, sześć, nienachalnie puchate i gabarytowo nieimponujące, ale na każdy fotel oddała życie co najmniej jedna zebra.

Podszedł do okna, nic ciekawego, obszedł pokój, który miał na wyposażeniu kilka stolików, dwa barki, jakieś dwie szafki, może zamaskowane lodówki? Winkler nawet ich nie otwierał, nie obchodziły go interesy i księgi mafii kościelno-przemysłowej. Od tygodnia pogrążał się w sprawie, w której były już dwie ofiary śmiertelne, trzy, jeśli liczyć Brzezinę... Wytarł dłonie o rękawy koszuli i w tym momencie usłyszał szcęk zamka, uskoczył za drzwi „gościnnego” gabinetu, zamknął je i wyciągnął broń. Cudzą. Niesprawdzoną!

Do pierwszego pokoju weszły co najmniej dwie osoby.

Ktoś powiedział:

- Siadaj, młody. Koniaku chcesz?
- Koniak piją babusie i pedały.
- No to wszystko się zgadza. Nalać ci?
- Bogdan, z ciebie to jednak kawał chuja.
- Nie obrażaj się, gej to już dzisiaj norma. To normalny jest nienormalny!
- Dobra, jeżdż ze mnie, niech cię nie obcho...
- No to co chcesz? – warknął gospodarz, zapewne Bogdan Kalinowski.
- Wolę łyskacza – odpowiedział młody.

Odpowiedział... Sebastian?

Kilka godzin temu Winkler trzymałby się opcji aresztowania młodego i jego braciszka. Teraz okazało się, że musi być przygotowany na spotkanie z Sejną i Bogdanem, ale nie na swoich warunkach, nie w swoich, obmyślonych i określonych okolicznościach. Zamknięty, kurwa mać, na obcym terenie.

- A proszę bardzo!

Rozległo się kilka szklanych brzęknięć, ktoś nalewał, przesuwiał, przestawiał, korkował...

- Ale zdajesz sobie sprawę – mędził domniemany Kalinowski – że destylat whisky można zrobić z każdego roślinnego gówna, a koniak... Koniak, jednakowoż, tylko ze szlachetnej łązy.

- Bogdan, ja pierdołę... – rzucił z zażenowaniem Sebastian.

- Mm... yhy... Jak wszystko. Z tym, braciszku, mamy właśnie problem...

Nie zabrzmiało to przyjaźnie.

Seba wyrzucił z siebie jakiś dźwięk, nie wiadomo tylko, czy było to pogardliwe prychnięcie, czy pełne zaskoczenia gđaknięcie. Gdy Winkler oddawał się analizie odgłosów, ktoś chwycił klamkę, domknął drzwi gabinetu i, co zdziwiło Tomasza, przekreślił klucz w zamku.

Szybko i cicho zbadał drzwi, niestety – dobrze przypasowane, przylegały do ościeżnicy równo, ale nie tak idealnie do podłogi. Nikt nie chciał, żeby zacinęły się na zapałce, bilecie tramwajowym czy karcie kredytowej. Winkler szybko i bezgłośnie ułożył się na podłodze, sprawdził możliwość podpatrywania sąsiedniego pokoju, ale nie było opcji, natomiast rozmowę słyszał znakomicie. Wyjął z kieszeni smartfona i włączył dyktafon, dziękując bogom za pomysł wyciszenia wszystkich dźwięków klawiszy.

- Mieliliśmy dzisiaj gości – powiedział nagle Bogdan.

To on zamknął drzwi i przekreślił klucz. Co obchodziły Sebastiana niedomknięte drzwi do drugiego pokoju? Ale dlaczego tak postąpił? Dlaczego Sebastiana to nie dziwi. Dlaczego...?

- Nie za wcześnie? – zdziwił się Sebastian.

– To nie ci goście, o których myślisz, Seba. Niestety, nie kapłony i nie Młodzi Rycerze Marii Niepokalanej.

– Nie? No to co mnie obcho...

– To był niejaki Winkler z drugim, niejakiem Malickim. Mówi ci to coś? Debilu?

Cisza trwała długo, potem ktoś przemierzył pokój, nawet gruby dywan nie tłumił gniewu kroków. Potem sapnięcie skórzanego, ale bardzo wyrafinowanego ergonomicznie fotela biurowego.

– Co ty myślałeś? – ciągnął Bogdan. – Że nie dowiem się o śmierci Rafała? Ani że przez chwilę byłeś głównym podejrzanym?

– Ale ja...

– Idioto, po coś tu przyjechał? Ściągnąłeś ich do nas!

– Ja... ani razu nie wspominałem o Tuliborze... ani o tobie. Potrzebowałem odpocząć... tu... Ale jak oni...? Ci...

– Nieważne, braciszku. Naprawdę nieważne. Psy też czasem myślą, niektóre myślą dobrze, lepiej od tropionej zwierzyny. Pomijam, że już rok temu mówiłem ci, że masz za długi ęzwor w przeciwieństwie do chuja. I ten nieborak, Rafał... Po kiego wała się z nim zadawałeś, skoro jego bawiło tylko wyciąganie z ciebie kieszki na dragi, na chlania, na lansa? Łudziłeś się, że on cię kocha? Ty go kochałeś?

Cisza.

– Tak.

Cisza.

– „Tak” co?

– Kochałem, skurwysynu!

Za drzwiami znów rozpanoszyła się cisza, im dłużej trwała, tym wyraźniej była toksyczna, dźwięła nawet przez zamknięte drzwi, zaczynała cuchnąć niczym leżący na słońcu solony śledź. Winkler gorączkowo rozglądał się po pokoju, choć pozycja leżąca, z uchem przyklejonym do szczeliny, nie sprzyjała przetrząsaniu pomieszczenia.

– No tak... – powiedział w końcu Kalinowski. – „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego.” A ja ci mówię: miłość ślepa jest! Wiedziałeś, że on tu ciągle przyjeżdżał? Z własnej woli. Używał życia, chodził ciągle nawalony darmową whisky, obrażał kapłonów, ale im się to nawet podobało.

– Wiedziałem...

– A że przywoził tu jeszcze jednego chłoptasia? To też wiedziałeś? Tak? A że go im stręczył? Tylko tamten nie chciał, ale to Rafałka mało co obchodziło. Chłopak się w końcu powiesił. Na żyrandolu w Kardynalskim. Kurwa, musieliśmy instalację wymienić, bo kable zerwał. A po Rafiku to spłynęło. Takiego skurwysyna kochałeś.

– Marcin... tu się powiesił? A w lesie? Co to...

– Tu, w lesie, co za różnica? Tu zadyndał, a durnie go do miasta podrzucili. Dopiero jak sprawdziłem, to szybko zabrali zwłoki i wywieźli do lasu.

Czyli Marcin jednak... Pozbyli się z hotelu zwłok, żeby nie zwracać uwagi na swoje biznesy.

Bogdan umilkł, potem pstryknął zapalniczką, rozkaszłał się.

– Taki... kh... kurwa... taka wasza miłość, zboki pierdolone!

– A co ty wiesz o miłości? – wrzasnął nagle Sebastian. – Kogo w życiu kochałeś, poza sobą? No? Kogo?

– A tobie się wydaje, że jak się zabujałeś w blond adonisie, to jesteś lepszym człowiekiem? Durniu... Mogę ci pokazać kilka giga filmów z tym szczyłem. Z oboma!

Cisza.

– No i teraz mamy klopa – rzucił Bogdan. – Był tu Winkler z Malickim.

– Szukają... mnie?

– Ciebie? Ja pierdołę, Seba, ty myślisz, że chodzi o ciebie? To jest grubsza sprawa niż śmierć jakiejś męskiej prostytutki. Rozumiesz w końcu, czy nie? Ja się nie bawię w piaskownicy z grzecznymi absolwentami katolickiego domu dziecka, durniu. To jest mafia, kto wie, czy nie najpotężniejsza? – Coś trzasnęło, kopnięte krzesło, może pięść o stół. – Seba, ty widzisz Tulibor, a co to jest Tulibor? Gówno! To przyszcz! Nasi koleżkowie w fioletowych sukienkach załatwiają podstawy: ziemia, działka, pozwolenie, a potem wkraczają prawdziwi gracze i robią sto TIR-ów z fajkami od Łukaszenki za piętnaście milionów. To jest interes! A dwa TIR-y z amfą? Kapujesz? To. Jest. Zysk! A nie panienka za darmo i prosecco z truskawkami. Tego szukają Winkler z Malickim. Ale to przez ciebie tu przyszli!

– Ja... ja przyjechałem tu powiedzieć ci... powiedzieć...

– Zaraz? Zaraz-zaraz-zaraz! Nie gadaj, że...

Cisza.

– Kurwa, Seba, Rafik to naprawdę twoja robota?

Cisza.

– Ja pierdołę! Już widzę, co ci się turla po pustej łepetynie! Chcesz iść do Winklera i się przyznać?

Było tak przeraźliwie cicho, że Tomasz bał się nawet poruszyć głową. Sytuacja w gabinecie Kalinowskiego zaczynała emanować złością i żalem, i to takim, że widać go pewnie na satelitach szpiegowskich i nawigacyjnych.

– Ale... Bogdan... – wyjącał Seba. – Musisz... Ja nie mam życia, rozumiesz? Nie mogę spać bez silnych prochów, nie mogę normalnie funkcjonować... Przecież ja nie jestem zawodowym mordercą, ja dostałem sza...

– Kogo to obchodzi, głupku? Zadzgałeś gościa, tak? Czy jego rodziców obchodzi z jakiego powodu? Czy prokurator powie: „Wysoki Sądzie, odpuśćmy mu, on z miłości! Proszę!”

– W afekcie...

– W afekcie-srekcie, kurwa! Dostaniesz piętnachę, a jak wyjdiesz: ojciec nie żyje, mnie nie znajdziesz, zawodu nie masz, koledzy nie chcą z tobą grillować. Dupa! Będziesz obciążał za dwa piwa, w końcu zdrzesz z kimś nieodpowiednim i zrobią ci z ozora krawat. I koniec, de-u-pe-a!

– Dlatego nie chcę kłamać, pójdę do Winklera. On mnie zna, poszuka okoliczności łagodzących, ojciec da kasę.

– Akurat! Akurat Winkler poszuka... Nasi ludzie postrzelili jego kolesia, tego psy nie wybaczą! On się wcepi! Już się wcepił...

– No to co mam zrobić? Co miałem zrobić? Zabiłem Rafała! Tak! Zabiłem, bo chciał mnie zostawić. Odłożył trochę kasy i chciał wyjechać do Hiszpanii. Myślałem, że pojedziemy razem, że sprzedam mieszkanie i uciekniemy od tego syfu! Od szamba, do którego nas wciągnąłeś! Ale on mnie wyśmiał! Rozumiesz? Krztusił się ze śmiechu! Mówił, że brzydzi się takim pedziem. Żebym zapomniał o czymkolwiek wspólnym, bo on rozpoczyna nowy rozdział w życiu i mnie w tym programie nie ma! Dał mordę na całą Grabiszynkę, kompletnie nawalony, najarany i wreszcie szczerzy... Zwalił się w trawę i zaczął ruszać dupą, rechocąc na całą głós. Dostałem szału... Nawet nie wiem, kiedy wyjąłem nóż...

Nagły brzęk rozbijanego szkła. Ktoś cisnął szklaneczką z jakąś szlachetną balwenie 12 YO o ścianę. Chyba Seba.

Winklerowi przemknęło przez myśl, że temperatura rozmowy przekroczyła dopuszczalną granicę. Sięgnął do tyłu i wyjął pistolet, problemem były drzwi. Rozejrzał się po pokoju, dwa wykuszowe okna, może umyślnie tak zaaranżowane do ewakuacji w razie potrzeby? Tyle że zanim je forsuje, zanim obiegnie budynek, wróci do biura Kalinowskiego, to... no właśnie, to co?

A strzał w zamek? Któryś z nich może oberwać pociskiem lub metalowym elementem. A i same drzwi nie wyglądają na takie z paździerza.

Kto strzelał, Wysoki Sądzie? Aaa... to ten pozbawiony prawa do użycia broni, po dwakroć ekspolicjant, Tomasz Winkler!

Na palcach podbiegł do okna i wyjrzał. Księżyc znakomicie oświetlał teren. Po niebie ślizgały się pękate, obrzmiałe cumulusy, zapowiadające koniec opadów. Chmury powinny co jakiś czas zastaniać światło satelity. Winkler wrócił do drzwi.

Ktoś w biurze zakrztusił się, rozkaszał. Chyba Seba.

– Kurwa, Bogdan! Ty chyba myślisz, że jesteś taki piąty pancerny! – Głos Sejny brzmiał, jakby przed chwilą się popłakał, ale już wytarł łzy i zaczynał się nakręcać. Winkler rozejrzał się raz jeszcze, oszacował kształt i wagę krzesła, uznał jednak, że nie wyważy nim drzwi. – Ja też wiem co nieco. Myślisz, że Rafał był taki dyskretny? Od dzieciaka robiłeś z niego szmatę i myślisz, że był lojalny? Powiedział mi, jak ciąłeś koszty tego bajzlu! Oszukiwałeś Ramona... tak, o Ramonie też mi powiedział! Jak go rznąłeś na każdej desce, na każdej cegle – dokładałeś do ceny po kilka groszy, ale przy milionach cegieł to daje coś, nie? A łapówki? Pamiętasz, że Rafał bywał z tobą w gminie, w urzędzie miasta, w kurii, kurwa jej mać! Zapomniałeś? Nie? No to sobie przypomnij, że połowa łapówek szła do twojej kieszeni. Odpalałeś Rafałowi jakąś dolę za milczenie, żeby cię nie sypnął. Dlatego zawsze przyjeżdżał stąd z kasą. Ale w porównaniu to były grosze. Więc nie traktuj mnie z kopa, bo ja też umiem pływać, i zanim przyjedzie kohorta psów, to wcześniej przyjedzie Ramon i dowie się, kurwa, wszystkiego! I dostanie parę namiarów! Ja nie będę...

– Ty... mały... pierdolony gnojku z brudnym fiutkiem!

Winkler drgnął. W pokoju obok kaszlnął pistolet z tłumikiem.

Poderwał się na równe nogi, podniósł telefon i włożył go do kieszeni. Za drzwiami coś trzasnęło.

– Łapy do tyłu, już, migiem!

Kalinowski najwyraźniej pętał pochlipującego Sebastiana.

– Straszyl mnie będzie, gnojek! Co ty sobie myślisz, że więzy krwi? W dupie mam więzy krwi, nawet gdybyś był bratem rodzonym, miałbym w dupie. Ciesz się, że nie rozmawiasz z Ramonem, bo krócej by trwała ta rozmowa i ból byłby...

– Bogdan? Już wolę, żebyś mnie zabił, będę miał... spokój...

– Zamknij gębę!

Kolejny huk, Winkler dopasował to, co słyszał, do tego, co mu podpowiadał rozum i doświadczenie: Kalinowski palnął brata w łeb, za chwilę wyniesie się z budynku, a potem z Tuliboru i z Polski. Poderwał się i zrobił dwa kroki w kierunku okna.

Przed trzecim krokiem tuż za drzwiami rozległ się głos Bogdana Kalinowskiego:

– Panie Winkler? To pan? Już się pan wyleżał? Odpoczął pan? To dobrze. Dużo pan słyszał? Wszystko? No to ma pan już zabójstwo Rafałka z głowy, pierś do medalu, co? A zresztą, co mnie to gówno obchodzi? Nie poznaliśmy się osobiście, ale kompletnie nie żałuję. Nieudacznicy mnie nie interesują. Dotyczy to też tego młodego dupka, który teraz czeka, aż pan się uwolni i żywy dotrze do niego, żeby go aresztować. Albo zastrzelić podczas próby ucieczki, cha-cha!

Winkler odskoczył z pistoletem w dłoni, pewien, że Kalinowski zechce strzelić przez drzwi. Ale rozległ się tylko głośny ostry trzask, Tomasz zrozumiał, że Bogdan złamał włożony do zamka klucz. Dwoma susami dopadł ściany i przyłgnął do niej.

W pomieszczeniu obok zapadła martwa cisza.

Po strzale – martwa...

Ale podobno, tak powiedział, nie zabił Sebastiana.

I, jak na życzenie, usłyszał szuranie, stukanie, stękanie. Sebastian chyba uznał, że nie ma co czekać na uwolnienie, tylko powinien zacząć działać sam.

Ciekawe, pomyślał Winkler, przesuwając się w kierunku okna, „działanie” to dla niego pościg za braciszkiem. Chce mu dokopać czy stworzyć nową wersję Butcha Cassidy i Sundance Kida? A może po prostu spieprzać gdzie oczy i nogi poniosą?

Szarpnął skrzydło okna. Otworzyło się bez kłopotów. Tomasz się wychylił. Wystarczająco szeroki parapet prowadził do rynny, za którą znajdował się trejaż, pozwalający na wspinanie się jakimś pnączem. Winkler włożył pistolet za pasek na plecach, poprawił ułożenie broni i wszedł na parapet.

W tym momencie zgąsto oświetlenie terenu. Kalinowski pewnie zabezpieczał swoją ucieczkę, Winkler rzucił okiem na księżyc – zbliżał się do utrefionej krawędzi niedużego, ale na oko gęstego i wysokiego cumulusa, jednego z kilkunastu na nieboskłonie. Odetchnął

i przesunął się w prawo. Do rynny miał dwa metry, parapet szeroki niemal na półtorej długości podeszwy, pokonanie tego dystansu nie powinno sprawić problemu, tyle tylko, że tynk był jakoś upiornie szorstki, czeptał się koszuli Winklera i zmuszał do szarpania się co kilka centymetrów.

Tomasz przesunął się pół metra, może siedemdziesiąt centymetrów. Wyciągnął rękę, chcąc jak najszybciej poczuć pod palcami rurę rynny. W tym samym momencie w ogrodzie w szpalerze krzewów błysnęło światło mocnej latarki, takie, które na reklamowych klipach przepala w sekundę folię worka na śmieci. Wyglądało na to, że albo ktoś zmierza do rozdzielni, albo inny ktoś, może Kalinowski, kłusuje do przystani, co wydawało się całkiem zgrabnym pomysłem na ucieczkę. Jezioro Ostrowickie nie było jakimś szczególnie wielkim zbiornikiem, tam gdzie kończyły się tuliborskie łąki, musiała być droga, może jakaś chałupa z wynajętą stodołą, w której czekał nierzucający się w oczy Citroën z pełnym zbiornikiem i czystymi papierami w sprytnym schowku pod kanapą.

Tomasz zrobił dwa szybsze kroki, jeszcze jeden, uderzył opuszkami palców w rurę, wczepił się w nią i szarpnął, mocno, na ile mógł. Trzymała się dobrze uchwytów. Chwycił się jej, chuchnął i wykonał taneczny krok, po którym znalazł się po drugiej stronie rynny, wciąż na parapecie i twarzą do ściany. Teraz wystarczyło sięgnąć lewą ręką, by złapać trejaż. Nadal trzymając się rynny, sprawdził kratownicę: była solidna, drewniana, ale dobrze umocowana i powinna udźwignąć jego ciężar. Zerknął w dół, księżyc do połowy wsunął się za chmurę, ale świecił jeszcze na tyle, że widać było taras: pusty, bez donic, stolików, leżaków.

Winkler przesunął się i zawisł na trejażu, oczywiście usłyszał szelesty i niepokojące trzeszczenia, szybko jednak znalazł podporę pod stopy, zsunął się o kwadrat niżej, drugi, czwarty. Teraz był już tak nisko, że nawet gdyby konstrukcja w końcu nie wytrzymała, to zeskok nie byłby żadnym problemem. Zszedł jeszcze dwa kwadraty i skoczył.

Wyciągnął pistolet zza paska, dopiero teraz w reszcie księżycowego światła sprawdził magazynek i pobiegł do części ogrodowej. Na końcu alei gdzieś w okolicach przystani błysnęła jeszcze latarka. I zgasła.

Winkler pomknął w jej kierunku, dwadzieścia metrów, trzydzieści, pięćdziesiąt. Skończyła się osłona krzewów. Teraz, gdyby tylko Kalinowski się odwrócił i smagnął światłem budynek hotelu, musiałby zobaczyć Winklera, ale zajęty był czymś na końcu pomostu.

Tomasz wybrał trasę w lewo, częściowo osłaniały go trzy żaglówki, przemknął na pas mokrego piasku, runął w wilgotną po ulewie trawę. Kalinowski szarpał się z czymś, kłął półgłosem. Winkler zaczął w kucki przemieszczać się w jego kierunku. Bogdan zapalił latarnię, nie mógł sobie po ciemku poradzić z węzłami, może kłódkami.

Nie ma żadnej torby, walizki ani teczki! Powinien coś mieć, jakiś zestaw uciezkowy na początek, na rozbieg, a nie ma, dziwne...

Mężczyzna w końcu wyszarpnął linę, wszedł niezbyt zgrabnie, ale bez wywrotki, do małej łódki i uruchomił niemal bezgłośny silnik. Księżyc definitywnie wbił się w puchatą chmurę i wyłączył oświetlenie krajobrazu. Tomasz skręcił przed pomostem, pamiętał, że skuter Sebastiana stał gdzieś tutaj przycumowany do pachołka. Woda była ciepła po upałach i deszczu, parowała i cicho chlupotała, gdy wolno pokonywał metry dzielące go od celu. Przez umysł przemknęła myśl, że gdyby wziął łódkę, to może dopłynąłby gdzieś na pagaju, a na skuterze takiej opcji nie było. Ale łódki cumowały dalej, jakoś przemyślnie powiązane. A trop Bogdana na wodzie już się wygładzał i zniknął. Winkler wdrapał się na skuter, po omacku znalazł linę, odcepił, na kierownicy wyszukał włącznik i manetkę gazu i omal nie spadł z pojazdu, gdy ten skoczył do przodu, posłuszny impulsowi z manetki.

Wy płynął z przystani łukiem i postarał się odnaleźć szlak po łódce: drobne falowanie na gładkiej wodzie. Płynął wolno, po serii prób odkrywając takie ustawienie gazu, przy którym przemieszczał się w miarę szybko i stosunkowo cicho. Zerknął na niebo, księżyc wciąż nie było widać i nie zapowiadało się na to, by w najbliższych minutach wyłonił się z piernatów. Wbijał więc spojrzenie w mrok przed sobą, co jakiś czas sprawdzając z tyłu, czy ślad po skuterze jako tako rysuje linię prostą. Wyglądał też jakichś namiarów na horyzoncie, oświetlonego okna, ogniska wędkarzy, reflektorów samochodu, ale jezioro wyglądało na opuszczone przez ludzi. Tak było jeszcze przez chwilę, a potem nagle na wprost, odrobinię w prawo od kursu Winklera, błysnęło światło, krótko, jakby ktoś szedł z wyłączoną latarką, potknął się i wcisnął włącznik, a potem przeklinając własną nieudolność, migiem nacisnął jeszcze raz.

Tomasz skorygował kurs, zaczęło mu się wydawać, że robi się jaśniej, rzucił spojrzenie w górę i ucieszył się, bo księżyc naprawdę wyłaniał się zza chmury. Tuż-tuż była kolejna, więc mógł się spodziewać tylko kilku chwil światła.

Dobre i to! – pomyślał.

W przejaśnieniu dojrzał ciemny kształt na oświetlonej tafli.

Wyspa!

Gwałtownie skręcił manetkę gazu.

Na małej wykrojonej z szuwarów plaży stała łódeczka, druga właśnie przybiła i ciemna sylwetka ostrożnie wysiadała do wody. Potem mężczyzna, szczęśliwie dla Winklera nie oglądając się, zaczął znikać na ścieżce w trzinach.

W prawej ręce trzymał broń, którą nawet w gorszym świetle łatwo dawało się zidentyfikować.

Czego on tu szuka? Powinien spieprzać na drugi brzeg jeziora. A ta druga łódka? Ktoś jeszcze tu jest?

Winkler manewrując gazem, zastopował skuter i wyjął telefon. Spojrzał na wskaźnik zasięgu, jak się spodziewał – zero. Okolica była słabo zaludniona, Ostrowickie, najbliższa wieś, nie napawała operatorów komórek nadzieją. Szkoda było stali na maszty. Mimo wszystko wysłał do Borkońskiej SMS-a „HLP, wyspa na jeziorze przy hotelu”. I schował komórkę.

Tyle w temacie wsparcia, pomocy i podziału laurów.

Trącił delikatnie manetkę i wolniutko wjechał w szuwały, miał jeszcze tylko kilka chwil względnego księżycowego światła, ale Kalinowski był w tej samej sytuacji. A latarki czasem wcale nie muszą pomagać.

Mokre łodygi tataraku, czy co tam rośło, prawie nie szeleściły. Ucieszył się, wyskoczył ze skutera niemal suchą nogą na brzeg i pomaszerował jedyną ścieżką w wysokich na dwa metry trzinach. Pistolet trzymał w wyciągniętej prawej ręce, lewą co jakiś czas odgarniał krzywo rosnące czy połamane badyle. Przypominał sobie nagle, jak na wycieczce szkolnej szedł z kumplem identyczną ścieżką i jak się bał, ale Darek, wyprostowany, sunął pierwszy. Trudno – szedł, choć najchętniej by zawrócił. A gdy doszli do celu, małej plaży, na której mieli łowić raki, Darek nagle się odwrócił i powiedział: „Jakbyś krzyknął? Hu!» w tych chaszczach, tobym takiego Jezusa Chrystusa odstawił na jeziorze, że hej!”

Przed sobą usłyszał jakieś zduszone przekleństwa, jęki... Coś trzasnęło, chyba gałąź, potem brzęknęło jakby blaszane wiadro i w poincie chlasnął powietrze strzał przez tłumik. Nastąpiła cisza.

Winkler podwoił, o ile to w ogóle było możliwe, uwagę.

Ścieżka w szuwarach się skończyła, zobaczył jakiś mur z kamieni, narożnik budowli. Nad nim bił w mrok snop światła, ktoś za murem włączył przed chwilą latarkę. Dotarł do muru, dotknął go lewą ręką i ruszył wolno, sprawdzając każdy krok wysuniętą stopą. Usłyszał głos. Obszedł narożnik, stopa trafiła na przeszkodę, na szczęście był to głaz, nie wiadro, które potoczyłoby się z brzękiem. Jeszcze kilka kroków i stanął w miejscu, gdzie kiedyś w budynku było okno. Światło majtnęło, omijając szczęśliwie głowę Winklera. Przesunął się i wyjrzał jednym okiem.

Na trawie leżał facet w drogim garniturze. Drogim nie tak dawno, teraz już nie. Drogie garnitury nie lubią pływania, szamotaniny... i strzelaniny. W przeraźliwym świetle latarki jego twarz była biała jak oblicze aktora japońskiego teatru Butō, a krew na nogawce błyszczała srebrzyście.

– Skurwiel z ciebie, Bogdan – rzucił ktoś zachrypnięty i zdyszany. Musieli chwilę temu toczyć tu jakiś rodzaj pojedynku, z którego zwycięsko wyszedł ten drugi. – Jeszcze nic się nie stało, a ty już spierdalasz, zostawiasz wszystko i wszystkich na łasce losu.

Winkler skamieniał. Ten głos znał. Człowiek, którego tam i wtedy nazywano Szefem, miał wyraźny wschodni zaciąg, ale Tomasz słyszał go, gdy grał ojca chrzestnego Made in Russia, elegancko zakładał nogę na nogę, składał rękawiczki, pewnie z egzotycznej skóry chronionego w Czerwonej Księdze ptaka. Wtedy rosyjski akcent był potrzebny. Potem usłyszał go drugi raz, wczoraj, na hotelowym korytarzu, gdzie Szef nie krył pochodzenia, a wręcz je podkreślał, mówiąc „du-oo-brze”.

I teraz trzecia audioanaliza: normalny, porządny polski akcent, bez śladu obcego, ładna mowa, choć słownictwo naganne. Znaczący język, akcent był jednym z elementów image’u.

– Spierdalaj! – wycedził Kalinowski, jednak żywy, tylko postrzelony. – Załukliście glinę i to nieudolnie, zostawiając drugiego przy życiu. Po chuj? Żeby zeznawał? A jak się umawialiśmy? *Biez makruchy!*, mówili twoi szefowie, nie?

– Czy ty jesteś idiota, Bogdan? Jak chcesz robić milionowe interesy bez krwi? Wiesz, ile osób nas okrada, okradało... – poprawił się gwałtownie. Bogdan skrzywił się, nie wiadomo czy z bólu przestrzelonej nogi, czy na myśl, co może znaczyć czas przeszły. Że jego już to nie dotyczy? – Musi być strach, chuju głupi. Musi. I będziesz tego sztandarowym przykładem! Będzie się mówiło: o, taki Bogdan Kalinowski, tak wysoko był, a spierdolił sprawę. I co? Pobił rekord deniwelacji, między „wysoko” a dołem pogrzebowym – sześć stóp pod ziemią!

Kalinowski ponownie się skrzywił, potem wytarł nos rękawem marynarki.

– Nie musi tak być, Ramon...

– Tak? A jak ma być?

Ramon, a najpewniej po prostu Roman Malanin, którego wypatrzyli z Malickim w dokumentach gangsterskich firm, wszedł w pole widzenia Winklera, zatrzymał się dwa metry od Kalinowskiego, pochylił lekko. Światło uderzało go od tyłu, potęgując mrok na twarzy. Tak, to był on: Szef z Polanicy. Wysoki i szczupły, mniej więcej wzrostu Winklera, ale starszy o jakieś dwadzieścia lat. Trzymał w ręku pewnie i swobodnie pistolet z tłumikiem, chyba glock. Dłonie chroniły czy zdobiły rękawiczki z cieniutkiej skóry, niemal chirurgiczne. Winkler pomyślał, że Ramon, czy jak mu tam, zaraz włoży broń pod pachę i zacznie misterium zdejmowania rękawiczek. Scenę tę Winkler dobrze zapamiętał.

– Jak może być? Gadaj, Kalinowski – powtórzył, ale rękawiczek jeszcze nie zdejmował.

– Ramon, dam ci swój zapas na czarną godzinę i zniknę.

– Masz, oczywiście, coś jeszcze skitranego. Co?

– A jak myślisz? Ty nie masz?

– Mam. – Ramon zachichotał. – Pewnie, że mam. To taka robota, że trzeba mieć. Co masz? Paszporty? Karty? Akcje?

– Akcje? Co ja bym z akcjami robił? Będę po niemieckich bankach się szwendał i wymieniał?

Kalinowski, ty nie będziesz się po żadnych bankach szwendał, nie wyczuwasz tego? Albo Ramon cię kropnie, albo ja skuję i dostarczę na dotek.

– No to dawaj! Gotowizny ile?

– Cztery melony. Jeden dla mnie.

– Jeszcze się targujesz, Bogdan? Nieładnie...

– A ty byś się nie targował?

– Targował, targował... – Ramon wyprostował się, podrapał łufą po kolanie.

A żeby ci się palec omsknął – pomyślał Winkler, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Dobra, daję słowo, że...

– Ramon, ja mam ci uwierzyć na słowo? – Kalinowski roześmiał się, bardzo zaraźliwie, Winkler też się uśmiechnął.

– A jak to sobie wyobrażasz? Może mam ci oddać twojego gnata i oddalić się spokojnie? Poczekać na przelew na konto?

Kalinowski zastanawiał się chwilę.

– Nie, wrzucisz oba do jeziora. Stąd do wody... – pokazał brodą w stronę Winklera – ...jest z piętnaście metrów. Jak się dobrze zamachniesz, to usłyszymy plusk. Dwa pluski – cztery melony. Chyba nieźle?

Roman-Ramon zastanawiał się długą chwilę. Przede wszystkim jak wykiwać Kalinowskiego. Ale nie bardzo się dało. Kalinowski mógł ukryć swoje sezamki w dowolnym miejscu na wyspie, w ruinach, w szuwarach, pod darnią. Owszem można było go kropnąć i przepłynąć z odpowiednim sprzętem, ale ranny współnik mógł też zatopić jakiś szczelny pojemnik i oznaczyć go niewidoczną bojką, a nawet umieścić zawartość w chytrze zabezpieczonym sejfie, z ładunkiem w środku.

Ramon w końcu odwrócił się od Kalinowskiego i Winkler mógł zobaczyć jego twarz: siodełkowaty nos, niczym wspomnienie po nieudanej trzeciej rundzie, cienki wąs końcówkami zjeżdżający do połowy brody, od ostatniego spotkania, ostatniego i pierwszego, wąs się obniżył, ale poza tym oblicze Szefa pozostawało bez zmian. Ramon chwycił pistolet za tłumik, zamachnął się i dużym forhendem posłał broń nad głowę Kalinowskiego w ciemność. Po dwóch sekundach cała trójka usłyszała plusk.

– Chuj z tobą i duchem twoim, gnoju – sarknął Ramon. – No?!

– Nie „no”, tylko mój pistolet też.

Ramon rozejrzał się, znalazł drugą broń i już bez targowania się wyrzucił w mrok.

– Podnieś kurtkę i pokaż plecy, a potem nogawki – zażądał Kalinowski.

W jego głosie rozbrzmiały nowe nutki. Odzyskiwał nadzieję, widział szansę na pomyślny koniec.

Ramon stał chwilę nieruchomo, cała jego postać i postawa mówiły: „Niech ja cię w końcu dorwę, skurwysynu!” Potem wykonał polecenie.

Kalinowski stanął na jednej nodze, podniósł swoją latarkę, odwrócił się i zaczął kuśtykać w kierunku przeciwnym do miejsca, gdzie przybili. Jego latarka była znacznie słabsza niż ta Ramona, nie wiadomo, dlaczego zirytowało go to. Odwrócił się i warknął:

– Zgaś to kurestwo albo przykręć trochę! Cały powiat nas widzi.

– Przestań mi rozkazywać i zapieprzaj, bo doczekasz się kosy w kichy, a twoje skarby odnajdę sobie pomaleńku sam.

– Gównu znajdziesz, do świtu będzie tu stado glin, na wyścigi zaczną pokazywać swoje zaangażowanie i uczciwość.

– To przyduśzę twojego brata, wszystko wyśpiewa...

– Aha, zwłaszczka „daj mi wieczne spoczywanie”! – Kalinowski parsknął histerycznym śmiechem.

Śmiał się przez kilka kroków, potem pokręcił głową na zakończenie, jakby pointował świetny dowcip.

– Odstrzeliłeś go? – spytał Ramon.

– Oczywiście!

Ramon nie skomentował jego śmiechu, opuścił rękę z latarką, świecił właściwie tylko sobie pod nogi, ale głowę trzymał podniesioną, z nosem wycelowanym w plecy Bogdana.

Czyżby resztki uczciwości i poczciwości kazały mu chronić przybranego, ale jednak brachola?

Po kilkudziesięciu ostrożnych krokach pojawiły się szuwary, grunt wyraźnie zaczął się uginać i nawet mlaskać.

– Błoto, kurwa! – warknął Ramon.

– Nic... nie... poradzę... brzeg! – wystękał Bogdan.

Tomasz pomyślał, że jakoś dziwnie szybko opadł z sił. Najpierw leżał na trawie i jęczał, i związał się z bólu, potem poderwał się podejrzenie sprawnie i dość pewnie ruszył do kryjówki, teraz nagle się zmęczzył?

Albo chciał sprawić wrażenie, że opada z sił. I że już nie jest godnym przeciwnikiem. Chyba zbliżał się finał rozgrywki...

Bogdan przyprowadził ich na wąską plażę, dotarł do podwójnego pala, pochylił się, nie zważając, że marynarka, i tak już nie nadająca się nawet do secondhandu, zanurza się w wodzie, i długą chwilę orał palcami dno. Winkler poczuł, że serce tłucze mu się mocniej. Odgadł, że Kalinowski ma tam ukrytą w wodoodpornym pakiecie broń.

A to cwany skurwiel.

Kalinowski wyprostował się.

Malanin drgnął, chyba podobnie jak Winkler spodziewał się nieprzyjemnej niespodzianki.

Ale Bogdan trzymał w ręku tylko mocną nylonową linkę, taką, która nie przegnieje w wodzie, a dobrze uwiązana będzie trzymać ciężar do końca świata. Ramon sapnął podenerwowany i od razu zakaszłał teatralnie, chcąc zamaskować podniecenie. Bogdan cofnął się do brzegu, zaczął ciągnąć linkę i szło mu dość opornie, do wybrania, jak się okazało, było dwadzieścia pięć, może nawet trzydzieści metrów. W końcu pojawił się ładunek: kwadratowy, o boku chyba sześćdziesięciocentymetrowym, kufer z ryflowanego czy frezowanego aluminium. Miał parę uchwytów, lina na końcu rozdawała się i na obu uchwytach założone były fachowe węzły. Bagaż musiał sporo ważyć, ale Kalinowski mężnie wyciągał ładunek na brzeg. Winkler widział, że na czoło wystąpiły mu olbrzymie krople potu, dyszał ciężko, wpatrywał się w kufer z napięciem i... oczekiwaniem?

Tomasz ostrożnie wyciągnął broń przed siebie i przygotował do strzału.

Nie zapomnij zarepetować, nie zapomnij...

Nagle przypomniał sobie, jak Maciek, trafiony, i to dwukrotnie, jedną ręką repetował swojego walthera o kierownicę. Nikt wcześniej nie pokazał Winklerowi takiego myku, nie

podpowiedział. Nikomu nie przyszło do głowy, że miał kilkuletnią przerwę w korzystaniu z etatowej broni.

Kalinowski wywlókł kufer na piach, odetchnął, potrząsnął głową, żeby pozbyć się spływającego do oczu potu. Otarł czoło rękawem, jęknął chyba szczerze, przykucnął przy kufrze i zaczął odsuwać liny, przeszkadzające teraz w otwieraniu.

– Klucze masz? – zapytał Ramon.

Głos mu się trochę zmienił, wcześniej nasycony był kpina i triumfem, teraz przebijała w nim chciwość i niecierpliwość.

Widocznie w strukturach, w jakich działali on i Bogdan, ten drugi stał jednak o włos wyżej albo udawało mu się dłużej stać na palcach, nie kiwając się. A teraz Ramon miał się odkuć.

Pozycja w kukki sprawiała rannemu ból, a przynajmniej emitował go posykiwaniami. Ukląkł w końcu i zaczął wydmuchiwać wodę z zamków.

– Masz klucze, pytam?! – wrzasnął rozjuszony, podniecony, a może naćpany Ramon.

– Pewnie, klucze... – burknął, manipulując przy zamku Bogdan. – Żeby jakiś chuj mi zabrał i złupił?

Poderwał nagle pokrywą do góry i pochylił się, zniknął cały za kufrem. Ramon sięgnął pod połę marynarki, wyszarpnął ukrytą broń i wystrzelił trzy razy. Trzy razy celnie, ale pokrywa była trwalsza od kevlarowej kamizelki.

Winkler nagle z przeraźliwą jasnością zrozumiał, co się za ułamek sekundy stanie. Rzucił się płasko na piach i odczołgał w bok, chociaż nie znajdował się na linii strzału. Ale czuł, że pierwsze pociski ze schowanej w kufrze broni pójdą gdzie się da.

I tak było. Zza osłony wysunęła się ręka z pistoletem, padł strzał, drugi, Kalinowski wyprysnął nagle w bok jak komandos, oddał kolejne trzy strzały, tym razem celując, może nawet niepotrzebnie, bo już druga zbłąkana kula trafiła Ramona. Ten raptownie uniósł obie ręce i zwałił się na piasek. Kozacki występ Kalinowskiego nie był już potrzebny.

Zapadła cisza... niemal cisza! W szuwarach rozległ się trwożny łopot skrzydeł, taplanina, na całym jeziorze ptactwo właściwie zinterpretowało hałas: alarm!

Kalinowski, nie wiadomo po co, nacisnął spust jeszcze raz, mierząc w leżącego bez ruchu Ramona. Upuścił rewolwer na piach, Winkler nawet nie musiał się przyglądać, bez trudu rozpoznał charakterystyczną, jakby ażurową lufę niezbyt popularnego, ośmionabojowego rewolweru Korth NXS 6".

Ośmionabojowego, czyli z jednym jeszcze pociskiem do wykorzystania.

Kalinowski zwałił się na plecy, wyciągnął ręce nad głowę i parsknął krótkim, wrednym śmiechem, i jeszcze raz.

– No i, kurwa, koniec! – rzucił w stronę księżycy. – Kto mi teraz powie, że przesadzałem w ostrożności?!

Kalinowski roześmiał się znowu, a potem stęknął i usiadł. Ciągle znajdował się w szerokim stożku światła z kosmicznej latarki Ramona. Wyłączył swoją, przysunął się do kufra i sięgnął do wnętrza.

Winkler pomyślał, że przegapił dobry moment na obezwładnienie Kalinowskiego, bo jeśli ten teraz wyrzuci łuski i załaduje cały bęben...

Ale nie, Kalinowski szarpnął kufer, ustawił go do światła i po chwili grzebania we wnętrzu wyjął apteczkę. Zamknął kufer, usiadł na pokrywie, zsunął spodnie i zajął się opatrywaniem zakrwawionej nogi. Tomaszowi wydawało się, że lekki uśmiech rozciąga mu usta. Nagle zrozumiał – w kufrze była nie tylko gotówka, nie tylko lewe dokumenty i karty! Tam były – przede wszystkim! – kwity na Ramona i jego mocodawców! Coś, czego nie da się

wycenić, czego nie da się zdyskredytować w sądzie, nie da się zanegować! Kalinowski od dawna musiał gromadzić kompromat na wszystko i wszystkich, na szefów przemytników, na szefów szefów, może ministrów czy dyrektorów departamentów, na hierarchów Kościoła, kryjących swoje obrzydliwe występki.

Zanim Bogdan z powrotem podciągnął spodnie i zapiął pasek, Winkler poderwał się i zrobił dwa kroki, żeby zbliżyć się do strugi światła zalewającej kawał piaszczystego brzegu, trupa, kufer i spokojną wodę.

– Łap kufer i idziemy, Kalinowski – powiedział umyślnie beznamiętnie, bez cienia emocji.

A potem wystrzelił, raz i jeszcze jeden. Drugi pocisk trafił w karbowaną wentylowaną lufę kortha, rewolwer podskoczył i odleciał dobre cztery metry.

Kalinowski zamarł w zsuniętych do kostek spodniach i z wyrazem zgrozy wypisanym na twarzy.

– I tak zostałeś ci już tylko jeden nabój – rzucił Winkler. – A w moim dopiero się zaczęły. Wstawaj i łap pudło.

– Nie-e-e... Kurwa, nie dam! Wypierdalać! Wo-on!

Twarz, przeciętną i może nawet budzącą zaufanie, wykrzywił ohydny grymas, upiorne światło wyostrzało rysy i nadało obliczu ponurego sznytu. Dziko wytrzeszczone oczy zdradzały przerażenie i wściekłość. Bogdan przewalił się na brzuch i zaczął grzmocić pięściami w piach, nieudolnie chcąc zyskać na czasie, ale Winkler, wykonał dwa długie kroki, chwycił linę i pociągnął kufer w swoją stronę. Skrzynia ugrzęzła w piachu, wyrzuciła się, wieko się otworzyło, ale nic nie wypadło ze środka, zawartość była porządnie upakowana w grube strunowe worki, wszystko w paczkach.

– Ostatnie ostrzeżenie! – wrzasnął Winkler.

– Oddaj, kurwa, oddaj... Moje... Całe życie... kurwa... moje...

Winkler wyciągnął rękę i przymierzył się do strzału w czoło.

Kalinowski rzucił mu przebiegłe i przymilne spojrzenie, na jego brodzie rozmazał się sklejoną śluzem z ust piasek, oddychał ciężko i chrapliwie, jednocześnie przez nos i usta. I wbił palce w piach, i peźł, peźł, peźł...

Tomasz położył palec na spuście, ta broń pozwalała mu długo naciskać język spustowy przed oddaniem pierwszego strzału, jakby pytała, czy naprawdę chce i potrzebuje strzelać. A Tomasz chciał, chciał i musiał, i...

– Tomek! TOMEK! Nie rób tego!

Zobaczył kątem oka, że obok niego staje Borkońska, z p99 w garści, mierzy do Kalinowskiego, patrzy na Kalinowskiego, ale mówi do niego.

– Tomek, już po nim! Zostaw! Karą nie jest kulka w łeb, to by była łaska! A on ma odsiedzieć swoje, odsiedzieć i bać się, rozumiesz? Bo szefowie nigdy mu nie odpuszczają zdrady. Dla niego więzienie nie będzie łaską! Słyszałam tu dużo i wiem... Tomek! Nie celuj!

Winkler oblizał w ułamku sekundy wyschłe wargi. Pokręcił głową.

– Magda... Doprowadził do śmierci Marcina, zabił tego gnoja, kumpla i zwierznika, nie wiem kogo jeszcze... Może nawet swojego brata. I Maćka postrzelili na jego polecenie...

Zostały mu ze trzy milimetry na spuście, potem pocisk nieodwołalnie opuści lufę.

– Tomek, nie! Tomek?! Sebastian jest tylko ranny, żyje!

A co mnie obchodzi Sebastian?

– Maciek odzyskał przytomność! Tomek, zostaw, będzie dob... rze...

Winkler odwrócił się do Borkońskiej.

Mierzyła do Kalinowskiego, ale krótkie spojrzenie podarowała i jemu.

– Będzie dobrze – powiedziała.

Głos jej drżał, ze słynnego koka wyplątało się pasmo włosów, falowało w nieruchomym nocnym powietrzu.

Bo dygotała jej głowa.

Winkler podniósł pistolet, wymierzył w księżyc. Opuścił broń, zabezpieczył, podał Magdzie.

– Fura Maćka miała lokalizator – powiedziała. – Nie znoszę niewiedzy o swoich podwładnych...

Kalinowski zachrypiął coś i jak nakręcony samochodzik, w którym nie można zablokować sprężyny, zaczął znowu pełznąć do kufra.

Golum zbliżający się do Pierścienia. *Mój s-s-skarbie...*

Winkler szarpnął się, wyprzedził zmierzających już do Kalinowskiego kominiarzy i z całej siły kopnął lewe, ranne udo Bogdana. Usłyszał jakiś trzask.

I ryk Kalinowskiego.

Trwał długo.

Promienie słońca przesiewały się przez gęstwinę liści brzozy, lekki wiatr kołysał zwisającymi wtkami, czasem pojedyncze promienie korzystały ze sprzyjającej konfiguracji, przemykały przez brzozę i uderzały w oczy. Winkler przestąpił z nogi na nogę. Kątem oka zobaczył, że Iwa tylko pozornie patrzy przed siebie. Stojąca z drugiej strony Roma nie chciała okularów, po prostu patrzyła sobie pod nogi, nie zwracając większej uwagi na słońce i jego próby rozjaśnienia scenografii.

Zgodnie nie obracali głów, gdy dowódca Kompanii Honorowej rozpoczął rytuał.

Już po pierwszych komendach z okolicznych drzew zerwało się kilka gołębi i odleciało szukać spokojniejszych okolic. Cmentarz Grabiszyński zazwyczaj spełniał ich wymogi, gniazdowały tu chętnie, jednak czasem, coraz rzadziej, ale jednak, zdarzały się takie huczne, na szczęście krótkie, ceremonie z orkiestrami i – co gorsza – Kompaniami Honorowymi.

– Ładuj!

Zsynchronizowany szczęk dwóch tuzinów zamków.

– Salwa!

Cisza i oczekiwanie.

– Pal!

Jeszcze kilka spóźnionych ptaków poderwało się w panice do ucieczki.

Ładuj... Salwa... Pal!

Ładuj... Salwa... Pal!

Roma za każdym razem wzdrygała się, Tomasz czuł to swoim ramieniem, którego się trzymała i do którego przytulała. I nagle po ostatniej salwie rozległ się przeciągły, głośny skowyt. Wszyscy spojrzeli w jedną stronę. Tam gdzie stała Agata, córka Malickiego. Właściwie to nie stała, tylko kucała, tuląc wyjącego Django. To ona uparła się, że pies musi tu z nimi być. A na cmentarzu nikt chyba nie zaprotestował, może dlatego, że to pogrzeb gliniarza.

Roma i Iwa rozszochały się na dobre, nie tylko one zresztą. Każdy, kto znał Maćka, wiedział, jaka to była przyjaźń. Winkler nie mógł już tego znieść. Ani wdowa, ani nawet rodzice nad grobem Malickiego nie wzbudzili w nim takiego żalu, jak to psisko.

– Chodźmy – szarpnął Iwę za łokieć.

– Ale czy nie będzie to odebrane... – zaczęła Roma i zawiesiła głos.

– W nosie to mam. Już nie jestem w policji. Mało mnie obchodzą fochy przełożonych.

– Ale mi chodzi o żonę...

– Nie, Romciu, żona Maćka zrozumie.

Roma rzuciła mu ostre kontrolne spojrzenie, ale zobaczyła coś, co jej powiedziało, że Tomasz wie.

A ona zawsze wierzyła wnukowi.

Zaczęli wychodzić z szachownicy grobów, wąskie przestrzenie między mogiłami były czasem załadowane zużytymi, ale „jeszcze dobrymi” lampionami, czasem leżały tam grabki, wiaderka... Trzeba było na kilkanaście kroków naprzód przewidywać trasę. Tomasz szedł pierwszy, za nim Roma, pochód zamykała Iwa.

Uczestnicy pogrzebu, zwłaszcza ci, co zajęli tylne szeregi, zaczęli się poruszać, posłuszni niepisanej, ale sprawdzonej regule: ostatni ruszają pierwsi, żeby mogli się ruszyć również ci inni.

Po kilku minutach kluczenia i przemierzania skomplikowanej przestrzeni czaplim krokiem wyszli na brukowaną alejkę, którą dotarli od kaplicy cmentarnej. Wolno przemierzali kocie łby, Winkler obejrzał się, zobaczył, że do Iwy nerwowo podeszła Magda Borkońska i zaczęła iść obok. Lewą ręką trzymała prawą, na wysokości łokcia, jakby nie chciała, żeby prawa się kołysała. Wychyliła się odrobinę do Iwy i gorączkowo perorowała. Iwa miała minę, jakby chciała powiedzieć „Ja to wiem!”, Tomasz też wiedział.

Droga skręcała w prawo, o kilka kroków mijali grobowiec rodziny Waligórskich. Roma szybko wyjęła z torebki mały znicz i podała Tomaszowi.

– Zapal – poprosiła. – Zawsze tu się zatrzymuję, przy Andrzejku.

Winkler zapalił znicz, nałożył przykrywkę i postawił na płycie. „B ć może jest taka wyspa...”, przeczytali w duchu. Ktoś zajumał „y”

– Ręce z dupy powinni wyrwać! – syknęła Roma.

– Babciu? Cmentarz!

Ścisnęła go za łokieć.

– No.

Roma odsapnęła, jakby z ulgą, że się udało, że nie zapomniała, że nie zdmuchnęła.

Ruszyli dalej, w awangardzie powracających z ceremonii.

Magda Borkońska dotknęła łokcia Iwy.

– Proszę zrozumieć: nie mogłam pozwolić, żeby Tomek zastrzelił tego skurwiela! Przecież...

– Pani Magdo, ja to rozumiem, Tomasz to rozumie, wszyscy to rozumiemy, ale Tomasz musi z tym pobuć. On nie miał w życiu wielu przyjaciół. I nagle trafił na prawdziwego partnera, jak Tango i Cash!

– Wie pani, co by było, gdyby nacisnął spust?

– Oczywiście. Albo wyłądowałby w więzieniu, albo zmaistrowalibyście jakąś w miarę zręczną historyjkę o ratowaniu życia swojego i innych, i jakoś by się może upiekło.

Borkońska westchnęła, ale nie odezwała się. Szły dalej, milcząc.

– Nie widziała pani wtedy jego oczu... – powiedziała z gorączką Magda. – Ja się najbardziej bałam, że on nie wystrzeli, tylko ciśnie broń i wczepi się w szyję Kalinowskiego, a wtedy musielibyśmy mu połamać palce, żeby uwolnić i tak już nieżyjącego trupa...

Iwa chwyciła ją za przegub i ścisnęła lekko.

– Trup to z reguły już jest nieżyjący. – Szły chwilę w milczeniu, potem Iwa puściła przegub Magdy i powiedziała szeptem: – Tomasz nigdy nie zastrzeliłby człowieka z zimną krwią, nawet tego Bogdana.

Borkońska prychnęła i nagle rozpląkała się, czego udało jej się uniknąć podczas całej ceremonii. A gdy już tzy przedarły się przez gruby i wysoki mur opanowania, to popłynęły na całego.

Iwa chwyciła ją pod łokieć i poprowadziła niemal jak Tomasz Romę. Miała na nogach, wiadomo, martensy, kocie łby nie stanowiły przeszkody. Co innego Borkońska – w szpilkach, może nie wizytowych, ale obcasy co dwa kroki wbiwały się w szczeliny. Tomasz, to było widać, słyszał szloch Magdy, ale zareagował tylko lekkim pochyleniem głowy.

A co miał zrobić? – pomyślała Iwa. – *Przecież on jest rozgoryczony, ma żal, ale przecież nie pretensje! Wie co i po co było zrobione.* Kłamstwo Magdy o tym, że Maciej odzyskał przytomność, uratowało mu karierę, może nawet życie, a na pewno spokój sumienia. Przecież normalny człowiek, nie zakapior z podrasowanej audicy, nawet zastrzeliwszy mordercę dziecka, ma wyrzuty sumienia, zdemolowaną psychikę, naruszoną ostatnim spojrzeniem zabitego...

Kilka kroków dalej Borkońska zacisnęła zęby i zapanowała nad sobą. Do kaplicy było już kilkanaście metrów.

Wyprzedzili je dwaj mężczyźni, podobnego wzrostu, budowy, podobnie poruszający się i z podobnie odstającymi połami marynarek. Z lewej strony.

– Czy ta ochrona Tomasza będzie długotrwała? – zapytała Iwa. – Myślałam z Romą o tym, żeby się spakować i wyskoczyć gdzieś, za granicę?

– Pani Iwo, na razie tam, w Krosnalinie, odbywa się wielkie koszenie, burzenie i łamanie. Kilku najważniejszych bossów mamy w saku, ale nie wszystkich, a skoro wyjazd za granicę nie sprawia obecnie problemu, to inne działania za granicą też. Wcale nie będziecie tam bezpieczniejsi. Na razie niech zostanie ochrona.

– A Sebastian? Co z nim będzie?

– No... niestety, zabił Rafała. Jest nawet nagranie, jego brat, kanalia kuta na wszystkie nogi, uruchomił dyktafon, gdy tylko przekroczyli z Sebastianem próg gabinetu. Potwierdza się co do głoski to, co zeznał Tomek, sprawa jest klarowna. Myślę, że dwanaście, może piętnaście lat jak obszył...

Buty Iwy miękko i cicho stykały się z kamiennym brukiem, szpilki Magdy niemal krzeszały iskry.

– Myślisz, że jestem taka lejdi, że na pogrzeb w szpilkach? – powiedziała nagle Magda po kolejnym zgrzycie, przechodząc na ty. – Gówno prawda! Ale Maciej mnie widział zawsze w szpilach, zawsze to komentował. Chciałam się pożegnać... taka, jaką znał...

Milczały chwilę.

– Ta wasza... praca... – zaczęła cicho Iwa. I gdy wydawało się, że na tym skończy, mówiła dalej: – Roma kiedyś powiedziała, że świat i czas pędzą szybko, a człowiek, jeśli chce zachować się godnie, musi mocno zaznaczyć swoje człowieczeństwo... Na lodowce u nich w domu wisi zdjęcie Bartoszewskiego z tym jego „warto być przyzwoitym”. Myślę, że Tomasz bardzo mocno przestrzega tej zasady.

Słowa zawisły w powietrzu nad alejką. Jeszcze kilka kroków dzieliło ich od nieuchronnego skrętu, w lewo bądź w prawo, byle obejść kaplicę.

Iwa znowu chwyciła ją za przegub.

– Idziemy do nas, dobrze? Roma zrobiła boskie śledzie. Finlandia w zamrażarce, Maciek by sobie tego życzył.

Borkońska straciła rytm, szpila wbiła się w miękki grunt. Zachwiała się i niemal upadła. Tomek podbiegł i pomógł jej utrzymać równowagę. Stali chwilę w tym ratującym uścisku.

– Wstąpisz na kielonka i śledzia? Samolej wie i przyjdzie.

– Na śledzia pokoju i kieliszek pojednania? – Magda z ulgą przyjęła ten gest. – Pewnie!

Iwa długo tłumiła szloch, ale w tym momencie odpuściła i dała upust łzom. W jej spazmie był nie tylko żal po Malickim, ale przede wszystkim lęk. Strach o Tomka, o to, co mogło i może się jeszcze zdarzyć. Obejrzała się w stronę wdowy i wyobraziła sobie siebie w tej czerni i bezgranicznym smutku. Wyszarpnęła z kieszeni paczkę chusteczek i szybko zużyła trzy.

Roma podeszła i pociągnęła ją za torbę.

- Jedziemy, jedziemy. Trzeba zobaczyć, co sukiny wywijały w mieszkaniu.

BONUS DLA ODŻARTUCHÓW

Słynne *ragoût à brun* indonezyjskie Tomasza Winklera

Oto przepis przekazany Tomkowi wiele lat temu przez studenta Politechniki Wrocławskiej, studenta z Indonezji rzecz jasna. Podajemy go w wariacie „wolicjonalnym” – niemal wszystko można tu zmienić i nie powinno to zaszkodzić potrawie, ale musi być aromatycznie, całe piętro musi wiedzieć, że dziś *ragoût!* Nie wskazujemy wagi, tylko „części”, to proste: ile części mięsa, tyle części marchwi i cebuli. Czyli np. 1 kg wołu, 1 kg marchwi, 1 kg cebuli. Jeśli nie chcemy dzielić się z rodziną czy sąsiadami, to dajemy odpowiednio po ½ części albo ⅓. Byle proporcje się zgadzały: ile mięsa, tyle cebuli i marchwi, a pietruszki połowa. Reszta warzyw – „optykularnie”

Mięso

Ed: Dowolne, robiłem z wołowiny, wieprzowiny, drobiu, nie używałem jeszcze ryby.

Beata: można bez mięsa! Do wyboru: tofu? Sztuczne białko? *S'il vous plaît!*

Warzywa:

- 1 część marchwi
- 1 część cebuli
- ½ części pietruszki
- 1 cały seler (nie ogromny)
- ¼ główki średniej kapusty (można włoskiej, czerwonej nie używaliśmy. Może można pak Choi?)
- czosnek – pół dużej główki

Można: por, paprykę dowolnego koloru, pokrojoną w małe słupki lub kostkę

Na upartego: bakłażan, cukinia, ale z ostrożnością! Warzywa w *ragoût* powinny być lekko chrupiące, zwarte, bakłażan i cukinia mają tendencje do rozgotowywania się, więc jeśli ktoś chce dodać, to na samym końcu, żeby się nie rozciąpały.

Przyprawy:

- wszystko indyjsko-azjatyckie: kurkuma, curry, garam massala, liść laurowy mielony lub nie, papryka słodka, papryka ostra (czuszka, harissa, chili, jalapeno – co kto woli, ale coś ostrego musi być, przy jedzeniu *ragoût* na głowie występuje pot), kolendra mielona, cynamon i goździk mielony (odrobina!)
- koncentrat pomidorowy z Pudliszek, 2 łyżeczki

– sól, pieprz

Działania

Mięso kroimy w kostkę, 3x3 cm, lekko oprószamy mąką, smażymy na rozgrzanym oleju, do zrumienienia i pewnej miękkości, zwałamy do dużego garnka (ok. 5l), dolewamy wody (do pokrycia mięsa) i dusimy leniwie. Jeśli używamy niemięsa – działamy analogicznie, stosownie do wybranego produktu.

Na tej samej patelni podsmażamy cebulę pokrojoną w półtalarki, ma się zeszklić i leciutko zezłocić, nie więcej! Jeśli dodajemy por, to też: w półtalarki i złocimy z cebulą.

Dodajemy cebulę i por do garnka z duszącym się mięsem.

Pozostałe warzywa (poza kapustą) kroimy w talarki (marchew), kostkę (seler) i w cienkie słupki (pietruszkę, paprykę) i dodajemy do gara. Cukinię lub bakłażana dodajemy na końcu.

Mamy oto w garnku:

- podsmażone mięso
- zezłoczone cebule z porami
- marchew (czasem, w zależności od humoru, część półplasterków lekko podsmażamy)
- pietruszkę
- seler
- paprykę zieloną lub czerwoną lub żółtą

Dolewamy wody, żeby pokryła zawartość. Powstaje gęsta warzywno-mięsna mieszanka. I dobrze.

Regulujemy temperaturę, *ragoût à brun* gotuje się na wolnym ogniu.

Dosypujemy:

- płaską łyżkę kurkumy,
- płaską łyżkę curry,
- kopiastrą łyżkę papryki słodkiej albo i więcej, można trochę wędzonej,
- łyżeczkę lub mniej czegoś ostrego, zależnie od upodobań,
- łyżkę płaską soli (używamy tylko morskiej albo kamiennej, w procesie warzenia soli pożyteczne pierwiastki chemiczne zmieniają się w szkodliwe albo niepotrzebne związki chemiczne, dlatego unikamy warzonej),
- pieprz, dowolnie, w zależności od obecności chili czy harissy.

Po wymieszaniu dodajemy przeciery i kosztujemy. Danie ma być ostre i preraźliwie aromatyczne.

To wszystko się warzy jakieś 20 minut. Do miękkości mięsa i lekkiej chrupkości warzyw.

5 minut przed końcem gotowania dosypujemy posiekaną nieco grubiej kapustę i rozdrobniony czosnek.

Gdy dodana w ostatniej salwie kapusta stanie się „nie surowa”, lecz lekko chrupiąca – wyłączamy gaz, prąd, ognisko.

W połowie gotowania nastawiamy ryż. Gotujemy kto jak lubi i umie. Oczywiście szlachetny, nie taki do gołąbków. Fajne są długie skręcone ziarna. I żeby było jasne: gotujemy na sypko!

W talerzu pogłębionym lub obszernej misce lokujemy ryż, na górę nakładamy kopiec z *ragoût à brun*. Zaczynamy od dwóch części ryżu i jednej części *ragoût*. *Ragoût* można dołożyć w trakcie jedzenia, zawsze tak robię, bo smaczne.

Ależ radocha!

Aha, w naszej pół-mięsnej, pół-wegetariańskiej kuchni robimy to danie na dwa garnki, żeby i owce, i wilki były syte. W podstawowym garnku jest wszystko poza mięsem, które pyrka w osobnym naczyniu. W połowie gotowości, po dodaniu wszystkich składowych poza kapustą, rozdzielamy się: mniejszy garnek dla wege, do większego dodajemy mięso i dalej już po indonezyjsku!

BiE